



Kate Chopin

# P rzebudzenie

LIBROS

WIELKIE  
MIŁOŚCI  


Kate Chopin

Panna z  
Lobos

Z angielskiego przełożyła  
*Ariadna Demkowska-Bohdziewicz*

LIBROS

---

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Tytuł oryginału THE AWAKENING

Projekt okładki

Małgorzata Szyszkowska

Na okładce obraz Johna Stewarta „Poranek” Reprodukcja Piotr Jatrnki

Redaktor serii Barbara Miecznicka

Redakcja techniczna Katarzyna Krawczyk

Korekta Grażyna Henel Radomiła Wójcik

© Copyright for the Polish translation by Anna Bohdziewicz

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media Libros Warszawa 2002

Dział Handlowy ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa tel. 0-22 645 82 41 fax 0-22 648 47

31 zamowienia@bertelsmann.de

Skład i łamanie GABO s.c., Milanówek

Druk i oprawa GGP Media, PóBneck

ISBN 83-7311-191-3 Nr 3294

# 1

Zielonożółta papuga wisząca w klatce przy drzwiach powtarzała w kółko:

– *Allez vous-en! Allez vous-en! Sapristi!*<sup>1</sup> Już dobrze!

Znała trochę hiszpański, a także język nie znany nikomu z wyjątkiem zapewne drozda w klatce po drugiej stronie wejściowych drzwi, który z obłądnym uporem wyśpiewywał głosem fletu melodie unoszone przez wiatr.

---

<sup>1</sup> *Allez vous-en!*... (fr.) – Wynoś się! Wynoś się! Do licha! (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Pan Pontellier nie mogąc w spokoju przeczytać gazety, wstał z oburzonym wyrazem twarzy, burknął coś pod nosem i skierował się ku galeryjce, która za pomocą „mostków” łączyła poszczególne pawilony pensjonatu pani Lebrun. Siedział był na ganku głównego domu. Papuga i drozd jako własność pani Lebrun miały pełne prawo czynienia zgiełku o każdej porze. Panu Pontellier pozostał przywilej opuszczenia tego towarzystwa z chwilą, gdy przestało go bawić.

Dotarł do swego domku, który był czwartym – licząc od głównego budynku – i przedostatnim w szeregu. Rozsiadł się w plecionym fotelu na biegunach i jeszcze raz przystąpił do lektury. Była niedziela; miał gazetę z soboty. Niedzielną prasę nie dotarła jeszcze na Grand Isle. Zdołał już zaznajomić się z raportem giełdowym, przebiegł więc teraz pobieżnie artykuł wstępny i te z wiadomości, których nie miał czasu przeczytać przed wyjazdem z Nowego Orleanu.

Pan Pontellier nosił szkła. Miał lat czterdzieści, był mężczyzną średniego wzrostu i raczej smukłej budowy, lekko się garbił. Włosy miał brązowe, proste, z przedziałkiem na boku; brodę krótko przystrzyżoną i starannie utrzymaną.

Raz po raz podnosił wzrok sponad gazety i rozglądał się dokoła. Jakiż niezwykły hałas panował w domu. „Domem” nazywano główny budynek w odróżnieniu od „domków”. Ptaki nadal gadały i gwizdały. Para podlotków – bliźniaczki Farival – grała na pianinie duet z *Zampy*. Madame Lebrun krzątała się to w domu, to na podwórzu; z pokoju rzucała donośnym, piskliwym głosem polecenia chłopcu stajennemu, a z podwórka – równie donośnie – komenderowała służącą w jadalni. Pani Lebrun była wdzięczną, ponętą niewiastą, ubraną zawsze w białą suknię z rękawami odsłaniającymi łokcie. Jej wykrochmalone spódnice głośno szeleściły przy każdym kroku. Nieco dalej, za jednym z domeczków przechadzała się po ścieżce dama w czerni i z miną nabożną odmawiała różaniec. Większość osób mieszkających w tym *pension* udała się lugrem Beaufort do Chênère Caminada na mszę. Młodzież grała w krokieta pod dębami. Było tam również dwoje dzieci pana Pontellier – malcy w wieku lat czterech i pięciu. Doglądała ich niańka pół-Mulatka z twarzą powleczonej wyrazem głębokiej zadumy.

Pan Pontellier zapalił wreszcie cygaro, puścił jeden i drugi kłąb dymu i pozwolił gazecie leniwie wysunąć się z jego ręki. Utkwił wzrok w białej plamie parasola, zbliżającego się w ślimaczym tempie od strony plaży. Ujrzał parasol najpierw pomiędzy sękatymi pniami dębów, potem na tle łąki porośniętej złocistymi rumiankami. W dali zatoka stapała się mgliście z błękitem horyzontu. Parasol powoli się przybliżył. Okryta jego cieniem, zaróżowionym od jedwabnej podszewki, szła pani Pontellier z młodym Robertem Lebrun. Gdy dotarli do domeczku, osunęli się oboje z wyrazem znużenia na najwyższy stopień ganku i zwróceniu do siebie twarzami oparli plecy o słupy podtrzymujące daszek.

– Ależ to prawdziwe szaleństwo! Kapać się o tej porze, w taki upał! – wykrzyknął pan Pontellier. On sam wziął kąpiel o świcie. Z tego też powodu tak mu się dłużył poranek.

– Opaliłaś się, że trudno cię poznać – dodał, patrząc na żonę, jak się patrzy na cenną własność, która doznała pewnego uszczerbku. Żona w odpowiedzi uniosła w górę ramiona – mocne, kształtne – i podwijając mankiety, przyjrzała się krytycznie swym dłoniom. Widok ten przypomniał jej, że przed pójściem na plażę zostawiła mężowi wszystkie pierścionki. Bez słowa wyciągnęła rękę; zrozumiał jej gest, sięgnął do kieszonki kamizelki i opuścił pierścienie w otwartą dłoń żony. Wsunęła jeden po drugim na palce; potem objąwszy kolana, spojrzała na Roberta i wybuchnęła śmiechem. Pierścionki zabłyśły na jej palcach. Robert uśmiechem odpowiedział na jej śmiech.

– O co chodzi? – zapytał pan Pontellier, przenosząc leniwe, rozbawione spojrzenie z żony na Roberta. Chodziło o coś zupełnie niedorzecznego – jakiś śmieszny epizod w wodzie, o którym próbowali oboje jednocześnie opowiedzieć. W opowiadaniu wcale nie wypadł zabawnie. Było to oczywiste dla całej trójki. Pan Pontellier ziewnął i przeciągnął się. Potem wstał, mówiąc, że ma ochotę zajrzeć do hotelu Kleina i pograć w bilard.

– Chodź ze mną, Lebrun – zaproponował Robertowi. Lecz Robert otwarcie przyznał, że woli pozostać na miejscu i porozmawiać z panią Pontellier.

– Trudno. Odpraw go, Edno, kiedy zacznie cię nudzić – pouczył żonę, zabierając się do odejścia.



– Czekaj! Weź to! – zawołała, sięgając po parasol. Wziął go z rąk żony, z rozpiętym nad głową parasolem zszedł po stopniach ganku i oddalił się.

– Czy wrócisz na kolację? – krzyknęła za nim. Przystanął na moment i wzruszył ramionami. Dłonią przeciągnął po kamizelce, wymacał w kieszeni banknot dziesięciodolarowy. Nie był zdecydowany: być może wróci na wczesną kolację, być może nie. Wszystko zależało od tego, jakie zastanie u Kleina towarzystwo i jak mu pójdzie gra. Nic z tego nie powiedział, lecz domyśliła się, roześmiała i kiwnęła mu głową na pożegnanie.

Obaj chłopcy chcieli iść z ojcem, gdy ujrzeli, że odchodzi. Ucałował dzieci i przyrzekł, że przyniesie im cukierków i orzeszków.

## 2

Oczy pani Pontellier były błyszczące i ruchliwe; miały jasnobrązowy odcień jej włosów. Z charakterystyczną bystrością kierowała spojrzenie na przedmiot zainteresowania, a potem zatrzymywała na nim wzrok znieruchomiały przez chwilę, jakby pod wpływem natłoku myśli lub głębokiej zadumy.

Brwi miała odrobinę ciemniejsze od włosów. Tworzyły grubą i prawie prostą linię, podkreślającą głębię oczu. Była raczej urodziwa niż piękna. Twarz jej zniewalała swym szczerym wyrazem, w rysach czaiła się subtelna gra wewnętrznych sprzeczności. Spóśób bycia miała ujmujący.

Robert skrzył papierosa. Palił papierosy, ponieważ – tak twierdził – nie mógł pozwolić sobie na cygara. Miał w kieszeni jedno cygaro, otrzymane w podarunku od pana Pontellier, ale chował je na popołudnie. Było to słuszne i naturalne w jego sytuacji.

Robert przypominał kolorytem swą towarzyszkę. Wzajemne podobieństwo wzmagala jego gładko wygolona twarz – byłoby inaczej, gdyby miał zarost. Otwarte oblicze tego młodego mężczyzny nie zdradzało najmniejszego śladu jakiegokolwiek troski. Oczy jego wchłaniały i odbijały blask i ospałość letniego dnia.

Pani Pontellier sięgnęła po leżący na ganku wachlarz z palmowego liścia i zaczęła się wachlować. Robert puszczał wargami kłęby dymu z papierosa. Gwarzyli bez przerwy: o tym, co ich otacza; o śmiesznym incydencie nad morzem – odzyskał teraz swój zabawny aspekt; o wietrze, o drzewach, o osobach, które wybrały się do Chênrière; o dzieciach grających w krokietu pod dębami i o bliźniaczkach Farivalów, które grały dla odmiany uwerturę do *Chłopa i poety*.

Robert wiele mówił o sobie. Był bardzo młody i nie znalazł lepszego tematu. Z tego samego powodu pani Pontellier również mówiła o sobie. Słuchali się nawzajem z ciekawością. Robert zwierzył się z zamiaru podróży do Meksyku jesienią; w Meksyku na pewno czekała go fortuna. Wybierał się od dawna, lecz dziwnie jakoś nie mógł tam dotrzeć. Zamiast tego trzymał się skromnej posadki w domu handlowym w Nowym Orleanie, gdzie biegła znajomość zarówno angielskiego, jak i francuskiego i hiszpańskiego zapewniała mu nie najgorszą rangę urzędnika prowadzącego korespondencję firmy.

Spędzał letnie wakacje, jak zwykle, u matki na Grand Isle. Dawniej, w czasach, których Robert nie mógł pamiętać, dom ten był luksusową letnią rezydencją rodziny Lebrun. Obecnie, powiększony o tuzin lub więcej letnich pawilonów, zawsze wynajmowanych przez wytwornych gości z Quartier Français, zapewniał madame Lebrun utrzymanie, a nawet egzystencję pełną wygod, do których – we własnym przekonaniu – miała prawo przyrodzone.

Pani Pontellier opowiadała o plantacji swego ojca w stanie Missisipi i o latach dziewczęcych spędzonych w rodzinnym domu w Kentucky, kochanym starym kraju, porośniętym błękitną trawą<sup>2</sup>. Była Amerykanką, a niewielka domieszka krwi francuskiej chyba całkowicie już rozpuściła się w jej żyłach.

Przeczytała list od swej siostry bawiącej na Wschodzie, która miała niebawem poślubić swego narzeczonego. Robert słuchał z zainteresowaniem, pragnął wiedzieć, jakie były siostry pani Pontellier, jaki był jej ojciec i kiedy umarła jej matka.

Gdy pani Pontellier złożyła odczytany list, pora była przebrać się do wczesnej kolacji.

– Widzę, że Léonce nie wraca – zauważyła, rzuciwszy spojrzenie w stronę, w której zniknął jej mąż. Robert przytaknął; u Kleina zebrało się sporo bywalców nowoorleańskich klubów.

Pani Pontellier opuściła Roberta i udała się do swego pokoju; młody człowiek zszedł po stopniach ganku, skierował się ku gromadce młodzieży grającej w krokieta i przez pół godziny, aż do kolacji, bawił się z dziećmi państwa Pontellier, które za nim przepadały.

---

<sup>2</sup> Tzw. rajgras (odmiana *poa pratensis*, dająca najlepszy gatunek siana) jest herbowym znakiem stanu Kentucky, który słynie po dziś dzień z hodowli koni i tradycyjnych wyścigów konnych.

### 3

Minęła już jedenasta, kiedy pan Pontellier powrócił od Kleina. Był w świetnym humorze i w nastroju do pogawędki. Wejście jego zbudziło Ednę, która już mocno spała. Gadał, rozbierając się, powtarzał anegdoty, wiadomości i plotki zasłyszane w ciągu dnia. Wyjął z kieszeni spodni garść pomiętych banknotów i srebrnego bilonu i niedbale położył to wszystko na biurku wraz z kluczami, scyzorykiem, chusteczką i innymi drobiazgami, które nosił w kieszeniach. Edna rozespana odpowiadała mu monosylabami.

Poczuł się dotknięty faktem, iż żona, której poświęcał wszystkie swe starania, okazała tak mało ciekawości dla spraw dotyczących jego osoby i tak mało sobie ceniła rozmowę z własnym mężem.

Pan Pontellier zapomniał przynieść chłopcom cukierki i orzeszki, niemniej kochał ich bardzo i udał się do przyległego pokoju, aby rzucić okiem na synów i upewnić się, że śpią spokojnie. Rezultat tej inspekcji wcale go nie zadowolił. Musiał poprawić pościel i ułożyć chłopców – jeden z nich brykał przez sen i mamrotał o jakimś koszyku pełnym krabów.

Pan Pontellier powrócił do żony z wiadomością, że Raoul ma gorączkę i trzeba się nim zająć. Powiedziawszy to, zapalił cygaro i usiadł przy otwartych drzwiach, żeby spokojnie je wypalić.

Pani Pontellier była zupełnie pewna, że Raoul nie ma żadnej gorączki. Poszedł spać w doskonałym zdrowiu, odrzekła, i nic go nie bolało przez cały dzień. Pan Pontellier zbyt dobrze znał symptomy gorączki, by się mylić. Zapewnił żonę, że gdy tu rozmawiają ze sobą, dziecko leży w sąsiednim pokoju rozpalone.

Zarzucił żonie brak troskliwości i typowe dla niej zaniedbywanie dzieci. Jeśli nie matka powinna opiekować się dziećmi, to któż, na Boga, będzie to robił! Przecież nie on, który ma pracę na giełdzie! Nie może być w dwóch miejscach naraz; zarabiać na dom i jednocześnie siedzieć w tym domu i pilnować, by nic złego się nie stało. Rozprawiał wytrwale, ton głosu miał nudny i natarczywy.

Pani Pontellier wyskoczyła z pościeli i pobiegła do sąsiedniego pokoju. Po chwili wróciła, przysiadła na brzegu łóżka i bez słowa skłoniła głowę na poduszkę, odmawiając odpowiedzi mężowi, gdy zadał jej pytanie. Pan Pontellier wypalił cygaro, położył się i po minucie spał twardo.

Tymczasem jego żona całkowicie wybiła się ze snu. Zaczęła cicho popłakiwać, potem otarła oczy rękawem peniuaru. Zgasiała zostawioną przez męża świecę, wsunęła bosc stopy w satynowe *mules*<sup>3</sup> stojące przy łóżku i wyszła na ganek; tam usiadła w trzcinowym fotelu na biegunach, który się lekko pod nią kołysał.

Było po północy. We wszystkich pawilonach zaległa ciemność. Słabe, przygniłone światło dobiegało z hallu domu. Ciszę panującą dokoła przerywało pohukiwanie starej sowy na szczycie dębu i odwieczny głos morza stłumiony w tej spokojnej godzinie. Przenikał noc niczym echo smętnej kołysanki.

---

<sup>3</sup> *Mules* (fr.) – domowe pantofelki bez pięty.



Łzy lały się tak obficie z oczu pani Pontellier, że nie wystarczał do ich otarcia zupełnie już mokry rękaw peniuaru. Zarzuciła ramię za oparcie fotela – ramię, które wyjrzało nagie z szerokiego rękawa, mokrą i spoconą twarz wcisnęła w zgięcie łokcia i płakała, nie dbając już o otarcie twarzy, oczu, rąk. Nie umiałaby powiedzieć, dlaczego płacze. Takie sceny jak tej nocy były czymś zwykłym w jej małżeńskim życiu i raczej pozbawione znaczenia wobec ogromnej dobroci męża i przykładowego wprost jego oddania, o którym zresztą przestał już zapewniać, jako o czymś, co się samo przez się rozumie.

Uczucie nieopisanego przygnębienia, które zdawało się rodzić gdzieś w niezbadanych warstwach jej świadomości, napełniło całe jestestwo tej kobiety nieokreślonym lękiem. Było jak cień, jak mgła, która spadła na letni dzień jej duszy. Dziwne to było i niesamowite; przedziwne ogarnęło ją uczucie. Siedząc na ganku, nie złorzeczyła w duchu swemu mężowi, nie lamentowała nad Przeznaczeniem, które skierowało jej kroki na tę, a nie inną ścieżkę. Po prostu pragnęła wypłakać się w samotności. Tańczące w powietrzu moskity kłuły jej krągłe, jędrne ramiona i kasały gołe podbicia stóp.

Te jadowite i brzęczące stwory zdołały w końcu zniszczyć nastrój, który zdolny byłby zatrzymać ją w mroku jeszcze przez pół nocy.

Następnego ranka pan Pontellier wstał o stosownej porze, by dojechać bryczką na przystań statku.

Powracał do miasta, do swych interesów i zjawi się na wyspie dopiero w sobotę. Odzyskał panowanie nad sobą, które ubiegłej nocy zdawało się nieco zachwiane. Pragnął czym prędzej wyjechać, czekał go tydzień ożywionej działalności na ulicy Carondelet<sup>4</sup>.

Pan Pontellier dał żonie połowę pieniędzy, które przyniósł z hotelu Kleina poprzedniego wieczoru. Lubiła pieniądze, jak większość kobiet, i przyjęła je z niemałym zadowoleniem.

– Kupię za to piękny prezent ślubny dla Janet! – orzekła, wyglądając i przeliczając pomięte banknoty.

– Och, moja droga! Twoją siostrę Janet potraktujemy z większą hojnością – roześmiał się pan Pontellier nachylony do pożegnalnego pocałunku.

Malcy skakali dokoła ojca, obejmowali go za nogi, dopominając się o przywiezienie różnych drobiazgów. Pan Pontellier cieszył się ogólną sympatią i nigdy nie brakowało pań, panów, dzieci i nawet nianieek spieszących go pożegnać. Żona z uśmiechem kiwała mu ręką, a chłopcy krzyczeli, gdy stara bryka, w której siedział, znikła za zakrętem piaszczystej drogi.

---

<sup>4</sup> Ulica Carondelet – handlowe centrum Nowego Orleanu na przełomie stuleci.

Parę dni później nadeszła pocztą przesyłka dla pani Pontellier od męża z Nowego Orleanu, a w niej pudło pełne *friandises*<sup>5</sup> – najlepsze owoce i *patés*<sup>6</sup>, prócz tego kilka butelek pysznego syropu i mnóstwo cukierków.

Pani Pontellier szafowała zawsze zawartością takich przesyłek, które przywykła otrzymywać, gdy bawiła poza domem. *Patés* i owoce znalazły się w jadalni, cukierki zostały rozdane. A panie – małe łakomczuszki – wybierając łakocie delikatnymi, wybrednymi paluszkami, oświadczyły, że pan Pontellier jest najlepszym na świecie mężem. Pani Pontellier pod naciskiem przyznała, że lepszego istotnie nie zna.

---

<sup>5</sup> *Friandises* (fr.) – smakołyki.

<sup>6</sup> *Patés* (fr.) – ciasta.

## 4

Pan Pontellier niełatwo mógłby określić w sposób zadowolający jego i innych, w czym właściwie jego żona uchybiała swym obowiązkom wobec dzieci. Chodziło o coś, co raczej wyczuwał, niż spostrzegał, i gdy zdarzyło mu się dać głośny wyraz swym odczuciom, to potem zawsze cierpiał żal i wielką skruchę.

Gdy któryś z malców nabił sobie guza przy zabawie, wcale nie był skłonny biec z płaczem do matki, żeby w jej ramionach znaleźć pociechę; bardziej było prawdopodobne, że wstanie o własnych siłach, połknie łyżę, otrze buzię z piasku i powróci do zabawy. Choć była to jeszcze para malców, nie ustępowali nikomu w dziecinnych potyczkach, z krzykiem i zaciśniętymi pięściami rzucali się na wszystkich maminsynków. Niankę pół-Mulatkę uważali za wielką zawadę – dobra była do zawiązania fartuszka i wciągania majtek, wyszczotkowania włosów i rozczesania przedziałka – skoro już obowiązki towarzyskie domagały się jednego i drugiego.

Krótko mówiąc, pani Pontellier nie była kobietą matką. Kobiety matki zdawały się przeważać tego lata na Grand Isle. Łatwo można je było rozpoznać – krążące z opiekuńczo rozpostartymi skrzydłami, gdy tylko jakieś niebezpieczeństwo, prawdziwe lub wyimaginowane, zagrażało ich cennemu potomstwu. Były to kobiety, które ubóstwiały swe dzieci, czciły swych mężów i uważały za święty przywilej wyzbycie się wszelkiej indywidualności w zamian za skrzydła anioła stróża.

Wiele kobiet odznaczało się w tej roli niemałym urokiem, jedna z nich była wręcz wcieleniem kobiecego wdzięku i czaru. Gdyby mąż jej nie uwielbiał, to byłby brutalem zasługującym na śmierć w powolnych torturach. Nazywała się ta pani Adele Ratignolle. Brak słów doprawdy, by ją opisać, chyba że sięgniemy po owe staroświeckie określenia służące niegdyś do odmalowania bohaterki starego romansu lub wysnionej damy naszego serca. Nie było nic wyrafinowanego lub tajemniczego w jej wdziękach; była to uroda jawna, bujna: włosy jak złote runo, nie dające się ujarzmić ani grzebieniem, ani szpilkami, oczy niebieskie jak prawdziwe szafiry, wargi pełne i tak pąsowe, że przywoływały na myśl wiśnie albo jakiś inny smakowity czerwony owoc. Zaczynała lekko tyć, lecz nie odejmowało to ani odrobiny lekkości i wdzięku jej krokom, postawie, ruchom. I nikt by chyba nie pragnął, aby ten biały karczek był choć o jotę mniej pulchny lub piękne ramiona smuklejsze. Ręce o kształcie bardziej doskonałym trudno byłoby znaleźć i wielką zaiste przyjemność sprawiał ich widok, gdy nawlekała igłę albo wkładała złoty napałek na wskazujący paluszek, szyjąc z zapalem parę małych śpioszków lub krojąc stanik czy śliniaczek.

Madame Ratignolle lubiła panią Pontellier i często przychodziła z robótką, by spędzić popołudnie w towarzystwie przyjaciółki. Była u niej również tego dnia, gdy zjawilo się pudło z Nowego Orleanu. Siedziała w bujanym fotelu zajęta szyciem pary maleńkich śpioszków.

Przyniosła ich wykrój dla pani Pontellier – arcydzieło konstrukcji niebywale zręcznej: okryte aż po oczy niemowlę wyglądało w nich jak mały Eskimos; strój na zimę, gdy poprzez komin docierają zdradliwe przeciągi i przez dziurkę od klucza wnika zabójczy chłód.

W sprawie bieżących potrzeb materialnych swych dzieci pani Pontellier sumienie miała spokojne i nie widziała powodu do przesadnej zapobiegliwości – bo czemuż by, zaiste, ubranka przeznaczone na zimę miały zaprzętać jej umysł w czasie letnich medytacji... By jednak nie okazać braku życzliwości i zainteresowania, przyniosła gazety, rozpostarła je na podłodze i pod kierunkiem madame Ratignolle wycięła patron owego okrycia, co tak dobrze chroni przed zimnem.

Był przy tym Robert, jak poprzedniej niedzieli; pani Pontellier siedła naprzeciw niego na najwyższym stopniu i leniwie przyłgnęła plecami do słupa ganku. Obok niej leżało pudło słodczy, które raz po raz podsuwała madame Ratignolle.

Dama ta długo zwlekała z wyborem, wreszcie zdecydowała się na kawałek nugatu, zaniepokojona, czy nie nazbyt pożywny, czy jej nie zaszkodzi. Madame Ratignolle od siedmiu lat była mężatką. Mniej więcej co drugi rok rodziła dziecko. W owym czasie miała już ich troje i zaczynała myśleć o czwartym. Wiecznie mówiła o swym „stanie”. Jej obecny „stan” wcale nie rzucał się w oczy i nikt by się niczego nie domyślił, gdyby uparcie nie powracała do tego tematu.

Robert zaczął pocieszać ją, zapewniając, że znał pewną damę, która żywiła się wyłącznie nugatem przez cały czas swej... – lecz ugryzł się w język, widząc rumieniec na twarzy pani Pontellier, i zmienił temat.

Pani Pontellier, jakkolwiek poślubiła Kreola, trochę nieswojo czuła się wśród Kreolów<sup>7</sup>, a tak się złożyło, że zdana tu była wyłącznie na ich towarzystwo. U Lebrunów tego lata byli wyłącznie Kreole. Znali się wszyscy i czuli się jedną wielką rodziną, zespoloną uczuciem szczerzej serdeczności. Cechował ich wszystkich charakterystyczny, a dla pani Pontellier niezwykle krępujący, brak jakiegokolwiek pruderii. Z początku śmiałość ich rozmów była dla niej wprost niepojęta, jakkolwiek bez trudu godząca się z wrodzoną Kreolkom nieskazitelną czystością moralną.

---

<sup>7</sup> Kreole – biali potomkowie francuskich osadników w Lucjanie (kolonii francuskiej do roku 1803).



Nigdy nie potrafiła zapomnieć uczucia zakłopotania, z jakim słuchała madame Ratignolle, gdy ta raczyła kiedyś starego pana Farival nie pozbawioną najintymniejszych szczegółów opowieścią o udręce jednego ze swych *accouchements*<sup>8</sup>. Z biegiem czasu Edna zasmakowała nawet w słuchaniu różnych śmiałych historyjek, choć nie potrafiła jeszcze zapanować nad rumieńcem barwiącym jej policzki przy podobnych okazjach. Nierzadko swym nadejściem przerywała pieprzne anegdotki, którymi Robert bawił grono rozweselonych mężatek.

W *pension* krążyła z rąk do rąk pewna książka. Gdy trafiła do Edny, ta czytała ją z najwyższym zdumieniem, a nawet – w przeciwieństwie do innych osób – instynktownie kryła się z lekturą i na odgłos zbliżających się kroków pospiesznie chowała książkę. Krytykowano otwarcie takie postępowanie i bez żenady omawiano je przy stole. Pani Pontellier przywykła wreszcie do miejscowych obyczajów, doszedłszy do wniosku, że dziwnym rzeczem nigdy nie ma końca.

---

<sup>8</sup> *Accouchements* (fr.) – połógów.

## 5

Tworzyli zgrane towarzystwo, siedząc na ganku owego letniego wieczoru. Madame Ratignolle zajęta była szyciem, które nierzadko przerywała, by opowiedzieć jakąś historyjkę czy wydarzenie z pełnym ekspresji gestem swych pięknych rąk; Robert i pani Pontellier siedzieli beczynn timeraz po raz wymieniali to jakąś krótką uwagę, to spojrzenie lub uśmiech dowodzące dość daleko posuniętej zażyłości i prawdziwej *camaraderie*<sup>9</sup>.

---

9 *Camaraderie* (fr.) – koleżeństwo.

Przez ostatni miesiąc Robert żył w cieniu pani Pontellier. Nikt nie miał mu tego za złe. Wiele osób przepowiedziało, że gdy przyjedzie pani Pontellier, to Robert odda się w jej służbę całkowicie. Od bardzo dawna, od czasu gdy miał piętnaście lat, Robert spędzał każde lato na Grand Isle i sam siebie mianował adiutantem pięknych pań lub panien: nieraz była to młoda dziewczyna, to znów jakaś wdowa, lecz najczęściej – interesująca mężatka.

Przez dwa kolejne sezony grzał się w słońcu obecności mademoiselle Duvigne. Lecz umarła, nie doczekawszy kolejnego lata; nieutulony w żalu Robert rzucił się wówczas do stóp madame Ratignolle po okruchy współczucia i pocieszenia, których w swej łaskawości mu nie pożałowała.

Pani Pontellier lubiła siedzieć i patrzeć na swoją śliczną towarzyszkę jak na pełen doskonałości wizerunek Madonny.

– I kto by przypuszczał, że tyle jest okrucieństwa pod powłoką takiej piękności – szepnął Robert. – Wiedziała, że kiedyś ją uwielbiałem i pozwalała się uwielbiać. „Robercie, chodź tu, idź tam; siadaj, zrób to, zrób tamto; zobacz, czy mały śpi; mój naparstek, jeśli łaska, nie mam pojęcia, gdzie się zapodział. Chodź i poczytaj mi Daudeta, a ja zajmę się szyciem”.

– *Par exemple!*<sup>10</sup> Nigdy nie musiałam prosić. Byłem zawsze u moich stóp, jak natrętnie kocisko.

---

<sup>10</sup> *Par exemple!* (fr.) – Coś podobnego!

– Raczej jak pełen oddania pies. I jak psa mnie traktowano, gdy na horyzoncie pojawiał się Ratignolle. „*Passez! Adieu! Allez vous-en!*”<sup>11</sup>

– Może bałam się obudzić zazdrość w moim mężu – wtrąciła z niewinną minką. Rozśmieszyło to całą trójkę. Prawa ręka zazdrosna o lewą! Serce zazdrosne o duszę! Lecz jeśli już o to chodzi, to Kreol nie zna zazdrości o żonę – trująca ta namiętność skarłała w nim do cna wskutek braku podniety.

Tymczasem Robert, zwracając się do pani Pontellier, mówił dalej o swym dawnym, beznadziejnym uwielbieniu dla madame Ratignolle; o bezsennych nocach, trawiących go takim ogniem, że morze syczało, gdy wchodził do rannej kąpieli. Dama przy igle raz po raz przerywała mu pogardliwym słówkiem:

– *Blaguer, farceur, gros bête, va!*<sup>12</sup>

---

<sup>11</sup> *Passez! Adieu!*... (fr.) – Niech pan odejdzie, żegnam pana! Niech się pan wynosi!

<sup>12</sup> *Blaguer*... (fr.) – Kłamczuch! Kpiarz! Precz, podłe zwierzę!

Ów ton pół żartem, pół serio zniknął, gdy Robert był sam na sam z panią Pontellier. Ona zaś nigdy nie wiedziała, co właściwie oznaczał; niezdolna była odgadnąć, ile w tym było swawoli, a ile powagi. Rozumiało się samo przez się, że Robert mówiąc madame Ratignolle słowa miłości, nie sądził ani przez chwilę, że mogą być wzięte poważnie. Pani Pontellier była zadowolona, że nie przybierał takiej samej pozy wobec niej. Byłoby to nie do przyjęcia, sprawiłoby jej przykrość.

Pani Pontellier przyniosła swój szkicownik, którym lubiła się bawić zupełnie po amatorsku. Znajdowała w tym satysfakcję, której nie dawało jej żadne inne zajęcie.

Od dawna pragnęła wypróbować swe siły na pani Ratignolle. Nigdy jeszcze przyjaciółka nie wydawała jej się bardziej ponętym modelem jak właśnie w tym momencie – gdy odbłask gasnącego dnia nasycił tę postać zmysłowej Madonny nieporównanym kolorytem.

Robert przeniósł się na drugą stronę ganku i usiadł o stopień niżej od pani Pontellier, by móc obserwować jej pracę. Posługiwała się pędzlem z niejaką wprawą i fantazją, idącą nie tyle ze znajomości rzemiosła, co z wrodzonego talentu. Robert w skupieniu śledził ruchy jej ręki, nie szczedząc mimowiednych okrzyków zachwyту, które w języku francuskim kierował do pani Ratignolle.

– *Mais ce n'est pas mal! Elle s'y connaît, elle a de la force.*<sup>13</sup>

W tym zapamiętaniu oparł lekko głowę o ramię pani Pontellier. Równie delikatnie ją odtrąciła. Jeszcze raz powtórzył poufały gest. Wierzyła, że był to z jego strony gest nieumyślny, niemniej trudno było coś takiego tolerować. Bez wyrzutu czy uwag znów tę głowę odepchnęła spokojnie, lecz stanowczo. Robert ani słowem jej nie przeprosił.

Ukończony szkic nie zdradzał najmniejszego podobieństwa do madame Ratignolle. Była ogromnie rozczarowana, gdy to stwierdziła. Lecz obrazek sam w sobie był ładny i pod wielu względami stanowił dzieło całkiem zadowalające.

Pani Pontellier myślała jednak inaczej. Przyjrząwszy się swej pracy krytycznie, nagłym pociągnięciem pędzla przekreśliła wszystko i zgmiotła papier w dłoniach.

---

<sup>13</sup> *Mais ce n'est...* (fr.) – Wcale nieźle! Ona zna się na tym. robi to z talentem.

Obydwaj malcy wbiegli po stopniach na ganek, niania nadciągała za nimi w przyzwoitym oddaleniu – rzecz, której chłopcy wymagali od niej z całą surowością. Pani Pontellier kazała im wnieść do domu farby i cały swój warsztat malarski. Pragnęła zatrzymać dzieci, by z nimi trochę porozmawiać i pożartować. Lecz chłopcy miny mieli poważne. Przyszli jedynie po to, by zbadać zawartość pudła z łakociami. Każdy z nich wyciągnął obydwie rączki w próżnej nadziei, że zostaną napełnione cukierkami, lecz przyjęli bez szemrania to, co matka dać im raczyła, i odeszli.

Słońce wisiało nisko na zachodzie, delikatny, leniwy powiew z południa napełnił powietrze urzekającym zapachem morza. Pod dębami zebrały się dzieci na zabawę. Przenikliwe ich głosy niosły się daleko.

Madame Ratignolle złożyła swoje szycie, napastrzek, nożyczki i nici starannie zawinęła w materiał i zawiniątko spięła szpilkami. Powiedziała, że źle się czuje. Pani Pontellier pobiegła po wodę kolońską i wachlarz. Obmyła jej twarz, podczas gdy Robert z wręcz przesadną gorliwością poruszał wachlarzem.

Napad słabości wkrótce minął i pani Pontellier nie mogła się powstrzymać od podejrzenia, że przyczyną była tu imaginacja, gdyż kolory z twarzy przyjaciółki nie zniknęły ani na chwilę.

Edna wstała, odprowadzając wzrokiem piękną kobietę, która szła przez galerię z wdziękiem i dostojeństwem prawdziwie królewskim. Młodsze dzieci wybiegły na spotkanie matki. Dwoje z nich chwyciło się jej białych spódnic, trzecie wzięła od niańki i obsypując pieśczołami, niosła w czułych ramionach. Jakkolwiek lekarz – o czym wszyscy wiedzieli – nie pozwolił jej podnosić nawet szpilki!

– Czy pójdzie się pani kąpać? – spytał Robert panią Pontellier. Było to nie tyle pytanie, co przypomnienie.

– Chyba nie – odrzekła tonem niezdecydowanym. – Jestem zmęczona; raczej nie pójdę. – Spojrzenie jej pobiegło ku zatoce, której dźwięczny szept docierał do niej niby czułe, lecz natarczywe błaganie.

– Chodźmy! – nalegał. – Nie powinna pani opuszczać kąpieli. Woda musi być cudowna, nie zaszkodzi pani. Chodźmy.

Sięgnął po jej duży słomkowy kapelusz wiszący zawsze na kołku przy drzwiach i włożył jej na głowę. Zeszli po stopniach i poszli razem na plażę. Słońce już zachodziło, powiewał ciepły, łagodny wiatr.



## 6

Edna Pontellier nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego pomimo chęci pójścia z Robertem na plażę najpierw uważała, że powinna mu odmówić, a następnie uległa jednemu z dwóch tak sprzecznych ze sobą impulsów.

Zaczęło się w niej budzić jakieś mgliste światło, które wskazując drogę, jednocześnie jej wzbraniało.

W tym wczesnym okresie powodowało to jedynie oszołomienie, skłonność do marzeń, zamyśleń, do owego mrocznego lęku, co ogarnął ją kiedyś w środku nocy, gdy poddała się fali płaczu.

Krótko mówiąc, pani Pontellier zaczynała uświadamiać sobie, jakie miejsce – będąc człowiekiem – zajmuje we wszechświecie i jaki jest jej indywidualny stosunek do tego świata, który nosi w sobie, i do świata, który ją otacza. Być może zbyt ciężkie jest to brzemie dla umysłu młodej kobiety liczącej lat dwadzieścia osiem – być może większe, niż Duch Święty raczy zazwyczaj zsyłać kobiecie.

Lecz każdy początek, zwłaszcza początek jakiegoś świata, z konieczności jest niejasny, pogmatwany, chaotyczny i w najwyższym stopniu niepokojący. Mało kto z nas posuwa się poza ten początek! Ileż to dusz ginie na progu, unicestwionych przez chaos!

Głos morza uwodzi; nigdy nie milknie, szepcząc coś, skarżąc się cichym szmerem, wabiąc duszę choć na chwilę w przepaść samotności, by zatraciła się w labiryncie wewnętrznej kontemplacji.

Głos morza kieruje się ku duszy; dotyk morskich fal jest zmysłowy – obejmuje ciało miękkim, ciasnym uściskiem.

## 7

Pani Pontellier nie należała do kobiet, które się zwierniają; cecha ta – jak dotąd – sprzeczna była z jej naturą. Nawet jako dziecko żyła swym własnym, małym życiem wewnętrznym, skryta, zamknięta w sobie. Bardzo wczesnie wyczuła dwoistość życia – sprzeczność pomiędzy zewnętrzną egzystencją człowieka, godzącą się na wszystko, i życiem duszy, która wiecznie pyta.

Owego lata na Grand Isle Edna zaczęła z wolna rozluźniać ów pancerz rezerwy, w którym była zakuta. Prawdopodobnie istniały – nawet na pewno musiały istnieć – jakieś czynniki subtelne i jednocześnie dostrzegalne, działające na nią w tym kierunku; lecz najbardziej oczywisty był wpływ Adeli Ratignolle. Pociągał Ednę, bardzo wrażliwą na piękno, nieodparty urok fizyczny tej Kreolki. Następnie szczerłość i otwartość jej natury, oczywista dla wszystkich i tak mocno kontrastująca ze skrytością Edny. To również mogło zaważyć na ich zbliżeniu. Zresztą któż wie, z jakiego metalu bogowie kują owe subtelne więzy, które nazywamy sympatią lub – równie dobrze – miłością.

Pewnego ranka obydwie kobiety wzięwszy się pod rękę, poszły na plażę osłonięte dużym białym parasolem. Edna nakłoniła madame Ratignolle do pozostawienia dzieci, natomiast musiała się zgodzić na zabranie ręcznej robótki, którą Adela po usilnych błaganiach wsunęła do przepastnej kieszeni sukni. Szczęśliwie udało im się uciec przed Robertem.

Spacer na plażę wcale nie należał do najkrótszych, szło się dość długo piaszczystą drogą, od której wiodły na prawo i na lewo ścieżynki przecinające rzadkie kępy splątanej zieleni; za pasem tej zieleni ciągnęły się z obydwu stron drogi całe łąny żółtych rumianków, a jeszcze dalej – ogrody warzywne i wśród nich małe plantacje pomarańczy i cytryn. Na ciemnych kopułach tych drzew lśnił w dali blask słońca.

Obydwie kobiety były dość słusznego wzrostu; kształty madame Ratignolle nieco więcej miały w sobie kobiecości i cech macierzyńskich. Urok cielesny Edny Pontellier działał dyskretniej. Miała ciało o długich członkach, pięknej symetrycznej sylwetce, samorzutnie przybierającej pełną swobody szlachetną pozę; nie było w nim nic ze sztywnych stereotypów epoki. Przypadkowy i obojętny widz mógłby przechodząc nie rzucić nawet jednego spojrzenia na tę postać; lecz patrząc uważniej i z zastanowieniem, rozpoznałby szlachetne piękno modelunku i wdzięczną powagę ruchów, które wyróżniały Ednę Pontellier w tłumie.

Miała na sobie owego ranka przewiewny biały muślin, przetkany poprzecznie falistą kreską brązu; ozdabiał suknię biały lniany kołnierz. Duży słomkowy kapelusz, wiszący zawsze na kołku u wejścia do domu, okrywał niedbale jej wijące się, ciężkie, gęste ciemnoblonde włosy.

Bardziej dbała o swą cerę madame Ratignolle otuliła głowę welonem z gazy. Nałożyła również długie skórkowe rękawiczki sięgające aż po nadgarstek. Była cała w bieli i falbankach, bardzo dla niej stosownych. Rzeczy powiewne, luźno udrapowane zgodniejsze były z jej bujną, zmysłową urodą niż suknie o surowym kroju.

Wzdłuż całej plaży stały rzędem drewniane kabiny, solidnie zbudowane, zabezpieczone od strony morza wąskimi pomostami. Kabiny składały się z dwóch pomieszczeń i każda rodzina mieszkająca u Lebrunów miała dla siebie jedno takie pomieszczenie, wyposażone w podstawowy sprzęt i przybory do morskiej kąpieli. Obydwie kobiety nie zamierzały się kąpać; przyszły tu, żeby się nacieszyć samotnością i bliskością morza. Kabiny Pontellierów i Ratignolle'ów mieściły się pod jednym dachem.

Pani Pontellier z przyzwyczajenia zabrała ze sobą klucz do kabiny. Otworzyła ją, weszła do środka, skąd wyniosła koc i dwie duże poduszki ze zgrzebnego płótna wypchane końskim włosiem; koc rozłożyła na pomoście, poduszki oparła o ścianę.

Kobiety usiadły ocienione daszkiem kabiny, oparły wygodnie plecy o poduszki i wyciągnęły przed siebie nogi. Madame Ratignolle zdjęła welon, otarła twarz cieniutką chusteczką i zaczęła się wachlować – zawsze miała przy sobie wachlarz zawieszony u boku na długiej, wąskiej wstążce. Edna zdjęła kołnierz i rozpięła suknię pod szyją. Wyjęła z ręki przyjaciółki wachlarz i zaczęła wachlować ją i siebie. Było bardzo gorąco i przez dłuższą chwilę obydwie kobiety ograniczyły się do uwag na temat upału, słońca, doskwierającego żaru. Lecz powiał nagle silny wiatr, popędził przed sobą białe grzywy fal, a kobietom szarpnął i wydał spodnice. Musiały z nim walczyć przez dobrą chwilę, przytrzymać rozwiane fałdy, poprawić szpilki we włosach i mocniej przypiąć kapelusze. Nieopodal tkwiło w wodzie zaledwie parę osób. Była to godzina ciszy nad morzem, której nie mącił ludzki gwar. Dama w czerni czytała swe poranne modlitwy na pomoście sąsiedniej kabiny. Młodzi kochankowie pograżyli się w zwierzeniach pod namiotem dla dzieci, który zastali pusty.

Edna Pontellier rozejrzała się dokoła, wreszcie zwróciła oczy w stronę morza. Dzień był przejrzysty, spojrzenie wędrowało bez przeszkód aż po krańce nieba; nad horyzontem zawisło kilka leniwych obłoków. Od strony Cat Island ukazał się łaćniński żagiel, na południu kilka innych zdawało się tkwić nieruchomo w dali.

– O kim – o czym myślisz? – spytała żartobliwie Adela; od kilku minut przyglądała się z ciekawością swej towarzyszce uderzona głębokim skupieniem, które twarzy Edny nadało wyraz posągowego spokoju.

– O niczym. – Pani Pontellier wzdrygnęła się na dźwięk jej głosu i zaraz dodała: – Jakie to głupie! Ale myślę, że w pierwszym odruchu zawsze się tak odpowiada na podobne pytanie. Czeka! – Odrzuciła w tył głowę i zmrużyła swe wspaniałe oczy, które zamieniły się w dwa błyszczące, świetliste punkty. – Czeka, niech się zastanowię. Miałam wrażenie, że nie myślę o niczym, ale może uda mi się odtworzyć moje myśli.

– Och, nie zaprzataj sobie tym głowy! – roześmiała się madame Ratignolle. – Wcale nie domagam się czegoś podobnego. Tym razem dam ci spokój. Jest naprawdę za gorąco na myślenie, zwłaszcza na myślenie o myślach.



– Warto, choćby dla zabawy – uparła się Edna. – Przede wszystkim widok tej bezkresnej wody, nieruchomych żagli na tle niebieskiego nieba tworzy cudowny obraz, za którym właśnie tęskniłam. A kiedy poczułam na twarzy gorące uderzenie wiatru, myśli moje przeniosły się – bez żadnego związku, który potrafiłabym wyjaśnić – do Kentucky, do pewnego letniego dnia, do łąki, która małej dziewczynce wydawała się wielka jak ten ocean, gdy szła po trawie sięgającej jej powyżej pasa. Wyrzucała naprzód ramiona jak przy pływaniu, rozgarniając wysoką trawę jak wodę. Och, teraz już widzę związek.

– Dokąd szłaś owego dnia w Kentucky?

– Nie pamiętam w tej chwili. Po prostu szłam na przełaj przez ogromną łąkę. Widok miałam ograniczony przez czepeczek na głowie. Widziałam tylko pas zieleni i czułam, że muszę iść wciąż naprzód, naprzód i że to będzie trwało wiecznie. Nie pamiętam, czy byłam zadowolona, czy przestraszona. Raczej rozbawiona.

Była to na pewno niedziela – dodała ze śmiechem – i uciekłam z nabożeństwa w prezbiteriańskim kościele od modlitw, które mój ojciec czytał ponurym głosem i na których wspomnienie jeszcze dziś czuję zimny dreszcz.

– Czy od tego czasu zawsze uciekasz z nabożeństwa, *ma chère*?<sup>14</sup> – zażartowała madame Ratignolle.

---

<sup>14</sup> *Ma chère* (fr.) – moja droga.

– Nie! Ach nie! – zaprzeczyła gorąco Edna. – Byłam wtedy małym, bezmyślnym dzieckiem, które bez zastanowienia uległo grzesznej pokusie. Religia – przeciwnie! – w pewnej epoce mego życia zawładnęła mną całkowicie; od chwili gdy skończyłam lat dwanaście, aż do... aż do... ależ tak! Sądzę, że aż do dziś, choć nigdy o tym nie myślę – może chodzi tu raczej o siłę nawyku. Ale czy wiesz – przeniosła swe bystre spojrzenie na madame Ratignolle i nachyliła twarz do twarzy przyjaciółki – tego lata miewam czasem takie uczucie, jakbym znów szła przez tę zieloną łąkę, leniwie, bez celu, nie myśląc o niczym.

Madame Ratignolle nakryła dłonią dłoń pani Pontellier, uściśnęła ją mocno i z uczuciem. Widząc, że Edna swej ręki nie cofa, pogładziła ją czule i szepnęła: – *Pauvre chérie*<sup>15</sup>.

Gest ten zrazu speszył Ednę, lecz po chwili poddała się ulegle subtelnej pieśczoście Kreolki. Nie przywykła była w swym życiu rodzinnym do wylewnych objawów uczuć. Z młodszą siostrą Janet kłóciła się bezustannie. Starsza siostra Margaret była macierzyńska i dostojna, prawdopodobnie dlatego, że zbyt wcześnie objęła matczyne i gospodarskie obowiązki, matka ich umarła, gdy były dziećmi. Margaret nie była z natury uczuciowa, była praktyczna. Edna miewała przyjaciółki, lecz czy przez przypadek, czy też z innego jakiegoś powodu, wszystkie one zdawały się należeć do jednego typu – istot samowystarczalnych. Edna nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak wielki, być może, decydujący wpływ miała tu jej wewnętrzna rezerwa. Jej najbliższa przyjaciółka w szkole odznaczała się dość niezwykłymi darami umysłu, pisała świetnie brzmiące eseje, które Edna podziwiała i usiłowała naśladować; z zapałem rozprawiała z nią o angielskich klasykach, nieraz przeciwstawiała się jej poglądom na temat religii i polityki.

Edna często zastanawiała się nad pewną skłonnością swej natury, budzącą w niej niepokój, z którym się zresztą nigdy przed nikim nie zdradzała. Już w bardzo wczesnym wieku – być może w tym czasie, gdy przemierzała ten ocean falującej trawy – była namiętnie zakochana w pewnym wytwornym kawalerzyście o smutnych oczach, który odwiedzał jej ojca w Kentucky. Garnęła się do niego, gdy przyjeżdżał, nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, podobnej trochę do Napoleona, z opadającym na czoło kosmykiem włosów. Lecz oficer kawalerii niepostrzeżenie zniknął z jej życia. Innym razem sercem jej zawładnął młody dżentelmen, który odwiedzał pewną damę na sąsiedniej plantacji. Było to już wtedy, gdy przenieśli się do Missisipi. Młody człowiek był zaręczony z ową damą i czasami we dwoje odwiedzali Margaret, przyjeżdżali po południu małym powozikiem. Edna była już podlotkiem; zdawała sobie sprawę, że dla zaręczonego młodzieńca jest niczym, dosłownie niczym, i gorzko nad tym bolała, lecz i on również rozplynał się jak we śnie.

Już jako dorosła kobieta uległa uczuciu, które uznała za wyrok losu. Stało się to wtedy, gdy twarz i postać pewnego wielkiego tragika zaczęła prześladować jej wyobraźnię i działać na zmysły. Trwałość tego zamroczenia stwarzała pozory uczucia głębokiego, a beznadziejność nadawała mu wzniosły ton wielkiej namiętności.

Podobizna sławnego tragika stała w ramce na jej biurku. Każdy może posiadać podobiznę tragika bez wzbudzania podejrzeń czy komentarzy. Ponura ta refleksja nawet ją bawiła. Wobec znajomych wyrażała podziw dla jego wielkiego talentu, pozwalając przyjrzeć się dokładnie fotografii, zapewniając, że wiernie oddaje podobieństwo. Gdy była sama, brała nieraz do ręki portret i namiętnie całowała zimne szkło.

Małżeństwo jej z Léonce'em Pontellier było czystym przypadkiem, podobne w tym względzie do wielu innych imitujących wyrok Przeznaczenia. Poznała go w okresie owej tajonej namiętności do słynnego aktora. Pan Pontellier – jako mężczyzna – zakochał się od pierwszego wejrzenia i z taką szczerością, powagą i zapałem narzucał swe uczucia, że trudno było żądać czegoś więcej. Podobał jej się, pochlebiało jego absolutne oddanie, wyobrażała sobie, że łączy ich pokrewieństwo myśli i gustów, w czym się zresztą myliła. Dodajmy gwałtowny sprzeciw jej ojca i siostry Margaret – małżeństwo z katolikiem! – i nie trzeba szukać dalej motywów, które doprowadziły Ednę do tego, że wzięła sobie za męża pana Pontellier.

Małżeństwo z wielkim tragikiem – szczyt szczęścia! – widać nie było jej przeznaczone na tym padole. Czuła, że dochowując wierności człowiekowi, który ją ubóstwiał, potrafi – jako jego żona – z godnością zająć miejsce w świecie realnym, zamknąwszy za sobą na wieki wrota do krainy romantycznych marzeń i snów.

Lecz niewiele czasu minęło, gdy tragik podzielił los kawalerzysty i owego cudzego narzeczonego, i kilku innych panów, i Edna pogodziła się z rzeczywistością. Polubiła swego małżonka, zdając sobie sprawę – nawet z pewnym zadowoleniem – iż żaden cień namiętności czy przesadnego wyimaginowanego żaru nie barwi jej uczuć dla męża, tym samym nie grożąc im rozpląnięciem się w nicłość.

Jej przywiązanie do dzieci miało charakter impulsywny i nierówny. Czasem przytulała je namiętnie do serca, czasem zupełnie zapominała o ich istnieniu. Poprzedniego roku spędziły one część lata u babci Pontellier w Iberville. Upewniona, że jest im dobrze i że są szczęśliwe, nie czuła ich braku z wyjątkiem nagłych napadów tęsknoty. Nieobecność dzieci była dla niej ulgą, choć nie przyznałaby się do tego nawet przed sobą. Czuła się uwolniona od pewnego rodzaju odpowiedzialności, którą wzięła na siebie bez zastanowienia, a do której Los wcale jej nie przeznaczył.

Tylko część z tego wszystkiego Edna wyznała madame Ratignolle owego letniego dnia, gdy tak siedziały razem, spoglądając na morze. Lecz niejedno wymknęło się jej mimowolnie w czasie zwierzeń. Skłoniła głowę na ramię przyjaciółki, twarz jej płonęła, czuła się jakby upojona własnym głosem i nieznanym dotąd smakiem szczerych wyznań. Oszło miło to ją jak wino albo jak pierwsze tchnienie wolności.

Usłyszały zbliżające się głosy. To Robert szukał obydwóch pań otoczony gromadą dzieci. Było wśród nich dwoje małych Pontellierów i najmłodsza córeczka madame Ratignolle, niesiona przez Roberta na rękach, i inne dzieci; za nimi z rezygnacją nadciągnęły dwie nadąsane niańki.

Kobiety wstały natychmiast, strzepnęły fałdy sukien, wyprostowały zeszywniałe nogi. Pani Pontellier wrzuciła poduszki i koce do kabiny. Wszystkie dzieci popędziły do namiotu i stanęły szeregiem u wejścia, gapiąc się na intruzów – zakochaną parę, wśród westchnień wyznającą sobie miłość. Z wyrazem niemego protestu kochankowie wstali i powolnym krokiem udali się na poszukiwanie jakiegoś innego schronienia.

Dzieci objęły namiot w posiadanie i pani Pontellier zaraz do nich pospieszyła.

Madame Ratignolle poprosiła Roberta, by ją odprowadził; skarżyła się na kurcze w łydkach i zeszywnienie stawów. Gdy ruszyli z miejsca, ciężko wsparła się na jego ramieniu.



## 8

– Czy możesz mi wyświadczyć pewną przysługę, Robercie?  
– spytała idąca przy jego boku śliczna kobieta niemal natychmiast, gdy ruszyli, nie spiesząc się, w stronę domu. Uniosła głowę i zajrzała Robertowi w twarz, wisząc mu na ramieniu, by zmieścić się w kręgu cienia, gdy rozpiął parasol.

– Oczywiście, i to niejedną – odrzekł, patrząc z góry w jej oczy pełne powagi, w których wyraźnie czaił się jakiś zamysł.

– Proszę tylko o jedno: zostaw panią Pontellier w spokoju.

– *Tiens!* – zaniósł się chłopięcym śmiechem. – *Voilà que madame Ratignolle est jalouse?*<sup>16</sup>

---

16 *Tiens! Voilà...* (fr.) – Coś podobnego! Czyżby pani Ratignolle była zazdrosna?

– Nonsens! Mówię poważnie i wiem, co mówię. Zostaw panią Pontellier w spokoju.

– Dlaczego? – zapytał i w odpowiedzi na prośbę swej towarzyszki sam spoważniał.

– Jest inna niż my wszyscy; może popełnić fatalny błąd i potraktować cię poważnie.

Zarumienił się z przykrości, zdjął swój miękki kapelusz z głowy i idąc, niecierpliwie uderzał jego brzegiem po udzie.

– A dlaczego nie może mnie potraktować poważnie? – spytał ostro. – Cóż to? Czy jestem błaznem? Komediantem? Clownem cyrkowym? Nie można mnie traktować poważnie? Ach wy, Kreole! Już brak mi do was cierpliwości. Mam nadzieję, że przynajmniej pani Pontellier traktuje mnie poważnie. Mam nadzieję, że potrafi zobaczyć we mnie coś więcej niż tylko *un blagueur*. Gdybym sądził, że tak nie jest...

– Och, dość już, Robercie – przerwała mu ten namiętny wybuch. – Sam nie wiesz, co mówisz. Nie więcej jest w tobie zastanowienia niż w tych dzieciach, co bawią się na piasku. Gdyby względy, jakie okazujesz tutaj każdej zamężnej kobiecie, miały w sobie choć cień poważnej intencji, to nie byłbyś dżentelmenem, za jakiego cię tu wszyscy bierzemy, i stałbyś się nieodpowiednim towarzyszem dla żon i córek ludzi, którzy ci ufają.

Madame Ratignolle złożyła to oświadczenie tonem osoby najświęciej przekonanej, że powołuje się na najwyższe prawo i na ewangelię; młody mężczyzna niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Och, mój Boże! Wcale nie o to mi chodzi. – Wcisnął gwałtownie kapelusz na głowę. – Powinna pani wyczuć, że wszystko to niezbyt jest dla mnie pochlebne.

– Czy nasze stosunki mają polegać na nieustannej wymianie komplementów? *Moi foi!*<sup>17</sup>

– Żadna to przyjemność dla człowieka – ciągnął nie zwracając na nią uwagi – usłyszeć od kobiety... – i nagle przerwał. – A co, gdybym był jak Arobin? Pamięta pani jego przygodę z żoną konsula w Biloxi?

I opowiedział jej o Arobinie, następnie o tenorze Opery Francuskiej, który chwalił się, że otrzymuje listy, jakich nigdy nie należy pisać, i jeszcze kilka historyjek poważnych i śmiesznych, pozwalających – pozornie – zapomnieć o osobie pani Pontellier i jej przypuszczalnej skłonności do poważnego traktowania młodych ludzi.

---

<sup>17</sup> *Moi foi!* (fr.) – Na miłość boską!

Gdy dobrnęli do domu, madame Ratignolle poszła do siebie, by odpocząć godzinę, wydało się jej to bardzo wskazane. Żegnając ją, Robert prosił o wybaczenie mu niecierpliwości – nazwał ją niegrzecznością – z jaką odebrał tak pełną dobrej woli przestrożę.

– Popęłniła pani jeden błąd, Adelo – rzekł z uśmiechem. – Jest rzeczą zupełnie wykluczoną, aby pani Pontellier kiedykolwiek potraktowała mnie poważnie. To raczej mnie należałoby przestrzec, abym siebie samego nie traktował poważnie. Wówczas pani rada miałaby pewną wagę i dałaby mi materiał do zastanowienia się. *Au revoir!*...<sup>18</sup> Lecz wygląda pani na znużoną – dodał z troską – może wypije pani filiżankę bulionu? A może przyrządzić pani ponczu? Proszę mi pozwolić – szklaneczkę ponczu z kroplą angostury.

Poddała się propozycji bulionu, ponętnej i do przyjęcia. Udał się więc do kuchni, pomieszczonej w oddzielnym budynku na tyłach głównego domu, z dala od domeczków. Przyniósł jej złotobrazowy bulion w delikatnej filiżance z sewskiej porcelany i cienki, kruchy sucharek na spodeczku.

---

<sup>18</sup> *Au revoir!* (fr.) – Do widzenia!

Wysunęła obnażone białe ramię spomiędzy kotar osłaniających otwarte drzwi pokoju i wzięła z jego rąk filiżankę. Powiedziała mu, że jest *bon garçon*<sup>19</sup>, i powiedziała to z przekonaniem. Robert podziękował i zawrócił do domu.

Para kochanków właśnie powracała do *pension*. Szli nachyleni ku sobie, jak odwracające się od morza dęby, i na pewno nie czuli ziemi pod stopami. Błądzili w przestworzach. Twarz wlokącej się za nimi damy w czerni wydawała się jeszcze bledsza wśród jeszcze większej niż zwykle ilości paciorków. Nie było ani śladu pani Pontellier i jej dzieci. Na próżno Robert wypatrywał ich na drodze. Z pewnością zostaną nad morzem aż do kolacji. Młody człowiek udał się do matki na facjatę. Dwa szerokie mansardowe okna jej pokoju wychodziły na zatokę, obejmując widok aż po horyzont. Meble w pokoju były lekkie i praktyczne.

Madame Lebrun zajęta była szyciem na maszynie. Mała Murzynka siedziała na podłodze i ręką napędzała koło maszyny; Kreolka unikała wszystkiego, co mogłoby nadwerężyć jej zdrowie.

---

19 *Bon garçon* (fr.) – grzeczny chłopiec.

Robert przemierzył pokój, usiadł na szerokim parapecie okna, wyjął z kieszeni książkę i sądząc z szybkiego, rytmicznego odwracania kartek, pograżył się w lekturze. Głośny klekot maszyny wypełniał pokój; była to duża, ciężka maszyna, bardzo starego typu. W rzadkich momentach ciszy madame Lebrun rzucała pytania, Robert odpowiadał, nie przerywając lektury.

– Gdzie jest pani Pontellier?

– Na plaży z dziećmi.

– Obiecałam pożyczyć jej tego Goncourta. Nie zapomnij wziąć ze sobą, jak będziesz schodził na dół; jest na półeczce nad stolikiem. – Klap, klap, klap, bang! przez następnych pięć albo osiem minut.

– Dokąd to Wiktor wybiera się bryczką?

– Bryczką? Wiktor?

– Tak. Bryczka stoi przed domem i czeka. Wydaje mi się, że on się gdzieś wybiera. Zawołaj go tu zaraz! – Klap, klap.

Robert gwizdnął tak mocno, że słyhać go było zapewne aż na przystani.

– Nawet się nie obejrzał.

Madame Lebrun podbiegła do okna. Zawołała:

– Wiktor! – Pomachała chusteczką i ponowiła wezwanie.

Chłopak wsiadł do bryczki i ruszył z miejsca galopem.

Madame Lebrun powróciła do maszyny czerwona z oburzenia. Wiktor – *à tête montée*<sup>20</sup>, był jej młodszym synem i bratem Roberta; miał usposobienie domagające się bezwzględności i nieugiętej, prawdziwie żelaznej ręki.

– Wystarczy, żebyś powiedziała tylko jedno słowo, a gotów jestem siłą wbić mu do głowy tyle rozumu, ile się tam zmieści.

– Och, gdyby żył twój ojciec! – Klap, klap, klap, bang! Madame Lebrun żywiła niezłomne przekonanie, że świat prowadziłyby się o wiele lepiej i we wszystkich sprawach panowałyby ład i porządek nieporównanie większy, gdyby we wczesnych latach ich małżeństwa monsieur Lebrun nie był się przeniósł w zaświaty.

– Jakie masz wiadomości od Montela? – Montel był dżentelmenem w średnim wieku, od dwudziestu lat żywiącym ambicję i pragnienie wypełnienia luki, którą pozostawił po sobie w domu monsieur Lebrun. Klap, klap, bang, klap!

– Mam tu gdzieś jego list – Madame Lebrun zajrzała do szufladki i znalazła list na dnie koszyczka z nićmi. – Pisz, że mam ci powiedzieć, iż będzie w Veracruz na początku przyszłego miesiąca – klap, klap! – i jeśli wciąż zamierzasz przyłączyć się do niego... – Bang! klap, klap, bang!

---

20 *A tête montée* (fr.) – hardy.

– Czemuż mi tego wcześniej nie powiedziałaś, matko?  
Wiesz, że chciałem. – Klap, klap, klap!

– Zobacz, czy przypadkiem pani Pontellier nie wraca już z dziećmi? Znowu spóźni się na lunch, schodzi z plaży w ostatniej chwili. Dokąd idziesz?

– Gdzie, mówiłaś, leży ten Goncourt?



## 9

Zapalono wszystkie światła w hallu; knot w każdej lampie podkreślono, ile się tylko dało bez zakopcenia klosza lub wywołania eksplozji. Lampy przymocowane były do ścian – od jednej do drugiej biegła dokoła całego pokoju wdzięcznie przez kogoś upleciona girlanda z gałązek pomarańczy i cytryny. Ciemna połyskliwa zieleń liści odcinała się od białego muślinu udrapowanych na oknach firanek, które wydymały się, unosiły i opadały zgodnie z kaprysem wiatru wiejącego znad zatoki.

Był sobotni wieczór, od owej intymnej rozmowy Roberta z madame Ratignolle w drodze powrotnej z plaży upłynęło już parę tygodni. Na nadchodzącą niedzielę zjechała na Grand Isle niezwykła liczba mężów, ojców i przyjaciół; wszyscy oni byli w godny sposób podejmowani przez swych najbliższych, do czego przyczyniła się pomoc madame Lebrun. Stoliki w jadalni zsunięto w jeden kąt i salę zastawiono rzędami i grupkami krzesel. Wymiana poglądów i domowych plotek odbyła się już wcześniej, po południu, w gronie rodzinnym. Pod wieczór zapanowała ogólna chęć odpoczynku i odprężenia; podzielenia się wrażeniami w szerszym gronie, nadania konwersacji tonu bardziej towarzyskiego.

Wielu dzieciom pozwolono pozostać dłużej; mała ich gromadka, leżąc brzuchem na podłodze, oglądała kolorowe arkusze z zabawnymi historyjkami rysunkowymi, które przywiózł pan Pontellier. Jego synkowie łaskawie dopuścili kolegów, szcząc się wyraźnie rolą właścicieli.

Muzyka, taniec i recytacja jednego lub dwóch wierszy – oto program zapewnionych lub raczej proponowanych rozrywek; nad wcześniejszym ich przygotowaniem nikt się nie zastanawiał.

Na wstępie bliźniaczki Farivalów pod silnym naciskiem ogółu zagrały na pianinie. Panienki miały po czternaście lat i ubierały się w kolory dziewicze – biel i błękit – gdyż na chrzcie zostały poświęcone Najświętszej Marii Pannie. Zagrały duet z *Zampy* i po szczerej zachęcie ze strony wszystkich obecnych odegrały jeszcze uwerturę do *Chłopa i poety*.

– *Allez, vous-en! Sapristi!* – krzyczała papuga za progiem. Ona jedna wśród obecnych miała dość odwagi, by przyznać, że nie słucha owych wdzięcznych popisów. Ingerencja papugi oburzyła starego monsieur Farivala, dziadka bliźniaczek; domagał się usunięcia wstrętnego ptaszyska i ukarania go zamknięciem w ciemności. Sprzeciwił się temu Wiktor Lebrun, a wyrok z jego ust był jak wyrok Losu. Szczęściem papuga nie przerywała już dalszych występów – najwyraźniej wyładowała na bliźniaczkach cały zapas swego jadu i jeden impetyczny wybuch uspokoił ją na dłużej.

Później jakieś młode rodzeństwo wystąpiło z recytacją utworu, który wszyscy wielokrotnie już słyszeli w mieście podczas zimowych wieczorów.

Dziewczątka w krótkiej spódniczce baletnicy wykonało taniec na środku pokoju. Matka akompaniując córeczce, obserwowała ją z podziwem i jednocześnie pewnym niepokojem. Dziecko znakomicie panowało nad sytuacją. Ubrane było odpowiednio do okazji w czarny tiul i czarne jedwabne pończoszki. Dziecinny karczek i ramiona były odsłonięte, a ufryzowane włosy sterczały dokoła głowy jak puszyste czarne pióra. Dziewczynka przybierała pozy pełne gracji, czarne pantofelki błyszczały w powietrzu, gdy wyrzucała nóżki w górę i w przód w tempie zaiste oszałamiającym.

Lecz nie było w końcu żadnego powodu, by wszyscy nie zatańczyli. Madame Ratignolle tańczyć nie mogła i z miłą chęcią zgodziła się przygrywać. Robiła to znakomicie, wybijając rytmicznie tempo walca i nawet akcentując z uczuciem melodię, co tańczącym dodawało natchnienia. Twierdziła, że nie zaniedbuje gry na fortepianie ze względu na dzieci; oboje z mężem uważali, że muzyka stwarza pogodny nastrój i dodaje uroku domowemu ognisku.

Prawie wszyscy puścili się w tany z wyjątkiem bliźniaczek, których nie można było namówić do rozstania nawet na ten krótki moment, gdy jedna lub druga zakręci się po pokoju w ramionach tancerza. Mogłyby tańczyć ze sobą, lecz o tym nie pomyślały.

Dzieci posłano spać. Niektóre odeszły posłusznie, inne, rozkrzyczane i opierające się, trzeba było ciągnąć siłą. Pozwolono im poczekać na lody – oznaczało to doprawdy szczyty ludzkiej wytrzymałości.

Lody podawano wraz z pokrajanym ciastem – złociste kawałki przełożono na talerzach i półmiskach srebrzystymi porcjami lodów, które dwie Murzynki pod okiem Wiktora ukręciły i zamroziły w kuchni po południu. Lody uznano za wielki sukces – byłyby wręcz wyborne, gdyby miały odrobinę mniej wanilii, a za to trochę więcej cukru, gdyby były nieco mocniej zamrożone i bez tej soli, co się dostała do niektórych porcji. Wiktor dumny był ze swego dzieła i krążył wśród zebranych, nakłaniając wszystkich, by dobierali sobie lodów bez skrupowania.

Pani Pontellier zatańczyła dwukrotnie z mężem, raz z Robertem i raz z monsieur Ratignolle, który był wysoki i chudy i chwiał się w tańcu niczym trzcina na wietrze; potem usiadła na niskim parapecie okna w galerii, skąd widziała wszystko, co się działo w hallu, i równocześnie mogła patrzeć na zatokę. Niebo na zachodzie delikatnie pojaśniało. Księżyc wzeszedł i mistyczny jego poblask rozsiał miliony świateł na dalekiej, niespokojnej wodzie.

– Czy chciałaby pani posłuchać, jak gra mademoiselle Reisz? – zapytał Robert z ganku. Oczywiście. Edna chętnie posłuchałaby panny Reisz, lecz obawia się, że daremne będą wszystkie prośby.

– Pójdę, zapytam – odrzekł Robert. – Powiem, że pragnie pani posłuchać jej gry. Ona panią lubi. Przyjdzie na pewno. – Zawrócił i pospieszył do jednego z dalszych domczków, w którym krzątała się mademoiselle Reisz. Wynosiła krzesło na ganek i wracała z nim do pokoju – narzekała na płacz niemowlęcia, które niańka usiłowała w sąsiednim domku utulić do snu. Pani Reisz była brzydką kobietą niskiego wzrostu, już niemłodą, wiecznie ze wszystkimi skłóconą wskutek apodyktycznego usposobienia i skłonności do deptania cudzych praw. Robert nakłonił ją bez większego trudu.

Weszła z nim do hallu w czasie przerwy w tańcach. Ukłoniła się wszystkim od progu niezręcznie, ale władczo. Była bardzo brzydka ze swą drobną, pomarszczoną twarzą i wychudzonym ciałem, i tylko oczy w niej płonęły ogniście. Ubierała się bez cienia smaku – miała na sobie jakieś wypłowiałe czarne koronki, a we włosy wpięła pęk sztucznych fiołków.

– Proszę spytać panią Pontellier, co mam jej zagrać – zażądała od Roberta. Podszedł z tym pytaniem do Edny; mademoiselle Reisz czekała, siedząc przy pianinie w milczeniu i nie dotykając klawiszów. Wejście pianistki zaskoczyło zebranych, ale i prawdziwie uradowało. Rozsiedli się wszyscy wygodnie w krzesłach, zapanował nastrój oczekiwania. Edna, niespodzianie wyróżniona względami despotycznej staruszki, poczuła zakłopotanie. Za nic nie ośmieli się cokolwiek dyktować i błaga, żeby mademoiselle Reisz raczyła sama dokonać wyboru.

Edna twierdziła zawsze, że przepada za muzyką. Sugestywnie wykonany utwór miał siłę budzenia w jej umyśle różnych obrazów. Nieraz z przyjemnością siedziała rankiem w swym pokoju po to tylko, by słuchać, jak Mademoiselle grała lub ćwiczyła gamy. Jedną rzecz przez nią graną Edna nazwała „Samotność”. Był to krótki utwór, pełen skargi, w tonacji minorowej. Nazwała go „Samotność”, choć prawdziwy tytuł był inny. Gdy słuchała tej kompozycji, w wyobraźni jej zjawiał się obraz mężczyzny stojącego obok samotnej skały nad morzem. Mężczyzna był nagi. Postawą swą wyrażał beznadziejną rezygnację – gonił wzrokiem ptaka, który trzepocąc skrzydłami, odlatywał w dal.

Inny utwór przywoływał jej na pamięć delikatną młodą kobietę w empirowej sukni – drobnym, tanecznym krokiem oddalała się ścieżką ginącą wśród wysokich żywopłotów. Był taki utwór, co przypominał jej zabawę dzieci i jeszcze inny, budzący – o dziwo! – obraz jakiejś skromnisi, która głaszcze kota.

Już przy pierwszych akordach dreszcz przebiegł po plecach pani Pontellier. Nieraz słyszała grę artystki. Lecz chyba jeszcze nigdy nie była tak gotowa, tak do głębi nastrojona na przyjęcie oczekiwanej prawdy.

Czekała na obrazy, które wyłonią się z jej wyobraźni i nabiorą barw. Czekała na próżno. Tym razem w jej umyśle nie konkretyzowały się żadne obrazy symbole; duszą Edny zawładnęły uczucia. Osamotnienie i nadzieja, tęsknota i rozpacz zawładnęły jej duszą, uderzyły z siłą morskich fal, smagających co dzień jej wspaniałe ciało. Dreszcz nią wstrząsnął, łyzy oślepiły i dławiły w gardle.

Mademoiselle skończyła grać, sztywno i wyniośle skłoniła się zebrany i odeszła, nie czekając na podziękowania czy aplauz. Na ganku poklepała Ednę po ramieniu.

– No i cóż? Jak się pani spodobało moje granie? – spytała. Młoda kobieta, niezdolna do odpowiedzi, konwulsyjnie ścisnęła rękę pianistki. Mademoiselle Reisz dostrzegła jej wzburzenie i nawet łyzy. Poklepała ją znów po ramieniu.



– Jesteś jedyną osobą – rzekła – dla której warto grać. Bo ci inni...! Mój Boże! – Zaszurała nogami i poszła do swego pokoju, sunąc jakby bokiem przez galeryjkę.

– Lecz co do „tych innych” to myliła się ogromnie. Gra jej obudziła gorący entuzjizm. Ileż w tym namiętności! Jaki artyzm!

– Zawsze mówiłam, że nikt tak nie gra Chopina jak mademoiselle Reisz! A to ostatnie preludium! *Bon Dieu!*<sup>21</sup> To wstrząsa człowiekiem do głębi!

Godzina była już późna i towarzystwo skłonne udać się na spoczynek. Lecz ktoś – może był to Robert – rzucił myśl, by o tej mistycznej godzinie i w mistycznym świetle księżycy wykapać się w morzu.

---

21 *Bon Dieu!* (fr.) – Dobry Boże!

## 10

Tak czy inaczej Robert rzucił tę propozycję i nie napotkał sprzeciwu. Poszli za nim z ochotą, gdy ruszył w drogę, nie tyle wskazując kierunek marszu, ile go nakazując; sam szedł na końcu wraz z parą kochanków, którzy zdradzali ochotę trzymania się z dala od tłumu. Rozdzielił tę parę, idąc w środku – sam nie wiedział, czy z żartobliwą, czy złośliwą intencją.

Państwo Pontellier i Ratignolle szli na czele – kobiety wsparte na ramionach małżonków. Edna słyszała za plecami głos Roberta, czasem słyszała nawet, co mówił. Dziwiło ją, że się do nich nie przyłączył. Niepodobne do niego! Ostatnio potrafił unikać jej od rana do wieczora, podwajając swe oddanie następnego dnia i jeszcze następnego, jakby w chęci nadrobienia zmarnowanych godzin. Brakowało go jej, gdy wymówiwszy się jakimkolwiek pretekstem zniknął, brakowało jak słońca w mglisty dzień, chociaż gdy słońce świeci, to się o nim nie myśli.

Ludzie zmierzali ku plaży małymi gromadkami. Gadali, śmiali się, niektórzy śpiewali. W hotelu Kleina grała orkiestra, stłumione jej dźwięki dobiegały z oddali. W powietrzu wisiała dziwna, obca woń – morza, wodorostów i wilgotnej, świeżo zaoranej ziemi, przemieszana z bijącym od pobliskiego pola dusznym zapachem jakichś białych kwiatów. Lecz noc legła na morzu i na ziemi lekko. Nie czuło się ciężaru ciemności; nie było cieni. Biała poświata księżycza otuliła wszystko niby cicha tajemnica snu.

Większość towarzystwa weszła do wody – czuli się tam wszyscy jak w swoim żywiole. Morze było teraz spokojne, szerokie fale toczyły się leniwie, przenikając jedna w drugą; gdy wezbrany grzbiet uderzał o piasek, rozsypana grzywa piany zwijała się z powrotem niczym biały wąż.

Edna przez całe lato próbowała nauczyć się pływania. Udzielali jej wskazówek wszyscy – mężczyźni i kobiety, czasem nawet dzieci. Robert dawał jej systematyczne lekcje, nieomal co dzień; był już bliski rezygnacji, widząc próżność swych wysiłków. Ednę ogarniało w wodzie uczucie nie dającego się opanować lęku, jeśli nie było w pobliżu nikogo, kto wyciągnąłby do niej dłoń i dodał odwagi.

Lecz owej nocy była jak małe, bezradne dziecko o chwiejnych, niepewnych nóżkach, co nagle uświadamia sobie ich siłę i po raz pierwszy kroczy śmiało, dumne i pewne siebie. Chciało jej się krzyknąć z radości. I krzyknęła radośnie, gdy wykonawszy ramionami jeden i drugi ruch, dźwignęła ciało na powierzchnię wody. Doznała uczucia nieograniczonej mocy panowania nad ciałem i duszą. Wstąpiła w nią odwaga, a nawet zuchwałość, i przeceniając własne siły, zapragnęła popłynąć daleko, dokąd żadna kobieta nigdy nie dotarła.

Jej nieoczekiwany wyczyn zdumiał wszystkich, wzbudził ogólny podziw i uznanie. Każdy bez wyjątku winał sobie, że właśnie jego, a nie innych osób wskazówki i pouczenia wydały ów pożądany skutek.

Jakie to łatwe, pomyślała Edna.

– To nic wielkiego – powiedziała na głos. – Dlaczego wcześniej nie odkryłam, że to nic wielkiego? I pomyśleć, ile czasu straciłam na pluskanie się przy brzegu, jak małe dziecko! – Nie chciała przyłączyć się do wspólnej zabawy i gier w wodzie, lecz upojona świeżo zdobytą umiejętnością popłynęła samotnie w dal.

Zwróciła twarz ku morzu, by chłonąć doznanie przestrzeni i samotności – tak właśnie działał na jej podnieconą wyobraźnię nieobjęty obszar wody, stopiony w dali z niebem i z blaskiem księżyca. Płynąc, miała uczucie, że dotyka nieskończoności, że cała się w niej zatracza.

W pewnej chwili obejrzała się za siebie, na brzeg, na ludzi, których tam zostawiła. Nie odpłynęła daleko – to znaczy, niedaleko dla doświadczonego pływaka. Lecz dla nieprzywykłych jej oczu nawet tak niewielki odcinek wody nabrał znaczenia bariery, której o własnych siłach nigdy nie zdoła pokonać. Strach smagnął jej duszę i nagła wizja śmierci obezwładniła na moment wszystkie zmysły. Edna ostatnim wysiłkiem woli zebrała gasnące siły i powróciła na brzeg. Nie wspomniała nikomu o swoim spotkaniu ze śmiercią i o spazmie przerażenia.

Mężowi powiedziała krótko:

– Myślałam, że zginę tam samotnie.

– Nie odpłynęłaś daleko, moja droga, nie spuszczałem cię z oka ani na chwilę – odpowiedział.

Edna udała się natychmiast do kabiny – przebrała się i gotowa była do drogi powrotnej, zanim reszta towarzystwa wyszła z wody. Poszła, nie czekając na nikogo. Wołano za nią i krzyczano, odpowiedziała odmownym ruchem ręki i szła dalej, nie bacząc na ponowne okrzyki, którymi usiłowano ją zatrzymać.

– Czasem skłonna jestem podejrzewać, że pani Pontellier jest kapryśna – orzekła madame Lebrun, która bawiła się wyśmienicie i złąka się, że nagle odejście Edny położy kres zabawie.

– Owszem, miewa kaprysy – zgodził się z nią pan Pontellier – ale rzadko.

Edna nie uszła nawet ćwierć drogi do domu, gdy dogonił ją Robert.

– Czy myślał pan, że się boję? – spytała go, zresztą bez cienia urazy.

– Nie. Wiedziałem, że pani się nie boi.

– No to po co pan przyszedł? Zamiast zostać z całym towarzystwem...

– Nigdy nie miałem takich zamiarów.

– A jakie?

– Żadnych. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

– Jestem bardzo zmęczona – szepnęła z wyrzutem.

– Wiem o tym.

– Nic pan o tym nie wie. Bo niby skąd? Nigdy w życiu nie czułam się tak wyczerpana. Ale to nawet przyjemne. Tysiąc różnych uczuć przeżyłam dzisiejszej nocy. I połowy z nich sama nie pojmuję. Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówię. Po prostu głośno myślę. Ciekawa jestem, czy jeszcze cokolwiek w życiu tak mnie poruszy jak dzisiejsza gra mademoiselle Reisz. Ciekawa jestem, czy powtórzy się jeszcze taka noc. Ta noc jest jak ze snu. Ludzie dokoła zamieniają się w jakieś niesamowite, na wpół ludzkie istoty. Myślę, że dzisiejszej nocy snują się wśród nas duchy wyzwolone z niewoli.

– Na pewno – przyznał szeptem Robert. – Czyż nie wie pani, że to dwudziesty ósmy lipca?

– Dwudziesty ósmy lipca?

– Tak. Dwudziestego ósmego lipca, gdy księżyc świeci – to warunek konieczny! – duch, który nawiedza od wieków tę zatokę, wynurza się z jej dna o północy. Wzrokiem, który sięga wszędzie – jak to u duchów – szuka wśród śmiertelnych tego, który godzien byłby towarzyszyć mu na czas jakiś do królestwa półbogów. Bezowocne to były jak dotąd poszukiwania i zawiedziony duch powracał na dno morza. Lecz dziś znalazł panią Pontellier. I kto wie, czy kiedykolwiek uwolni ją spod swego czaru. Być może, pani Pontellier pogardzi wówczas obecnością nędznego śmiertelnika, który niegodzien jest kroczyć u boku tak wzniosłej istoty.

– Och, proszę nie kpić ze mnie – odparła dotknięta jego żartobliwym tonem. Nie poruszyła go ta prośba, lecz odcień jej głosu miał w sobie delikatną nutę skargi, która zabrzmiała jak wyrzut. Żadną miarą nie mógł się usprawiedliwić, nie mógł powiedzieć, iż dostrzegł jej nastrój i wie, co się z nią dzieje. Więc nie rzekł nic i tylko milczącym gestem zaofiarował swe ramię, skoro sama wyznała, że czuje się wyczerpana; istotnie szła, opuściwszy bezwładnie ręce, rąbkami długiej białej spódnicy zbierając rosę. Przyjęła zaofiarowane ramię, lecz nie jako podporę – złożyła rękę na jego przedramieniu gestem biernym, pochłonięta jakby ściganiem własnych myśli, które wybiegały daleko naprzód.

Robert pomógł jej ułożyć się w hamaku zawieszonym między słupem ganku i drzewem.

– Czy zostanie tu pani, żeby czekać na pana Pontellier?

– Tak jest, zostanę. Dobranoc.

– Może przynieść poduszkę?

– Powinna gdzieś tu być? – odrzekła, macając rękami w ciemności.

– Pewnie brudna, dzieci się nią bawiły.

– Nie szkodzi. – Znalazła poduszkę, wsunęła ją pod głowę i z głębokim westchnieniem ulgi wyciągnęła się w hamaku. I gdy już z niego korzystała, to nie jak kot – z rozpustnym lenistwem – tylko z wyrazem błęgiego spokoju zdającym się przenikać całe jej ciało.



– Czy wolno mi pozostać tu aż do przyjścia pana Pontellier? – zapytał Robert i przysiadłszy na schodku, sięgnął po sznur od hamaka.

– Jak pan sobie życzy. Proszę mnie nie kołysać. Czy może mi pan przynieść mój biały szal? Został gdzieś na oknie w domu.

– Zimno?

– Jeszcze nie, ale później zrobi się zimno.

– Później? – roześmiał się. – Czy pani wie, która godzina? Jak długo zamierza pani tu pozostać?

– Nie wiem. Przyniesie mi pan szal?

– Oczywiście. – Wstał i poszedł przez trawnik do głównego budynku. Odprowadziła wzrokiem jego postać, przecinającą na przemian smugi mroku i światła. Było po północy. Było bardzo cicho.

Gdy powrócił, wzięła od niego szal i zatrzymała w rękach, wcale się nim nie otulając.

– Czy dobrze usłyszałem, że mogę pozostać do powrotu pana Pontellier?

– Powiedziałam, że może pan pozostać, jeśli pan chce.

Usiadł ponownie, skręcił sobie papierosa i palił w milczeniu. Pani Pontellier również milczała. Nieprzebrany potok słów nie może być bardziej wymowny od podobnych momentów milczenia lub bardziej nabrzmiały odczuciem pierwszego dreszczu pożądania.

Gdy usłyszeli głosy powracających z kąpieli, Robert życzył jej dobrej nocy. Nie odpowiedziała. Pomyślał, że śpi. A ona ponownie wiodła wzrokiem za jego postacią, która odchodząc, to znikwała w mroku, to znów pojawiała się w świetle księżyca.

# 11

– Co ty tu robisz, Edno? Myślałem, że znajdę cię już w łóżku – powiedział pan Pontellier na widok żony leżącej w hamaku. Wrócił w towarzystwie madame Lebrun, którą pożegnał na progu jej domu. Edna zbyła go milczeniem.

– Spisz? – zapytał, pochylając się nad nią.

– Nie – odrzekła; oczy jej lśniły uderzającym blaskiem; nie było w nich śladu senności.

– Czy wiesz, że jest już po pierwszej? Chodź! – Wszedł na ganek i zniknął w pokoju.

Minęło parę chwil.

– Edno! – zawołał pan Pontellier.

– Nie czekaj na mnie – odparła.

Wysunął głowę przez okno.

– Zaziębisz się na dworze – rzekł z irytacją. – Co też strzeliło ci do głowy? Dlaczego nie wracasz?

- Nie jest zimno, zresztą mam szal.
- Zjedzą cię moskity.
- Nie ma żadnych moskitów.

Słyszała, jak krzątał się po pokoju; dobiegające odgłosy zdradzały zniecierpliwienie i irytację. Kiedy indziej byłaby mu posłuszna. Siłą przyzwyczajenia uległaby jego pragnieniu i to nawet nie z nawyku uległości wobec despotycznych życzeń męża, lecz całkiem bezwiednie, bez zastanowienia, tak jak chodzimy, ruszamy się, siadamy, stoimy, jak się kręcimy w kieracie codziennych zajęć wypełniających przydzielony nam czas życia.

– Edno, kochanie, czy prędko przyjdiesz? – spytał ponownie pan Pontellier, tym razem czule i z nutą błagania w głosie.

– Nie, zostanę tutaj.

– Ależ to więcej niż szaleństwo! – wybuchnął. – Nie pozwolę, żebyś została na dworze przez całą noc. Masz mi tu wrócić natychmiast.

Zwinęła się w kłębek i jeszcze głębiej zanurzyła w hamaku. Czuła wyraźnie, jak w niej tężeje wola, chęć sprzeciwu i oporu. W owym momencie nie mogłaby już uczynić nic innego, jak tylko odmówić mężowi i trwać w uporze. Cofnęła się pamięcią wstecz: czy zdarzyło się kiedykolwiek, że mąż mówił do niej takim tonem i czy poddała się wówczas jego rozkazom? Oczywiście! Zawsze była mu posłuszna. Tylko jednego nie mogła sobie wytłumaczyć: jak to się działo, że pomimo wewnętrznego sprzeciwu zawsze ulegała.

– Léonce, połóż się, proszę – powiedziała. – Ja tu zostanę. Nie mam ochoty iść do łóżka; nie mam zamiaru. I nie odzywaj się do mnie w taki sposób, bo nie otrzymasz żadnej odpowiedzi.

Pan Pontellier – już rozebrany – narzucił coś na siebie, potem otworzył butelkę wina, którego mały, lecz doborowy zapas miał zawsze na podorędziu, wypił szklankę i wyszedłszy na ganek, zaferował wino żonie. Nie chciała pić. Przysunął sobie fotel na biegunach, stopy w nocnych pantoflach oparł o poręcz ganku i zapalił cygaro. Wypalił dwa; potem wszedł do środka i znów się napił. Pani Pontellier jeszcze raz podziękowała, gdy ponownie służył jej szklaneczką wina. Powrócił więc na fotel, oparł nogi wysoko i po rozsądnej przerwie wypalił jeszcze parę cygar.

Tymczasem Edna powoli trzeźwiała, budziła się ze snu – cudownego, fantastycznego, niepojętego snu po to, by na powrót odczuć całą presję wulgarnej rzeczywistości. Ogarnęła ją teraz czysto fizyczna senność; stan uniesienia, któremu poddała się całą swą istotą, mijał – była na powrót bezradna i uległa wobec naporu okoliczności. Nadeszła najcichsza godzina nocy, godzina przedświt, kiedy ziemia jakby wstrzymuje oddech. Księżyc zawisł nisko na ospałym niebie i ze srebrnego stał się miedziany. Stara sowa przestała hukać, jęklive dęby zamilkły, zwiesiwszy nisko głowy.

Edna wstała; ciało jej zdrętwiało od długiego leżenia w hamaku. Niepewnym krokiem weszła na ganek i oparła się o słup.

– Czy idziesz już, Léonce? – spytała męża, zwracając ku niemu twarz.

– Tak, kochanie – odrzekł i oczy śledzące chmurę dymu zabłysły żywo. – Tylko wypalę do końca cygaro.

## 12

Spała zaledwie parę godzin niespokojnie, gorączkowo, dręczona nieuchwytnymi zwidami i majaczeniami, których nie sposób zapamiętać i które na wpeł przebudzonym zmysłem pozostawiają doznanie czegoś nieosiągalnego. Wstała o chłodzie wczesnego poranka i zaraz się ubrała. Rześkie powietrze przywróciło jej poniekąd przytomność. Co prawda, nie pragnęła pomocy ani otrzeźwienia, nie szukała tego ani w sobie, ani w otoczeniu. Ślepo poddawała się kierującym nią impulsom, jakby wiedziona obcą ręką, której powierzyła swój los. Czuła się tym samym zwolniona od odpowiedzialności.

Większość osób spała jeszcze o tak wczesnej godzinie, krzatali się tylko ci nieliczni, co wybierali się na mszę do Chênrière. Kochankowie, ułożywszy swe plany jeszcze poprzedniego wieczoru, już byli w drodze do przystani. W niewielkiej za nimi odległości kroczyła czarna dama, ściskając w ręce niedzielną książkę do nabożeństwa oprawną w aksamit, ze złotą klamrą, i srebrny niedzielny różaniec. Stary monsieur Farival był już na nogach. Włożył duży słomkowy kapelusz, wziął z hallu parasol i ruszył śladem czarnej damy, dbając o to, by jej nie dogonić.

Mała Murzynka, która u pani Lebrun obsługiwała maszynę do szycia, zamiatała galerię, niedbale wymachując miotłą. Edna kazała jej pójść i obudzić Roberta.

– Powiedz, że jadę do Chênrière, kuter już czeka. Powiedz, żeby się pospieszył.

Wkrótce był przy jej boku. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by po niego posyłała. Nigdy o niego nie pytała, nie zdawał się jej potrzebny. Ale nie sprawiała teraz wrażenia świadomej, w jej domaganiu się jego obecności było coś niezwykłego. Podobnie i on nie dostrzegał w tej sytuacji nic nadzwyczajnego. Lecz twarz miał przepojoną cichym żarem, gdy witał się z Edną.



Zawrócili oboje do kuchni, by napić się kawy. Nie było czasu na staranną obsługę. Kucharka postawiła na oknie filiżanki z kawą i bułeczki. Pili i jedli, stojąc na dworze. Ednie kawa bardzo smakowała. Nawet nie pomyślała była o śniadaniu. Robert powiedział, że często dostrzega w niej brak przezorności.

– Czy nie dość, że pomyślałam o wyprawie do Chênrière i zbudzeniu pana? – odparła ze śmiechem. – Czy naprawdę powinnam pamiętać o wszystkim, jak twierdzi Léonce, kiedy jest w złym humorze? Nie ganię go; nie byłby nigdy w złym humorze, gdyby nie ja.

Poszli na przełaj przez piaski, by skrócić sobie drogę. Już z daleka ujrzeli dziwny pochód: para kochanków wlokła się krok za krokiem, ciasno do siebie przytulona; dama w czerni powoli ich doganiała, za nią – wyraźnie zwalnając kroku – dreptał stary monsieur Farival, a procesję zamykała młoda, bosonoga Hiszpanka w czerwonej chusteczce, niosąca na ramieniu koszyk.

Robert znał tę dziewczynę i zamienił z nią parę słów, gdy znaleźli się w łodzi. Nikt z obecnych nie rozumiał ani słowa. Na imię jej było Mariequita. Miała krągłą, sprytną, zalotną buzię i ładne czarne oczy, drobne dłonie, które złożyła na rączce koszyka, i brzydkie, szerokie, zaniedbane stopy. Nie próbowała nawet ich schować czy też zakryć. Edna dostrzegła piasek i muł między brązowymi palcami nóg.

Beaudelet narzekał na obecność Mariequity, mruzczał, że zajmuje dużo miejsca. W istocie drażnił go pan Farival, który miał się za lepszego żeglarza. Lecz z człowiekiem tak starym jak monsieur Farival Beaudelet nigdy by się nie spierał, kłócił się więc z Mariequitą. Dziewczyna to pokornie błagała go o litość, to znów, w następnej chwili, nadąsana na Beaudeleta, szelmowsko kręciła główką i robiła oko do Roberta.

Kochankowie zapomnieli o bożym świecie, niczego nie słysząc, niczego nie widząc. Dama w czerni po raz trzeci odmawiała różaniec. Stary monsieur Farival nie przestawał chełpić się, że wie o prowadzeniu łodzi takie rzeczy, o jakich Beaudelet nie ma zielonego pojęcia.

Ednie wszystko się podobało. Zmierzyła wzrokiem postać Mariequity, od brunatnych, brzydkich stóp aż po śliczne czarne oczy.

– Czemu ona na mnie tak patrzy? – spytała dziewczyna Roberta.

– Może myśli, że jesteś ładna. Czy mam ją zapytać?

– Nie. Czy to twoja ukochana?

– To kobieta zamężna i ma dwoje dzieci.

– No to co! Francisco uciekł z żoną Sylvana, która miała czworo dzieci. Zabrali wszystkie jego pieniądze i jedno dziecko i do tego ukradli mu łódź.

– Cicho bądź!

– Czy ona rozumie?

– Och, przestań!

– Czy tych dwoje to małżeństwo – ci, co się tak do siebie przytulają?

– Pewnie, że nie – zaśmiał się Robert.

– Pewnie, że nie – powtórzyła jak echo Mariequita, potakując głową z powagą.

Słońce było wysoko i zaczynał się skwar. Ednie wydało się, że ostry powiew wiatru wzmagając ukłucia słońca na skórze jej twarzy i rąk. Robert osłonił ją swym parasolem.

Płynęli zakosami przez zatokę, żagle wydymały się na wietrze, niełatwo było nad nimi panować. Stary monsieur Farival złośliwie zaśmiał się z czegoś, rzucając spojrzenie na liny, i Beaufort zaklął pod nosem.

Gdy tak płynęli przez zatokę do Chênrière Caminadada, Edna doznawała uczucia jakby zerwania się z kotwicy, do której była uwiązana; łańcuchy rozluźniły się i wreszcie pękły – pękły poprzedniej nocy, gdy bawiący tutaj tajemniczy duch obdarzył ją wolnością po to, by mogła swobodnie poddać się swym żaglom, gdziekolwiek ją poniosą. Robert mówił coś do niej bez przerwy; przestał dostrzegać Mariequitę. Dziewczyna wiozła w bambusowym koszyku krewetki, przykryte warstwą hiszpańskiego mchu. Zirytowana przyklepywała raz po raz mech, mrucząc coś pod nosem z nadąsaną minką.

– Pojedziemy jutro do Grande Terre<sup>22</sup>? – spytał przyciszonym głosem Robert.

– Po co?

– Jest tam na wzgórzu stary fort, a w nim pełno złotych węży i jaszczurek, które wygrzewają się na słońcu.

Posłała spojrzenie w stronę Grande Terre i pomyślała, że przyjemnie byłoby znaleźć się tam z Robertem, leżeć w słońcu, wsłuchiwać się w ryk oceanu i obserwować zręczne jaszczurki biegające w ruinach starego fortu.

– A następnego dnia albo jeszcze następnego możemy popłynąć do Bayou Brulow – ciągnął dalej.

– I co będziemy tam robić?

– Byle co. Łowić ryby na przykład.

– Nie. Wrócimy do Grande Terre. Zostawmy ryby w spokoju.

– Pojedziemy tam, gdzie pani zechce – odrzekł. – Każę Toniemu naprawić moją łódź i przygotować żagle. Beudelet nie będzie nam potrzebny. Nie boi się pani płynąć pirogą?

– Nie.

---

<sup>22</sup> Grande Terre – jedna z wysp archipelagu o tej samej nazwie, leżącego w Zatoce Meksykańskiej, na południowy wschód od Nowego Orleanu.

– Więc zabiorę panią którejś nocy pirogą, kiedy księżyc będzie świecił. Może duch tej zatoki podszeptnie pani, na której wysepce ukryte są skarby – może zaprowadzi na to miejsce.

– I w jednej chwili zamienimy się w ludzi bardzo bogatych! – zaśmiała się. – Oddam panu całe złoto piratów i wszystkie skarby, jakie wykopiami. Pan będzie wiedział, co z tym robić. Zrabowanego złota nie trzeba oszczędzać. Trzeba roztrwonić, rozrzucić na cztery strony świata, dla zabawy!

I patrzeć, jak to wszystko poleci z wiatrem.

– Podzielimy się po połowie i roztrwonimy razem – odrzekł. Twarz mu płonęła.

Udali się wszyscy do cudownego gotyckiego kościółka Matki Boskiej z Lourdes, którego brązowo i żółto malowane mury pięknie lśniły w blasku słońca.

Na brzegu pozostał tylko krzątający się przy swej łodzi Beaufort; Mariequita odeszła z koszykiem krewetek, rzuciwszy Robertowi dziecięco rozkapryszone i pełne wyrzutu spojrzenie.

## 13

W czasie nabożeństwa ogarnęło Ednę uczucie przygnębienia i senności. Rozbolą ją głowa, światła na ołtarzu nagle zatańczyły jej w oczach. Kiedy indziej próbowałaby wysiłkiem woli zapanować nad sobą; lecz teraz tylko jedną myśl miała w głowie – wyrwać się z dusznej atmosfery kościoła na powietrze. Wstała i szepcząc „przepraszam” wyminęła nogi Roberta. Stary monsieur Farival uniósł się w ławce zakłopotany i zaintrygowany, widząc jednak, że Robert podąży za panią Pontellier, usiadł z powrotem. Powodowany niepokojem, zagadnął cicho damę w czerni, lecz ta nie raczyła go nawet dostrzec, cóż dopiero odpowiedzieć – wzrok miała utkwiony w swej aksamitnej książeczce do nabożeństwa.

– Poczulałam zawrót głowy, omal nie zemdlałam – rzekła Edna, podnosząc odruchowo ręce i zsuwając słomkowy kapelusz z czoła. – Nie mogłabym zostać do końca nabożeństwa. – Stali w cieniu kościelnych murów. Robert słuchał jej pełen względów.

– Szaleństwem było tu przychodzić, cóż dopiero zostawać na mszy. Chodźmy do madame Antoine, tam pani odpocznie. – Ujął jej ramię i powiodł ją drogą; idąc, raz po raz badał z niepokojem jej twarz.

Jak cicho było na drodze – jedynie szmer morza szepczącego wśród trzciny, które zarastały słone kałuże. Małe, szare, wysmagane wichrami chatynki przysiadły długim szeregiem wśród drzew pomarańczowych. „Na tej płaskiej, sennej wyspie – pomyślała Edna – chyba zawsze jest niedziela”.

Przystanęli i poprosili o wodę, oparli się o zębaty parkan z drzew wyrzuconych przez morze. Jakiś chłopiec o łagodnej twarzy wyciągał właśnie wodę z cysterny – starej zardzewiałej boi z otworem na jednym końcu, a drugim końcem wbitej w ziemię. Woda, którą młodzik podał im w cynowym kubku, nie dość była zimna dla podniebienia, lecz orzeźwiła Ednę, ochłodziła jej zgrzaną twarz i dodała sił.

Zagroda madame Antoine znajdowała się na drugim końcu wsi. Gospodyni powitała ich z gościnnością i prostotą, z jaką otwierały drzwi, żeby wpuścić światło słońca. Otyła i ciężka, niezdarnie krzątała się po izbie. Nie znała angielskiego, lecz gdy Robert wytłumaczył jej, że towarzysząca mu dama zasłała i pragnie odpocząć, zakrzętała się, ze szczerą gorliwością pragnąc gościowi ulżyć i dogodzić.

W domu panowała nienaganna czystość, duże śnieżnobiałe łóżko pod baldachimem zachęcało do odpoczynku. Stało w bocznej izdebce, której okno wychodziło na wąski trawnik i szopę, w szopie leżała łódź odwrócona dnem do góry.

Madame Antoine nie była na mszy. Syn jej Tonie poszedł do kościoła, lecz niebawem wróci, poprosiła więc Roberta, by usiadł i na niego poczekał. Robert jednak wyszedł na przyzbę i zapalił papierosa. Madame Antoine zajęła się przygotowaniem obiadu w obszernej izbie od frontu. Gotowała mule na kilku kawałkach węgla rozżarzonych w dużym palenisku.



Edna, pozostawiona sama w bocznej izdebce, rozpięła wszystkie haftki i zdjęła z siebie część ubrania. Obmyła twarz, szyję i ramiona w miednicy stojącej pomiędzy oknami. Zdjęła pantofle i pończochy i wyciągnęła się na wysokim, białym łóżku. Cóż za rozkoszne uczucie leżeć w obcym, dziwnym łóżku, w pościeli, do której przyłgął słodki, wiejski zapach liści laurowych. Wyprostowała swe długie nogi, trochę obolałe. Zanurzyła na chwilę palce w rozpuszczonych włosach. Wyciągnęła przed siebie ramiona i roztała jedno, potem drugie, przyglądając im się badawczo, jak gdyby widziała swe ciało po raz pierwszy w życiu – wspaniałe, jędrne, znakomitej jakości. Splotła lekko dłonie nad głową i w tej pozycji zasnęła.

Z początku półdrzemiąc słyszała, co działo się dokoła. Słyszała ciężki krok madame Antoine, która dreptała po skrzypiącej podłodze wysypanej piaskiem. Za oknem gdakały kury, rozgrzebując trawę w poszukiwaniu żwiru. Później od strony szopy dobiegły ją głosy Roberta i Toniego. Leżała bez ruchu. Nie drgnęły nawet ciężkie, nieruchome powieki na jej sennych oczach. Głosy trwały – powolna, przeciągła gwara Toniego i szybka, miękka francuszczyzna Roberta. Słabo rozumiała francuski, zwłaszcza gdy nie zwracano się bezpośrednio do niej, i obydwaj męskie głosy stanowiły jedynie część leniwego, łagodnego, oddalonego gwaru kołyszącego do snu jej zmysły.

Zbudziła się z przekonaniem, że spała długo i mocno. W szopie panowała cisza, w przyległej izbie nie słysząc też było kroków madame Antoine. Nawet kury gdakały i grzebały w ziemi gdzieś dalej. Nad jej głową zaciągnął ktoś moskitierę – zapewne ta stara kobieta weszła tu w czasie jej snu. Edna po cichutku wstała i wyrzła spomiędzy firanek – po ukośnych promieniach słońca poznała, że jest już dobrze po południu. Robert odpoczywał w cieniu szopy oparty o dno odwróconej łodzi. Czytał jakąś książkę. Tonie zniknął. Zastanowiła się, co stało się z resztą towarzystwa. Myjąc się w małej umywalni stojącej między oknami, jeszcze raz czy dwa zerknęła na Roberta.

Madame Antoine zostawiła na krześle kilka czystych zgrzebnych ręczników i pudełko z *poudre de riz*<sup>23</sup>. Edna przypudrowała nos i policzki i przyjrzała się sobie dokładnie w nieco krzywym lusterku wiszącym na ścianie nad miednicą. Oczy miała wyspane, błyszczące i duże, twarz zarumienioną.

---

23 *Poudre de riz* (fr.) – puder ryżowy.

Ukończywszy toaletę, przeszła do sąsiedniej izby. Była bardzo głodna. Izba była pusta. Lecz na stole przysuniętym do ściany leżał obrus i nakrycie dla jednej osoby, a obok talerza brunatny, spieczony bochen chleba i butelka wina. Mocnymi białymi zębami Edna oderwała kęs chleba. Nalała do szklanki trochę wina i wypila. Potem cichym krokiem wyszła na dwór i zerwaną z najniższej gałęzi pomarańczą rzuciła w Roberta, który nie wiedział, że Edna już wstała.

Na jej widok twarz mu pojaśniała; natychmiast przybiegł pod pomarańczowe drzewo.

Ile lat spałam? – zapytała. – Cała wyspa wydaje mi się odmieniona. Przybyła jakaś nowa rasa ludzi i tylko nas dwoje zostało – relikty przeszłości. Kiedy umarła madame Antoine i Tonie? Sto, dwieście lat temu? A kiedy zniknęli z powierzchni ziemi nasi znajomi z Grand Isle?

Poufałym gestem poprawił falbankę na jej ramieniu.

– Spała pani dokładnie sto lat. A ja tu strzegłem pani snu; sto lat przesiedziałem pod tą szopą, czytając książkę. Nie mogłem tylko zapobiec jednej rzeczy – pieczone kurczę zupełnie wyschło.

– Nawet jeśli wyschło na kamień, zjem z apetytem – odrzekła Edna, ruszając z miejsca. – Ale tak naprawdę, to co się stało z monsieur Farivalem i z innymi?

– Dawno odjechali. Gdy stwierdzili, że pani śpi, doszli do wniosku, że najlepiej będzie nic budzić pani. Zresztą – nie pozwoliłbym na to. Od czegoż tu jestem?

– A może Léonce niepokoi się o mnie? – zastanowiła się na głos, siadając przy stole.

– Wykluczone. Przecież wie, że pani jest ze mną – odparł Robert zajęty przy piecu rondelkami, w których zostawił przygotowane potrawy.

– A gdzie jest madame Antoine i jej syn? – spytała Edna.

– Pewnie na nieszporach, po których pójda odwiedzić przyjaciół, tak sędzę. Mam panią odwieźć łodzią Toniego, gdy zechce pani wracać.

Rozdmuchał żar w popiele i pieczony drób zaczął syczeć w tłuszczu. Podał jej wcale nie najgorszy posiłek, potem nalał kawy, którą wypili razem. Madame Antoine ugotowała jedynie mule, lecz podczas gdy Edna spała, Robert spenetrował wysepkę i cieszył się jak dziecko, gdy stwierdził, że jadła z apetytem to, co dla niej zdobył.

Wychyliła do dna filiżankę, zgarnęła okruchy chleba i spytała:

– Czy zaraz ruszamy w drogę?

– Słońce jeszcze jest wysoko; za dwie godziny będzie niżej – odrzekł.

– Za dwie godziny słońce zajdzie.

– Niech sobie zajdzie, co nam to!

Czekali dłuższą chwilę pod drzewami pomarańczy, zanim zjawiała się zdyszana madame Antoine, przepraszając stokrotnie za swą nieobecność. Tonie w ogóle nie odważył się powrócić do domu. Był chłopcem bardzo nieśmiałym i unikał widoku kobiet z wyjątkiem rodzonej matki.

Przyjemnie było pod pomarańczowymi drzewami, gdy słońce chyliło się coraz niżej i niżej, obracając zachodnią część nieba w roztopioną miedź i złoto. Cienie wydłużyły się i rozpełzły po trawie jak groźne, podstępne gady.

Edna i Robert siedzieli na ziemi – to znaczy Robert wyciągnął się obok Edny, dotykając raz po raz rąbka jej muślinowej sukni. Madame Antoine – gruba, szeroka, przysadzista – zasiadła na ławie przed domem. Przegadała całe popołudnie i nabrała – można powiedzieć – dużego rozpędu.

Uraczyła ich porcją jakżeż niezwykłych opowieści! Tylko dwa razy w życiu, i to na bardzo krótko, opuściła Chênrière Caminadada. Mieszkała na tej małej wysepce i wydeptała tu wszystkie ścieżki, latami zbierając legendy o Baratarianach<sup>24</sup> i o morzu. Nadeszła noc i wzeszedł księżyc, by ją rozświetlić. Ednie wydało się, że słyszy szepty umarłych i brzęk ukrytego złota.

---

<sup>24</sup> Baratarianie – mieszkańcy wybrzeży zatoki Barataria (ok. 40 mil od Nowego Orleanu); zatokę tę oddziela od Zatoki Meksykańskiej archipelag wysp Grand i Grand Terre – niedysy główne kwatery piratów, dziś ośrodek hodowli krewetek.

Gdy wsiedli oboje z Robertem do łodzi Toniego, łodzi o czerwonych łącińskich żaglach, jakieś mgliste zjawy czaiły się w cieniu trzcinowych zarośli, a daleko na morzu widma okrętów pierzchały w dal, szukając bezpiecznej kryjówki.

Etienne, młodszy synek Edny był bardzo niegrzeczny, mówiła madame Ratignolle, przekazując go matce. Nie chciał iść do łóżka, zrobił scenę, wobec tego zajęła się nim osobiście i uczyła w miarę swych możliwości. Raoul spał już od dwóch godzin.

Chłopczyk był w długiej białej koszulce, którą przydeptywał nóżkami, prowadzony przez madame Ratignolle za rączkę. Drugą rączkę zwinął w pięstkę i przecierał ciężkie od łez, senne powieki. Edna wzięła go na rękę, usiadła na bujaku i zaczęła dziecko pieścić i tulić, nie żałując najczulszych słów, próbując je uspić.

Była zaledwie dziewiąta. Nikt jeszcze nie spał prócz dzieci. Léonce był bardzo zaniepokojony, mówiła madame Ratignolle, i chciał natychmiast ruszać do Chênrière. Lecz monsieur Farival zapewnił go, iż małżonce jego dokuczyla jedynie senność i zmęczenie i że Tonie bezpiecznie przywiezie ją na Grand Isle przed końcem dnia; tym sposobem wyperswadowano panu Pontellier wyprawę przez zatokę. Udał się do Kleina na poszukiwanie pewnego maklera, z którym pragnął się spotkać w sprawie papierów wartościowych czy akcji, czy jakichś udziałów – tego już madame Ratignolle nie pamiętała. Powiedział, że nie zabawi długo. Co do niej, to z trudem zniosła upał i znużenie. Nie rozstawała się z butelką soli trzeźwiących i dużym wachlarzem. Niestety nie może pozostać z Edną, gdyż monsieur Ratignolle był sam, tego zaś ponad wszystko nie znosił.

Gdy Etienne zasnął, Edna zaniósła go do sypialni; Robert pomógł jej unieść moskitierę, by mogła dziecko wygodnie ułożyć w łóżeczku. Niańka pół-Mulatka gdzieś przepadła. Gdy wyszli na dwór, Robert życzył Ednie dobrej nocy.

– Czy wie pan, Robercie, że byliśmy razem przez cały długi dzień, od samego rana? – powiedziała na pożegnanie.

– Tak. Cały dzień, z wyjątkiem tych stu lat, które pani przespała. Dobranoc.

Uściskał jej rękę i ruszył w kierunku plaży. Nie przyłączył się do nikogo i samotnie poszedł nad zatokę.



Edna czekała przed domem na powrót męża. Nie chciało jej się ani spać, ani wejść do środka, nie miała też ochoty na towarzystwo państwa Ratignolle czy madame Lebrun, gwarzącej przed domem z gronem gości, których ożywione głosy docierały do Edny. Przebiegła myślą swój pobyt na Grand Isle i próbowała dociec, czym to lato różniło się od innych w jej życiu. Mogła stwierdzić tylko jedno: to ona – taka, jaka była obecnie – różniła się w pewien sposób od owej dawniejszej Edny. Lecz to, że patrzy na świat innymi oczami, że rozpoznaje w sobie coś nowego, co zmienia jej otoczenie, nadaje mu świeżych barw – tego jeszcze nie podejrzewała.

Zastanowiło ją, czemu Robert odszedł i zostawił ją samą. Na myśl jej nie przyszło, żeby mógł być znużony przebywaniem w jej towarzystwie przez cały boży dzień. Nie czuła zmęczenia i miała pewność, że z nim było podobnie. Żałowała, że odszedł. O ileż bardziej naturalne byłoby zostać, skoro go wcale nie proszono, by sobie poszedł.

Czekając na męża, Edna zanuciła piosenkę, którą śpiewał Robert, gdy płynęli przez zatokę. Zaczynała się od słów: „*Ach! Si tu savais*”<sup>25</sup>

---

<sup>25</sup> *Ach! Si tu...* (fr.) – Ach, gdybyś wiedziała...

Robert miał głos miły dla ucha, melodyjny; śpiewał z wielką naturalnością. Ten głos, melodia, refren piosenki utkwily jej w pamieci i nie dawaly spokoju.

Gdy pewnego wieczoru Edna weszła do jadalni, ostatnia jak zawsze, przy stole toczyła się niezwykle ożywiona rozmowa. Kilkanaście osób mówiło naraz, a nad wszystkimi górował głos Wiktora, nawet nad głosem madame Lebrun. Edna późno wróciła z kąpieli, przebrała się w pośpiechu i twarz miała zarumienioną. Głowa jej wynurzała się spomiędzy delikatnych falbanek białej sukni jak przepysznie kwitnący, rzadki kwiat. Zajęła miejsce przy stole pomiędzy starym monsieur Farivalem i madame Ratignolle.

Ledwie usiadła i zaczęła jeść zupę, którą podano tuż przed jej przyjściem, gdy kilka osób poinformowało ją równocześnie, że Robert wyjeżdża do Meksyku. Odłożyła łyżkę i zdumionym wzrokiem rozejrzała się dokoła. Robert był u niej przez cały ranek, czytał jej na głos i ani razu nie wspomniał nawet o istnieniu czegoś takiego jak Meksyk. Po południu już go nie widziała; słyszała, jak ktoś mówił, że Robert jest na górze, u matki. Puściła to mimo uszu i dopiero pod wieczór poczuła się zaskoczona faktem, iż nie towarzyszył jej na plażę. Rzuciła mu spojrzenie przez stół; siedział obok madame Lebrun, która zajmowała honorowe miejsce. Twarz Edny była obrazem zdumienia, którego wcale nie zamierzała ukrywać; w odpowiedzi na jej spojrzenie Robert uniósł brwi i próbował się uśmiechnąć. Był wyraźnie zakłopotany i zmieszany.

– Kiedy on wyjeżdża? – rzuciła pytanie w przestrzeń, jakby do wszystkich obecnych, jakby nie było tam Roberta, który sam mógł odpowiedzieć.

– Dziś! Jeszcze dziś wieczorem! Coś podobnego! Co go napadło! – Kilka osób odpowiedziało jej jednocześnie po francusku i po angielsku.

– Ależ to niemożliwe! – wykrzyknęła. – Przecież nie można ni stąd, ni zowąd wyjechać z Grand Isle prosto do Meksyku, tak jakby się szło do Kleina albo na przystań, albo na plażę!

– Zawsze mówiłem, że pojedę do Meksyku! Od lat to powtarzam! – wykrzyknął Robert tonem podnieconym, zirytowanym i z miną człowieka, który się opęda od kłujących insektów.

Madame Lebrun zastukała w stół rączką noża.

– Proszę państwa, proszę pozwolić Robertowi wyjaśnić, dlaczego wyjeżdża i dlaczego dziś wieczorem – zawołała. – To miejsce doprawdy coraz bardziej przypomina szpital wariatów. Wszyscy gadają naraz! Czasami – niech mi to Bóg wybaczy – ale doprawdy czasami myślę, że dobrze byłoby, gdyby Wiktor zaniemówił.

Wiktor roześmiał się z ironią, dziękując matce za to pobożne życzenie, którego spełnienie zaiste nikomu nie przyniosłoby pożytku prócz jej samej – mogłaby zabierać głos, bez przeszkód korzystając ze swej władzy.

Monsieur Farival wyraził przekonanie, że Wiktora należało, gdy był dzieckiem, wywieźć na środek oceanu i utopić. Wiktor wyraził przekonanie, że więcej sensu miałyby topienie starców, którzy uparli się wiecznie wszystkim dokuczać. Madame Lebrun była bliska hysterii; Robert przywołał brata do porządku kilku mocnymi, ostrymi słowami.

– Cóż tu jest do wyjaśnienia, matko – rzekł. Mimo to wyjaśnił, spoglądając głównie na Ednę, że aby zdążyć do Veracruz na umówione spotkanie z pewnym dżentelmenem – towarzyszem dalszej podróży – musi wsiąść na parowiec opuszczający Nowy Orlean tego i tego dnia; a że właśnie wieczorem Beaufort wiezie na swym lugrze jarzyny do miasta, oto i okazja, by dotrzeć do Nowego Orleanu i w porę się zaokrętować.

– Ale kiedy powziąłeś ten zamiar? – spytał monsieur Farival.

– Dziś po południu – odparł Robert z akcentem irytacji.

– O której godzinie po południu? – nieznośny staruszek brał go – jak zbrodniarza przed sądem – w ogień krzyżowych pytań.

– Dziś po południu, o godzinie czwartej, proszę pana – odpowiedział mu Robert głośno i z wyniosłym wyrazem twarzy, który przypominał Ednie pewnego dżentelmena oglądanego niegdyś na scenie teatru.

Zmusiła się do spożycia prawie całego talerza zupy i widelcem zaczęła wybierać kawałki gotowanego mięsa.

Para kochanków, korzystając z ogólnej rozmowy na temat Meksyku, szeptała o rzeczach interesujących tylko ich dwoje.

Dama w czerni, która otrzymała kiedyś z Meksyku przedziwnej roboty różaniec zapewniający specjalny odpust, dotąd nie zdołała ustalić, czy może liczyć również na odpust poza granicami Meksyku. Sprawę tę próbował wyjaśnić ojciec Fochel, wikary katedralny, lecz nie uczynił tego w sposób zadowalający. Prosiła teraz Roberta, by zechciał łaskawie zająć się tą sprawą i dowiedzieć się, jeśli to możliwe, czy posiadanie owego niezwykłego zaiste, meksykańskiego różańca na pewno daje jej prawo do odpustu.

Madame Ratignolle wyraziła nadzieję, że Robert będzie bardzo ostrożny w stosunkach z Meksykanami, bo to, jej zdaniem, ludzie bardzo niepewni, pozbawieni skrupułów i mściwi. Osobiście знаła tylko jednego Meksykanina, który wyrabiał i sprzedawał wspaniałe ozdoby ze srebra i wzbudzał ogromne zaufanie, taki był łagodny i miły. Pewnego dnia został aresztowany, ponieważ zakłuł sztyletem własną żonę. Nigdy się nie dowiedziała, czy go powieszono, czy nie.

Wiktor rozweselił się i zaczął opowiadać anegdotkę o pewnej Meksykance, która jednej zimy podawała czekoladę w restauracji na Dauphine Street. Ale nikt na nikogo nie zważał z wyjątkiem monsieur Farivala, który słuchając anegdotki, omal nie dostał konwulsji ze śmiechu.

„Czy oni wszyscy nagle poszaleli, pomyślała Edna – żeby robić tyle zgiełku i hałasu?” Jej samej nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć o Meksyku czy jego mieszkańcach.

– O której pan wyjeżdża? – spytała Roberta.

– O dziesiątej – powiedział. – Beaufort chce poczekać na wschód księżycy.

– Czy jest pan gotów do podróży?

– Całkowicie. Zabieram tylko torbę, kufer spakuję w mieście.

Odwrócił się, by odpowiedzieć na pytanie zadane mu przez matkę, i Edna dopiwszy kawę, wstała od stołu.

Poszła prosto do siebie. W domczku było o wiele duszniej i parniej niż na dworze. Nie dbała o to, zbyt wiele rzeczy w pokoju domagało się jej uwagi. Zaczęła robić porządek na umywalni, narzekając na niedbalstwo niańki, która w przyległym pokoju układała dzieci do snu. Pozbierała ubranka rzucone na poręcz krzesła i ułożyła wszystko na właściwym miejscu, w szufladzie komody. Zmieniła suknię na wygodniejszy i luźniejszy szlafrok. Potem pomogła niańce zapędzić malców do łóżka.



Dzieci były bardzo rozbawione i rozgadane – miały ochotę na wszystko, tylko nie na spanie. Edna odesłała nianię na kolację i pozwoliła jej nie wracać. Potem usiadła i opowiedziała dzieciom bajkę. Bajka, zamiast uspokoić, podnieciła dzieci i odegnała senność. Jeszcze po odejściu matki toczyły gorący spór na temat zakończenia, które matka obiecała opowiedzieć następnego wieczoru.

Przyszła mała Murzynka z prośbą od madame Lebrun: czy pani Pontellier nie zechce przyłączyć się do całego towarzystwa, które posiedzi aż do odjazdu Roberta. Edna kazała odpowiedzieć, że już się przebrała i że niezbyt dobrze się czuje, lecz, być może, przyjdzie później. Zaczęła się ponownie ubierać i nawet już zdjęła peniuar, lecz jeszcze raz zmieniła zamiar i nałożywszy z powrotem peniuar, wyszła z pokoju i usiadła na ganku. Było jej gorąco, była poirytowana i wachlowała się energicznie wachlarzem przez dobrą chwilę. Zjawiała się madame Ratignolle, by zobaczyć, co się z nią dzieje.

– Ten hałas i zamieszanie przy stole wytrąciły mnie z równowagi – odparła Edna – a poza tym nie znoszę takich wstrząsów i zaskoczeń. Co za pomysł, żeby Robert wyjeżdżał nagle i zupełnie nieoczekiwanie! Jakby to była sprawa życia i śmierci! I przez cały ranek nie powiedział ani słowa, kiedy był ze mną.

– Masz rację – przyznała madame Ratignolle. – Uważam, że dowodzi to zupełnego braku względów dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie. Nie zdziwiłoby to mnie u kogoś innego, wszyscy ci Lebrunowie skłonni są do pustych frazesów. Lecz muszę przyznać, że ze strony Roberta nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewała. Czy przyjdiesz do nas? Chodź, kochanie, wyglądałoby to nieładnie.

– Nie – odparła Edna nadąsana. – Nie mam siły znów się ubierać, nie chce mi się.

– Nie musisz się ubierać, wyglądasz całkiem przyzwoicie; przewiąż się paskiem. Spójrz na mnie!

– Nie – uparła się Edna – ale ty idź. Madame Lebrun może się poczuć urażona, jeżeli obydwie nie pójdziemy.

Madame Ratignolle ucałowała Ednę na dobranoc i odeszła, pragnąc w głębi serca czym prędzej przyłączyć się do całego towarzystwa, które nadal z wielkim ożywieniem debatowało na temat Meksyku i jego mieszkańców.

W jakiś czas później nadszedł Robert, niosąc swój sakwojaż.

– Źle się pani czuje? – spytał.

– Nie, nic mi nie jest. Już pan wyjeżdża?

Zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek.

– Za dwadzieścia minut – odparł. Nagły i krótki błysk zapałki pogłębił na chwilę ciemność. Robert usiadł na stołeczku porzuconym przez dzieci.

– Niech pan sobie przyniesie krzesło – powiedziała Edna.

– Wystarczy mi to – odparł. Włożył kapelusz, natychmiast zdjął go i otarł nerwowo twarz chustką, skarzając się na upał.

– Proszę! – powiedziała Edna, podając mu wachlarz.

– Ach nie! Dziękuję. To wcale nie pomaga, w pewnej chwili trzeba przecież rzucić wachlarz i człowiek czuje się potem jeszcze gorzej.

– Jest to jedna z tych śmiesznych rzeczy, które mówią wszyscy mężczyźni. Jeszcze nie słyszałam, żeby któryś z was inaczej się wyraził o wachlarzu. Na długo pan wyjeżdża?

– Może na zawsze. Nie wiem. To zależy od wielu różnych rzeczy.

– Jeżeli nie na zawsze, to na jak długo?

– Nie wiem.

– A mnie się to wszystko wydaje zupełnie niedorzeczne i niczym nieusprawiedliwione. Wcale tego nie pochwalam. Nie rozumiem powodów pańskiego tajemniczego milczenia. Żeby mi słowa o tym nie powiedzieć dzisiejszego ranka!

Milczał, nie próbując się bronić. Rzekł tylko po chwili:

– Proszę nie żegnać mnie w tak nieprzychylnym usposobieniu. Nigdy jeszcze nie okazywała mi pani braku ciepłości.

– Wcale nie pragnę rozstać się z panem w gniewie – odparła. – Ale czyż pan tego nie rozumie? Przywykłam do pańskiego widoku, do tego, że zawsze mogłam liczyć na pańskie towarzystwo, i takie postępowanie wydaje mi się zaprzeczeniem przyjaźni, nawet uprzejmości. I wcale nie próbuje pan za to przeprosić! Liczyłam na to, że nadal będziemy się widywać, z przyjemnością myślałam o spotkaniach zimą w mieście.

– Ja też – wybąkał. – Być może właśnie to... – Wstał nagle i wyciągnął rękę. – Do widzenia, droga pani Pontellier, do widzenia. Mam nadzieję, że pani... że mnie pani całkiem nie zapomni. – Nie puszczała jego ręki, usiłując go zatrzymać.

– Proszę do mnie napisać, kiedy pan już tam zajędzie, dobrze, Robercie? – prosiła.

– Napiszę na pewno, dziękuję pani. Do widzenia. Żegnam.

Jakie to wszystko do niego niepodobne! Pierwszy lepszy znajomy byłby na taką propozycję powiedział coś więcej niż tylko: „Napiszę, dziękuję pani, do widzenia”.

Najwyraźniej pożegnał się już ze wszystkimi w domu, bo gdy zszedł z ganku, skierował się w stronę Beaufleta, który czekał na niego, trzymając jedno wiosło na ramieniu. Zniknęli obaj w ciemności. Dobiegł do niej jeszcze głos Beaufleta; Robert nawet jednym słowem nie pozdrowił towarzysza.

Edna konwulsyjnie przygryzła chusteczkę, usiłując ukryć nawet przed samą sobą, jak ukryłaby przed innymi, nagły dojmujący spazm uczucia. Oczy jej nabrzmiały łzami.

Po raz pierwszy od lat rozpoznała na nowo symptomy zakochania, które znała już niegdyś jako dziecko, potem jako dorastająca dziewczyna i wreszcie jako młoda kobieta. Lecz znane objawy w niczym nie umniejszyły siły doznania, nawet jeśli zapowiadały lub sugerowały nietrwałość uczucia. Przeszłość nie liczyła się; własne doświadczenia nie stanowiły dla Edny lekcji, którą chciałaby pamiętać. Przyszłość to tajemnica, której nie usiłowała zgłębiać. Liczyła się tylko terażniejszość, a terażniejszość – podobnie jak niegdyś – zadawała tortury i Edna z rozpaczą uświadomiła sobie, że utraciła to, co już miała w ręku, że odebrano jej coś, czego świeżo przebudzona w niej istota namiętnie pragnęła.

– Czy bardzo ci brakuje twego przyjaciela? – spytała pewnego ranka mademoiselle Reisz, doganiając powoli Ednę, która wyszła z domeczku i zmierzała na plażę. Edna posiadała wreszcie sztukę pływania i większość czasu spędzała w wodzie. W miarę jak pobyt na Grand Isle dobiegał końca, uważała, że nigdy za wiele czasu nie może poświęcić jedynej rozrywce dostarczającej jej prawdziwie przyjemnych momentów. Gdy mademoiselle Reisz podeszła bliżej, dotknęła jej ramienia i przemówiła, głos jej zdawał się echem myśli, które nie opuszczały Edny, lub raczej uczucia, które nią całkowicie zawładnęło.

Wyjazd Roberta jak gdyby ujął wszystkiemu światła, barwy, znaczenia. Warunki jej życia w najmniejszym stopniu nie uległy zmianie, lecz cała egzystencja zbladła, stała się jak spłowiała suknia, której nie można już nosić. Edna szukała Roberta wszędzie – w innych, których nakłaniała do mówienia o nim. Rankiem odwiedzała madame Lebrun, dzielnie znosiła turkot maszyny do szycia, by w przerwach – zwyczajem Roberta – rozmawiać z jego matką. Przyglądała się obrazom, fotografiom wiszącym na ścianach pokoju, odkryła nawet w jakimś kącie rodzinny album, który przejrzała z najwyższym zainteresowaniem, prosząc madame Lebrun o objaśnienia dotyczące różnych postaci i twarzy na kartach albumu.

Było tam zdjęcie madame Lebrun z Robertem, siedzącym na jej kolanach niemowlęciem o krągłej buzi i z piąstką w ustach. Tylko oczy zapowiadały mężczyznę. Był tam również Robert, gdy miał pięć lat, w szkockiej spódniczce, z długimi lokami i bacikiem w ręce. Rozbawił Ednę ten obrazek, śmiała się również z jego portretu w pierwszych długich spodniach; zaciekało ją inne zdjęcie, zrobione, gdy kończył college – wyglądał szczupło, z pociągłą twarzą, oczy pełne ognia, ambicji i zapału. Nie było jednak żadnego zdjęcia z ostatnich czasów, żadnego przypominającego owego Roberta, który przed pięciu dniami wyjechał, pozostawiając ją na pustyni; w próżni.

– Och Robert przestał się fotografować, kiedy musiał sam za to płacić! Powiedział, że zna lepszy sposób wydawania pieniędzy – wyjaśniała madame Lebrun. Otrzymała od niego list napisany przed wyjazdem z Nowego Orleanu. Edna pragnęła zobaczyć ten list i madame Lebrun powiedziała, że znajdzie go na stole albo w komódce, albo może na kominku.

List leżał na półce z książkami. Budził w Ednie najwyższą ciekawość, interesowało ją wszystko: koperta, jej kształt i wielkość, znaczek pocztowy, charakter pisma. Przyjrzała się najdrobniejszym szczegółom, zanim go otworzyła. Zawierał tylko kilka linijek, mówiących o tym, że wyjedzie z miasta po południu, że bardzo starannie spakował swój kufer, że czuje się dobrze i przesyła pozdrowienia, i prosi matkę, aby je przekazała wszystkim jak najserdeczniej. Nie zawierał żadnej wiadomości przeznaczonej dla Edny z wyjątkiem postscriptum, w którym dodał, że gdyby pani Pontellier pragnęła dokończyć książkę, którą czytał jej na głos, matka znajdzie ją w jego pokoju wśród innych książek na stole. Edna doznała ukłucia zazdrości – wolał napisać do matki niż do niej!

Wszyscy uważali za naturalne, że odczuwała jego brak. Nawet pan Pontellier, gdy przybył w następną sobotę, wyraził żal z powodu wyjazdu Roberta.

– Jak ty sobie bez niego dajesz radę, Edno? – spytał.



– Jest bardzo nudno – przyznała. Pan Pontellier widział Roberta w mieście i w związku z tym Edna zadała mu z tuzin pytań, jeśli nie więcej. Gdzie się spotkali? Na ulicy Carondelet, rano. Wstąpili „na jednego” i wypalili po cygarze. O czym rozmawiali? Głównie o jego widokach w Meksyku, które, zdaniem pana Pontellier, były obiecujące. Jak wyglądał – poważny, wesoły czy jaki? Pogodny i wesoły i całkowicie pochłonięty myślą o podróży, co pan Pontellier uważał za naturalne u młodego człowieka szukającego fortuny i przygód w obcym, nieznanym kraju.

Edna niecierpliwie tupnęła nóżką i poskarżyła się na dzieci, które nie wiadomo czemu uparły się bawić w słońcu zamiast pod drzewami. Poszła do dzieci, zaprowadziła je do cienia i wyłajała niańkę za brak uwagi.

Ani trochę nie wydało jej się rzeczą śmieszną czy dziwną, że czyniła z Roberta temat rozmowy i mężowi kazała o nim opowiadać. Jej uczucie dla Roberta w niczym niepodobne było do tego, co czuła obecnie czy w przeszłości, czy kiedykolwiek w przyszłości czuć będzie dla swego męża. Przez całe życie przywykła gromadzić myśli i uczucia, których nigdy nie dopuszczała do głosu. Nigdy w niej ze sobą nie walczyły. Były jej własnością, żywiła przekonanie, że posiada do nich prawo wyłączne, że jej życie uczuciowe nikogo poza nią nie powinno obchodzić. Wyznała kiedyś madame Ratignolle, że nigdy nie poświęci się dla dzieci ani w ogóle dla nikogo. Dało to początek dość gorącej wymianie zdań; obydwie kobiety nie mogły się nawzajem zrozumieć, jakby mówiły nie tym samym językiem. Edna próbowała uspokoić przyjaciółkę, wyjaśniając sprawę.

– Potrafię zrezygnować z tego, co nie jest ważne; mogę oddać pieniądze, mogę oddać życie dla dzieci, lecz nie zrezygnuję z siebie. Nie umiem tego powiedzieć jaśniej, chodzi o coś, co dopiero zaczynam sobie uświadamiać, co się dopiero przede mną samą odsłania.

– Nie wiem, co dla ciebie ważne albo co uważasz za nieważne – rzekła pogodnie madame Ratignolle. – Lecz kobieta, która jest gotowa poświęcić życie dla dzieci, nie może uczynić więcej, tak mówi Biblia. Jestem przekonana, że nie mogłabym uczynić nic więcej.

– Ależ tak, na pewno mogłabyś – zaśmiała się Edna.

Nie była zaskoczona pytaniem mademoiselle Reisz owego ranka, gdy dama ta, towarzysząc jej na plażę, poklepała ją po ramieniu i spytała, czy jej nie brak młodego przyjaciela.

– O, dzień dobry, mademoiselle, to pani? Tak, oczywiście, brak mi Roberta. Czy będzie się pani kąpać?

– A czemuż to miałabym się kąpać na końcu sezonu, jeśli przez całe lato nawet nóg nie zamoczyłam? – odparła zgryźliwie mademoiselle Reisz.

– Och, proszę mi wybaczyć. – Edna zmieszała się. Powinna była pamiętać, że mademoiselle Reisz była tematem wielu żartów: niektórzy mówili, że unika wody z powodu peruki lub obawy zniszczenia swoich sztucznych fiołków, inni twierdzili, że artystycznym temperamentom towarzyszy czasami wrodzony wstręt do wody. Na dowód, że nie żywi urazy, mademoiselle zaofiarowała Ednie czekoladki w papierowej torebce wyciągniętej z kieszeni. Zajadała się czekoladą z racji jej wartości odżywczych: pożywienie, a małe – mówiła. Czekolada ratowała ją od głodu, gdyż jedzenie w pensjonacie było fatalne; tylko ktoś tak bezczelny jak madame Lebrun mógł w taki sposób karmić ludzi i jeszcze żądać za to zapłaty.

– Na pewno czuje się bardzo samotna bez syna – rzekła Edna, pragnąc zmienić temat. – W dodatku – jej ukochanego syna. Zapewne z trudem zgodziła się na ten wyjazd.

Mademoiselle zaśmiała się złośliwie.

– Ukochany syn! Och, moja droga! A któż to wmówił pani tę bajkę? Alinę Lebrun żyje dla Wiktora i tylko dla Wiktora. Zepsuła go i rozpieściła do tego stopnia, że stał się stworzeniem pozbawionym wartości. Ubóstwia go, całuje ślady jego stóp. Robert jest dobry na swój sposób, oddaje rodzinie wszystkie zarobione pieniądze i ma zaiste najskromniejsze wymagania. Ukochany syn, też mi prawda! Mnie również brak tego biedaka, moja droga. Przyjemnie było słyszeć jego głos, widzieć, jak się tu krzątał – poza nim jednym cała rodzina Lebrunów szczypty soli niewarta. Często odwiedzał mnie w mieście. Lubię mu grać. A Wiktor? Stryczek to jeszcze dla niego za mało. Cud prawdziwy, że Robert dawno nie zatłukł go na śmierć.

– A mnie się zdawało, że miał dużo cierpliwości dla swego brata – zauważyła Edna; rozmowa o Robercie sprawiała jej przyjemność, bez względu na to, co się mówiło.

– Och, dał mu dobrze w kość rok czy dwa lata temu – mówiła mademoiselle. – Poszło o Hiszpankę, Wiktor wyobrażał sobie, że ma do niej jakieś prawa. Spotkał pewnego dnia Roberta z tą dziewczyną – rozmawiali czy spacerowali, czy kąpali się razem, czy też on niósł jej koszyk – nie pamiętam już, jak to było, dość, że Wiktor bardzo ordynarnie i obraźliwie odezwał się do Roberta; w odpowiedzi Robert sprawił mu na miejscu takie lanie, że to na jakiś czas poskutkowało. Najwyższa pora, żeby znów dostał.

– Czy może chodziło o Mariequitę? – spytała Edna.

– Mariequita? Być może Mariequita. Nie pamiętam, och, ta Mariequita to niezłe ziółko! Zepsuta dziewczyna.

Edna zerknęła spod oka na mademoiselle Reisz; że też mogła słuchać kobiety ziejącej takim jadem. Poczowała się nagle dziwnie przygnębiona, prawie nieszczęśliwa. Nie miała zamiaru wchodzić do wody, lecz zostawiła mademoiselle siedzącą w cieniu dziecinnego namiotu i przebrała się w strój kąpielowy. Woda pod koniec lata stała się chłodniejsza. Edna pluskała się i pływała z zapamiętaniem, ożywiło ją to i ogromnie dodało ducha. Długo przebywała w wodzie, żywiąc niejasną nadzieję, że mademoiselle wróci do domu sama.

Lecz mademoiselle czekała, W drodze powrotnej była bardzo miła i zachwycała się wyglądem Edny w kąpielowym stroju. Mówiła o muzyce. Miała nadzieję, że Edna odwiedzi ją w mieście, i dała jej swój adres zapisany tęnym ołówkiem na skrawku jakiejś kartki wygrzebanej z kieszeni.

– Kiedy pani wyjeżdża? – spytała Edna.

– W przyszłym tygodniu w poniedziałek. A pani?

– Też w przyszłym tygodniu – odrzekła Edna i dodała: – To było przyjemne lato, prawda?

– Owszem – zgodziła się mademoiselle Reisz, wzruszając ramionami. – Byłoby całkiem przyjemne, gdyby nie moskity i bliźnięta Farivalów.

Pontellierowie posiadali uroczą rezydencję na Esplanadzie w Nowym Orleanie. Był to duży, dwurodzinny dom, z szeroką werandą od frontu; żłobione kolumnienki podpierały spadzisty dach. Dom był olśniewająco biały, okiennice, czyli żaluzje pomalowane na kolor zielony. W ogrodzie, utrzymanym z niezwykłą starannością, rosły kwiaty i rośliny wszelkiego rodzaju i wyglądu, w jakie obfituje południowa Luizjana. Wnętrze domu, urządzone zgodnie z panującą modą, tchnęło doskonałością. Najdelikatniejsze, puszyste dywany i kobierce pokrywały podłogi; u drzwi i okien wisiały sute, gustownie udrapowane kotary. Były tam na ścianach obrazy dobrane ze znanstwem i najlepszym smakiem. Kryształ, srebro, ciężkie obrusy z adamaszku – codzienne nakrycie stołu, budziły zazdrość wielu kobiet, których mężowie mniej byli hojni niż pan Pontellier.

Pan Pontellier lubił przechadzać się po swym domu, by sprawdzić, czy w jego wyposażeniu nie brak jakiegoś detalu. Bardzo sobie cenił wszystkie przedmioty, głównie dlatego, że stanowiły jego własność, czerpał też prawdziwą przyjemność z kontemplacji a to jakiegoś obrazu, to znów statuetki czy firanki z rzadkich koronek – obojętne, co to było, dość, że przez niego kupione i umieszczone pośród bóstw domowych.

We wtorkowe popołudnie – wtorek był dniem, w którym Pontellierowie przyjmowali u siebie – potok odwiedzających zdawał się nie mieć końca: kobiet, które przybywały powozami albo tramwajami, albo przychodziły na piechotę, gdy powietrze było łagodne i odległość na to pozwalała. Młody, jasny Mulat w liberii i z maleńką srebrną tacą na karty wizytowe wpuszczał gości. Pokojówka w białym, karbowanym czepeczku podawała na życzenie likier, kawę albo czekoladę. Pani Pontellier w pięknym stroju wizytowym nie opuszczała salonu, przez całe popołudnie przyjmując damy. Niektóre zjawiały się późniejszą porą w towarzystwie męża.

Pani Pontellier przestrzegała tego porządku z nabożnym wprost oddaniem od czasu swego ślubu przed sześciu laty. W niektóre dni tygodnia szła z mężem do opery, czasem do teatru.



Pan Pontellier wychodził z domu pomiędzy dziewiątą a dziesiątą rano i rzadko wracał przed siódmą – obiad podawano o wpół do ósmej wieczorem.

W pewien wtorkowy wieczór, w parę tygodni po powrocie z Grand Isle, oboje z żoną zasiedli do stołu. Byli sami. Chłopcy poszli już do łóżka; słychać było raz po raz tupot ich bosych rozbieganych stóp i głos niańki pół-Mulatki, łagodnie protestujący i błagalny. Pani Pontellier nie miała na sobie sukni, którą zwykle wkładała do gości; była w stroju domowym. Zauważył to pan Pontellier, który takie rzeczy natychmiast spostrzegał; nalawszy sobie zupy, oddał wazę służącemu.

– Wyczerpana? – spytał Ednę. – Kogo dziś miałaś? Dużo gości? – Skosztował zupy i zaczął ją przyprawiać: pieprzem, solą, octem, musztardą – wszystkim, co miał pod ręką.

– Dużo – odparła Edna, która jadła zupę ze smakiem. – Znalazłam karty wizytowe, kiedy wróciłam do domu; nie było mnie.

– Nie było cię w domu?! – wykrzyknął jej mąż z akcentem szczerzej konsternacji w głosie; odstawił butelkę z octem i spojrzał na żonę sponad szkieł.

– Cóż takiego mogło cię wyciągnąć z domu we wtorek po południu? Miałaś coś do załatwienia?

– Nic. Po prostu miałam ochotę wyjść, więc wyszłam.

– Spodziewam się, że zostawiłaś jakieś stosowne wytłumaczenie – rzekł jej małżonek nieco uspokojony i dodał do zupy szczyptę pieprzu z Cayenne.

– Nie, nie zostawiłam żadnego wyjaśnienia. Powiedziałam Joemu, że wychodzę, i to wszystko.

– Ależ moja droga! Wydawało mi się, że już dawno zrozumiałaś, iż nie robi się takich rzeczy; musimy przestrzegać *les convenances*<sup>26</sup>, jeśli chcemy żyć wśród ludzi i dotrzymać kroku innym. Jeśli czułaś, że musisz wyjść tego popołudnia, to trzeba było zostawić jakieś stosowne wytłumaczenie swej nieobecności... Zupa jest zupełnie nie dojedzenia; dziwne doprawdy, że ta kobieta dotąd nie umie zrobić przyzwoitej zupy. W byle jakiej knajpie w mieście podają lepszą. Czy była tu pani Belthrop?

– Przynieś tacę z kartami, Joe. Nie pamiętam już, kto dziś był.

Chłopiec wyszedł i wrócił po chwili ze stosem kart wizytowych na srebrnej tacy, którą wręczył pani Pontellier.

– Podaj to panu Pontellier – powiedziała.

Joe podał tackę panu Pontellier i zabrał talerze po zupie. Pan Pontellier przejrzał karty wizytowe, niektóre nazwiska gości swojej żony czytał na głos, opatrując je komentarzem.

---

26 *Les convenances* (fr.) – konwenanse.

– Obydwie panny Delasida. Załatwiłem dziś rano dla ich ojca doskonałą transakcję – dostawy terminowe; miłe panny, czas, żeby się już wydały. Pani Belthrop. Powiem ci, o co chodzi, Edno: nie możesz sobie pozwolić, żeby dawać po nosie pani Bethrop. Przecież Belthrop mógłby nas kupić i sprzedać dziesięć razy. Jego firma może mi zapewnić ładną, okrągłą sumkę rocznie. Poślesz liścik pani Belthrop, dobrze? Pani James Highcamp. Hm! Im mniej będziesz miała do czynienia z tą damą, tym lepiej. Madame Laforce. Fatygowała się aż z Carrolton, biedna staruszka. Miss Wiggs, pani Eleanor Boltens. – Odsunął od siebie wizytówki.

– Litości! – krzyknęła Edna, paląc papierosa. – Czemu bierzesz to wszystko tak serio i tak się tym przejmujesz?

– Wcale się nie przejmuję. Lecz właśnie te pozorne drobiazgi trzeba brać serio, takie rzeczy się liczą.

Ryba była przypalona. Pan Pontellier nawet jej nie tknął. Edna powiedziała, że wcale jej nie przeszkadza smak spalenizny. Pieczeń też mu jakoś nie odpowiadała, podobnie jak i sposób przyrządzenia jarzyn.

– Odnoszę wrażenie – odezwał się – że dość pieniędzy wydaje się w tym domu, aby człowiek mógł zjeść przynajmniej jeden posiłek w ciągu dnia, nie tracąc szacunku dla siebie samego.

– Twierdziłeś zawsze, że nasza kucharka to prawdziwy skarb – odrzekła Edna ze spokojem.

– Może była taka na początku, ale kucharki to też tylko ludzie. Należy ich doglądać, pilnować, jak każdego, kogo najmujesz do służby. Przypuśćmy, że nie pilnowałbym urzędników, których zatrudniam, pozwolił im rządzić się na własną rękę; niezły bałagan miałbym w biurze i w interesach.

– Dokąd idziesz? – spytała Edna, widząc, że mąż wstał od stołu, nie przełknąwszy ani kęsa prócz odrobiny mocno przez siebie przyprawionej zupy.

– Zjem obiad w klubie. Dobranoc. – Wyszedł do hallu, wziął kapelusz i laskę i opuścił dom.

Przywykła była do takich scen. Często ją unieszczęśliwiały. Podobna sytuacja odbierała jej kompletnie ochotę, by dokończyć obiadu. Niekiedy biegła do kuchni ze spóźnioną reprimendą dla kucharki. Kiedyś spędziła cały wieczór w swym pokoju, studiując książkę kucharską, po czym wypisała z niej menu na cały tydzień; pozostało – mimo wszystko – niemiłe przeświadczenie, że nie dokonała niczego godnego uwagi.

Lecz owego wieczoru Edna z udanym spokojem samotnie zjadła obiad do końca. Twarz jej płonęła, w oczach błyszczał jakiś wewnętrzny ogień. Skończywszy obiad, przeszła do siebie, a służącemu wydała polecenie, by mówił odwiedzającym, że jest niedysponowana.

Był to piękny, duży pokój, jego bogate wnętrze malowniczo tonęło w półmroku, gdy pokojówka przykręciła knoty lamp. Edna podeszła do otwartego okna i spojrzała z góry na gęszcz zieleni w ogrodzie. Cały urok tej nocy – tajemniczy i czarodziejski – zdawał się czaić wśród owych kwiatów i liści o wonnych, ciemnych, splątanych kształtach. Szukała siebie i odnalazła właśnie w owym słodkim półmroku, który odbijał jej nastrój. Lecz ani dochodzące z tego półmroku odgłosy, ani niebo, ani gwiazdy nie przyniosły ukojenia. Zdawały się drwić z niej złośliwie i ponuro i żadnych nie dawały obietnic ani jakiegokolwiek nadziei. Odwróciła się plecami do okna i zaczęła krążyć po pokoju, nie zatrzymując się, nie odpoczywając. Trzymaną w rękach cieniutką chusteczkę podarła na strzępy, zwinęła w kulkę i rzuciła precz. Przystanąwszy na chwilę, ściągnęła z palca ślubną obrączkę i rzuciła na dywan. Gdy ją ujrzała na dywanie, przydeptała obcasem, usiłując rozgnieść złoto. Lecz mały pantofelek nie uszkodził błyszczącego krążka, nawet śladu na nim nie pozostawił.

W porywie wściekłości chwyciła wazę ze szkła stojącą na stole i cisnęła nią o kafle kominka. Czowała pragnienie zniszczenia. Huk, trzask, brzęk – właśnie to chciała usłyszeć.

Pokojówka, zaniepokojona odgłosem tłukącego się szkła, weszła do pokoju zobaczyć, co się dzieje.

– Waza spadła z kominka – powiedziała Edna. – Nie szkodzi; zostaw to do rana.

– Ależ proszę pani, może pani skaleczyć nogę o kawałek szkła – sprzeciwiła się młoda kobieta, podnosząc rozsypane na dywanie szczątki wazy. – A tu jest pani obrączka, madame, pod krzesłem.

Edna wyciągnęła dłoń, wzięła obrączkę i wsunęła ją na palec.

## 18

Następnego ranka pan Pontellier wychodząc do biura, spytał Ednę, czy nie zechce spotkać się z nim w mieście, aby obejrzeć nowe obicia do biblioteki.

– Wydaje mi się, Léonce, że wcale nie są nam potrzebne. Nie sprawiajmy teraz nic nowego. Jesteś zbyt rozrzutny. Na pewno nigdy nie myślisz o tym, żeby oszczędzić czy odłożyć trochę pieniędzy.

– Żeby być bogatym, moja droga Edno, wcale nie trzeba oszczędzać – odparł. – Trzeba robić pieniądze, – Żałował, że nie miała ochoty towarzyszyć mu przy wyborze nowych obić. Ucałował ją na pożegnanie i powiedział, że mizernie wygląda i powinna na siebie uważać. Była jak zawsze blada i bardzo milcząca.

Po jego wyjściu stała przez chwilę na werandzie; z roztargnieniem ułamała gałązkę jaśminu rosnącego opodal przy kracie. Wciągnęła zapach kwiatów i wetknęła gałązkę za stanik swej białej porannej sukni. Chłopcy ciągnęli na trotuarze wagonik kolejki, był to „ekspres” napełniony kamykami i patyczkami. Niańka szła za dziećmi szybkim, drobnym krokiem, udając stosowne w tej sytuacji zainteresowanie. Nieco dalej na ulicy sprzedawca owoców krzykliwie zachwalał swój towar.

Edna patrzyła przed siebie z wyrazem, który mówił, że pochłonięta jest wyłącznie własną osobą. Otoczenie nie budziło w niej najmniejszego zainteresowania. Ulica, dzieci, sprzedawca owoców, kwiaty rosnące przed jej oczami, wszystko to stanowiło część obojętnego świata, który nagle stał się światem wrogim.

Weszła do domu. Zamierzała tego ranka porozmawiać z kucharką o jej wczorajszych uchybieniach, lecz pan Pontellier oszczędził żonie tej przykrej misji, do której tak mało się nadawała. Pan Pontellier miał dar przekonywania osób jemu podległych. Opuścił dom z uczuciem pewności, że wieczorem – i przez parę następnych wieczorów – zasiądzie wraz z żoną do obiadu, który na pewno będzie zasługiwał na to miano.



Edna przez godzinę czy dwie przeglądała swoje szkice. Widziała własne błędy i niedociągnięcia – kłuły ją w oczy! Próbowwała trochę popracować, lecz stwierdziła, że nie jest w nastroju. Wreszcie odłożyła na bok kilka szkiców – te, które uważała za najmniej nieudane, i wzięła ze sobą, gdy nieco później, już ubrana, wyszła z domu. W spacerowej sukni wyglądała bardzo ładnie i wytwornie. Opalenizna przywieziona z nad morza zniknęła z jej twarzy, spod gęstych ciemnoblonde włosów lśniło białe gładkie czoło. Miała kilka piegów na nosie i małe ciemne znamię pod dolną wargą, drugie na skroni, na wpół zasłonięte włosami.

Idąc ulicą, myślała o Robercie. Oczarowanie nim wciąż trwało. Starła się zapomnieć tego chłopca, pamięć o nim niczemu nie służyła. A jednak stała się dokuczliwą obsesją. Nie znaczyło to wcale, że Edna wracała myślą do konkretnych wydarzeń minionego lata albo że osoba Roberta jawiła się w jej wspomnieniach w jakiś szczególny, wyjątkowy sposób. Nie. Świadomość jego istnienia zapanowała nad wszystkimi jej myślami; niekiedy bladła przysłonięta jakby mgiełką chwilowego zapomnienia, by następnie ożyć z intensywnością, która budziła niepojętą tęsknotę.

Edna szła do madame Ratignolle, Przyjaźń, która powstała między nimi na Grand Isle, trwała niezmienniona i obydwie kobiety widywały się często po powrocie do miasta. Państwo Ratignolle mieszkali niedaleko Edny, na rogu przecznicy, przy której pan Ratignolle posiadał i osobiście prowadził dający mu stały i pokaźny dochód *drugstore*, odziedziczony po ojcu. Pan Ratignolle miał w mieście pewną pozycję i cieszył się godną zazdrości reputacją człowieka uczciwego i rozsądnego. Rodzina jego zajmowała położone nad sklepem apartamenty z wszelkimi wygodami; wchodziło się przez *porte cochère*<sup>27</sup>. Styl życia państwa Ratignolle miał w sobie coś, co Edna uważała za bardzo francuskie, bardzo obce. W dużym i przyjemnym salonie, ciągnącym się przez całą szerokość domu, Ratignolle'owie urządzali dla przyjaciół raz na dwa tygodnie *soirée musicale*<sup>28</sup>, dla odmiany urozmaicony czasem grą w karty. Jeden z ich przyjaciół grał na wiolonczeli, inny przynosił swój flet, jeszcze inny skrzypce, niektórzy umieli śpiewać, wielu grało na pianinie – zresztą z niejednakową dozą wdzięku i umiejętności. *Soirées musicales* u Ratignolle'ów znane były szeroko i zaproszenie na taki wieczór uchodziło za przywilej.

---

<sup>27</sup> *Porte cochère* (fr.) – brama wjazdowa.

<sup>28</sup> *Soirée musicale* (fr.) – wieczór muzyczny.

Edna zastała przyjaciółkę zajętą przeglądaniem przyniesionej z pralni bielizny. Na widok Edny, którą wprowadzono z pominięciem wszelkiej etykiety, natychmiast porzuciła swe zajęcie.

– Cité może równie dobrze zrobić to za mnie; prawdę mówiąc, do niej to zwykle należy – wyjaśniła Ednie, która przepraszała, że przerwała jej zajęcia. Pani Ratignolle wezwała młodą Murzynkę, wręczyła jej spis bielizny i – po francusku – poleciła bardzo starannie wszystko przejrzeć; zwłaszcza – powiedziała – sprawdzić uważnie, czy została zwrócona chusteczka pana Ratignolle z pięknego płótna, której brakowało w zeszłym tygodniu, i koniecznie odłożyć na bok wszystko, co wymaga naprawy i cerowania.

Potem objąwszy Ednę w pól, poprowadziła ją na front domu, do salonu, w którym było chłodno i słodko pachniały ogromne bukiety róż w wazonach na kominku.

Madame Ratignolle wyglądała jeszcze piękniej na tle swego domu, w negliżu, który niemal całkowicie odsłaniał ramiona i rozkoszny, miękki zarys białej, pulchnej szyi.

– Może potrafię któregoś dnia namalować twój portret – powiedziała Edna z uśmiechem, gdy usiadły. – Myślę – mówiła dalej, rozwijając powoli zwój swoich szkiców – że powinnam znowu trochę popracować. Mam ochotę się czymś zająć. Co powiesz o tym? Czy sądzisz, że warto zacząć na nowo studia? Mogłabym przez jakiś czas uczyć się rysunku u Laidpore’a.

Wiedziała, że zdanie madame Ratignolle w tych sprawach było raczej bez wartości, że wcale na nią nie czekając, sama już podjęła decyzję; lecz spragniona była słów zachęty i uznania, z większym zapalem przystąpiłaby wówczas do spełnienia swych zamiarów.

– Masz ogromny talent, kochanie!

– Nonsens! – protestowała Edna, bardzo zadowolona.

– Ogromny, zapewniam cię! – twierdziła z uporem madame Ratignolle, przeglądając szkice jeden po drugim, najpierw z bliska, potem odsuwając na długość ramienia, mrużąc oczy i przekrzywiając na bok głowę. – Ten bawarski chłop na pewno zasługuje na oprawienie w ramki, a ten koszyk jabłek... Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak prawdziwego. Po prostu ma się chętkę wyciągnąć rękę po takie jabłko.

Edna, słuchając pochwał przyjaciółki, rozplýwała się z zadowolenia, jakkolwiek w pełni zdawała sobie sprawę z wartości swego dzieła. Zatrzymała kilka szkiców dla siebie, resztę oddała madame Ratignolle, która ceniła sobie ten podarunek o wiele bardziej, niż na to zasługiwał, i z dumą pokazała szkice mężowi, gdy nieco później przyszedł ze sklepu do domu na lunch.

Pan Ratignolle należał do tych, których nazywamy solą ziemi. Cieszył się nieskończoną pogodą ducha, której dorównywały dobroć serca, hojne miłosierdzie i zdrowy rozsądek. Oboje z żoną mówili po angielsku z nieco obcym akcentem – uwydatniał się w przesadnie poprawnej, jakby ostrożnej wymowie i zupełnie nieangielskiej skłonności do emfazy. Mąż Edny mówił po angielsku nienagannie. Państwo Ratignolle doskonale rozumieli się nawzajem. Jeśli kiedykolwiek na tym padole dwie ludzkie istoty tworzyły jedną, to z pewnością ta para.

Edna, zasiadając w ich towarzystwie do stołu, pomyślała: „Wolałabym raczej napić się ziółek”, lecz bardzo szybko przekonała się, że obawy jej były nieuzasadnione – posiłek okazał się przepyszny, jedzenie proste, a jednak wyborne w smaku i pod każdym względem zadowalające.

Monsieur Ratignolle uradował się na jej widok, jakkolwiek znalazł ją nie tak kwitnącą jak na Grand Isle i zalecił jakiś środek wzmacniający. Mówił dużo i na różne tematy, trochę o polityce, o wydarzeniach w mieście i w najbliższym sąsiedztwie. Mówił z ożywieniem i przejęciem, akcentując pojedyncze sylaby z nieco przesadną powagą. Żona jego zdradzała żywe zainteresowanie wszystkim, co opowiadał, odkładała nawet widelec, aby wysłuchać męża z większym skupieniem, zgadzała się z nim we wszystkim, można by rzec, piła słowa z jego ust.

Edna wyszła od nich raczej przygnębiona niż podniesiona na duchu. Krótkie spojrzenie na domową idyllę nie obudziło w niej ani żalu, ani tęsknoty. Ten rodzaj życia zupełnie jej nie odpowiadał, w czymś podobnym nie mogła dostrzec nic prócz niemal beznadziejnej, przerażającej nudy. Odczuła niemal litość i współczucie dla madame Ratignolle – dla owej egzystencji bezbarwnej, która nie wznosi się ponad sferę ślepego ukontentowania, w której dusza nigdy nie zazna chwili niepokoju, nigdy nie zakosztuje szału i upojenia życiem. Edna zastanowiła się, co właściwie miało znaczyć „upojenie życiem”. Pojęcie to przemknęło jej przez myśl mimowiednie, jakby podszeptane z zewnątrz.

## 19

Edna nie mogła pozbyć się przekonania, że deptanie ślubnej obrączki i rozbicie kryształowej wazy było głupie i dziecinne. Skończyły się tego rodzaju wybuchy pasji, w których daremnie szukała ulgi. Zaczęła bez ograniczeń folgować swym uczuciom i upodobaniom. Skończyły się wtorkowe przyjęcia; nawet nie odwzajemniła wizyt tych osób, które ją odwiedziły. Porzuciła też próżny wysiłek utrzymania domu *en bonne ménagère*<sup>29</sup>, wychodziła i wracała, kiedy jej przyszła ochota, i w miarę istniejących możliwości dogadzała nawet najbardziej przelotnym swym kaprysom.

---

29 *En bonne ménagère* (fr.) – na poziomie dobrej gospodyni.

Pan Pontellier był mężem raczej pełnym kurtuazji, lecz tak długo, póki napotykał w żonie milczącą uległość. Jej nowy i nieoczekiwany sposób postępowania był dla niego całkowicie zaskakujący i oburzający. A kompletne lekceważenie małżeńskich obowiązków budziło gniew. Pan Pontellier stał się niegrzeczny, Edna – zuchwała. Postanowiła nigdy nie ustępować.

– Uważam to za szaleństwo! Kobieta prowadząca dom, matka posiadająca dzieci, spędza w *atelier* całe dnie! Z większym pożytkiem spędziłabyś ten czas, poświęcając go trosce o rodzinę.

– Jestem w nastroju do malowania – odpowiedziała Edna. – Może nie zawsze tak będzie.

– No to maluj. Ale – na miłość boską! – nie każ swojej rodzinie iść do diabła! Spójrz na madame Ratignolle, zajmuje się muzyką, ale z tego powodu nie zezwala na kompletny chaos w domu. A lepsza z niej pianistka niż z ciebie malarka.

– Ani ona nie jest pianistką, ani ja malarką. I wcale nie z powodu malarstwa zaniedbuję inne rzeczy.

– A zatem z jakiego powodu?

– Sama nie wiem. Zostaw mnie w spokoju, nie dokuczaj mi.



Pan Pontellier dopuszczał chwilami podejrzenie, że jego żona zaczyna tracić równowagę umysłową. Widział wyraźnie, że przestała być sobą. To znaczy – nie był w stanie dostrzec, że dopiero teraz właśnie stawiała się sobą, że pozbywała się coraz skuteczniej owej osobowości nieautentycznej, którą niby strój jakiś ubierała dla świata.

Mąż Edny dał jej spokój, jak o to prosiła, i udał się do biura. Edna poszła do swego *atelier* – jasnego pokoju na poddaszu. Pracowała z energią i wielką pasją. Nie skończyła jednak żadnego szkicu, który by ją choć w najmniejszym stopniu zadowolił. Przez czas jakiś cały dom służył sztuce. Chłopcy pozowali mamie. Bawiło ich to tak długo, póki nie odkryli, że nie jest to zabawa specjalnie dla nich wymyślona. Niańka godzinami siedziała przed paletą Edny, cierpliwa jak dzikus, podczas gdy dziećmi zajmowały się służące, a w salonie nikt nie ścierał kurzu. Nawet pokojówka musiała odrobić pańszczyznę jako modelka, gdy Edna spostrzegła, że plecy i ramiona tej dziewczyny mają zarys klasyczny, a włosy oswobodzone z krępującego czepeczka działają bardzo inspirująco.

W czasie pracy Edna nuciła niekiedy półgłosem: „*Ach, si tu savais!*”

Piosenka ta budziła w niej wspomnienia. Wydawało jej się, że znów słyszy szum wody, łopotanie żagla. Widziała poświatę księżyca na zatoce, czuła porywiste uderzenia łagodnego, południowego wiatru. Subtelny dreszcz pożądania przenikał jej ciało, dłoń trzymająca pędzel słabła, oczy piekły.

Bywały dni, kiedy, nie wiedząc dlaczego, czuła się bardzo szczęśliwa. Cieszyła się, że żyje i oddycha, że całą jej istotę przenika słońce, barwy i wonie Południa i rozkoszne ciepło jasnych dni bez skazy. Lubiła wówczas wędrować po jakichś dziwnych, nieznanym miejscach. Odkryła niejedną senny, słoneczny zakątek, jakby stworzony do marzeń. Odkryła też, że dobrze jest marzyć, być samą, rozkoszować się spokojem.

Bywały dni, gdy czuła się bardzo nieszczęśliwa, nie wiadomo dlaczego, gdy było jej obojętne, czy jest zadowolona, czy smutna, żywa czy umarła; gdy życie zdawało się groteskowym pandemonium, a ludzkość – kłębem robaków zmierzających na oślep ku nieuniknionej zagładzie. W takie dni nie mogła ani pracować, ani snuć marzeń, które przyspieszają bicie pulsu i rozgrzewają krew w żyłach.



Będąc w takim właśnie nastroju, Edna odszukała mademoiselle Reisz. Pozostało jej w pamięci raczej nieprzyjemne wrażenie po ostatnim z nią spotkaniu; niemniej pragnęła ją ujrzeć, ponad wszystko zaś – posłuchać jej gry. Wczesnym popołudniem wyruszyła na poszukiwanie pianistki. Niestety, zarzuciła gdzieś czy zgubiła wizytówkę mademoiselle Reisz. Szukając jej adresu w spisie telefonów miejskich, stwierdziła, że mademoiselle mieszka na dość odległej ulicy Bienville. Ale książka telefoniczna była sprzed roku lub jeszcze starsza, toteż Edna, znalazłszy się pod wskazanym numerem, stwierdziła, że dom zamieszkały jest przez jakichś poczciwych Mulatów wynajmujących *chambres garnies*<sup>30</sup>. Lecz mieszkali tam zaledwie od sześciu miesięcy i absolutnie nic nie wiedzieli o mademoiselle Reisz. Okazało się, że nie wiedzieli również nic o swych sąsiadach; zapewnili Ednę, że są to wszystko ludzie bardzo wybitni. Nie traciła czasu na dyskusję z madame Pouponne, tylko pospieszyła do najbliższego sklepu kolonialnego, czując, że mademoiselle na pewno zostawiła tam swój adres.

---

30 *Chambres garnies* (fr.) – pokoje umeblowane.

Owszem, właściciel sklepu znał ją o wiele lepiej, niżby tego pragnął. A byłoby najlepiej – powiedział – gdyby jej w ogóle nie znał i nic nie wiedział o tej osobie, bardzo niemiłej i niepopularnej w całej okolicy. Dziękował Bogu, że się stąd wyniosła i dziękował Bogu również za to, że wyniosła się nie wiadomo dokąd.

Napotkawszy nieprzewidziane trudności, Edna tym mocniej zapragnęła ujrzeć mademoiselle Reisz. Zastanowiła się, kogo mogłaby prosić o potrzebne jej informacje i przypomniała sobie nagle madame Lebrun – najstosowniejszą tu osobę. Wiedziała, że bezskuteczne byłoby pytanie madame Ratignolle, która trzymała się jak najdalej od starej pianistki i wołała nic o niej nie wiedzieć. Kiedyś wyraziła się o niej w słowach niemal tak ostrych jak właściciel sklepu kolonialnego.

Edna wiedziała, że madame Lebrun na pewno jest już w mieście, była przecież połowa listopada. Wiedziała również, że Lebrunowie mieszkali na ulicy Chartres.

Dom ich wyglądem swym przypominał więzienie, niskie okna i drzwi opatrzone były kratami – pozostałości starego regime'u, o których usunięciu nikt nigdy nie pomyślał. Za wysokim ogrodzeniem był ogród, brama wychodząca na ulicę była zamknięta. Edna nacisnęła dzwonek umieszczony przy bramie ogrodowej i stała na chodniku, czekając, aż ją ktoś wpuści.

Otworzył bramę Wiktor. Stojąca tuż za nim Murzynka wycierała ręce w fartuch. Zanim Edna ujrzała tych dwoje, słyszała ich spór – wyraźnie niedorozwinięta umysłowo kobieta domagała się prawa wypełnienia swych obowiązków – jednym z nich było otwieranie bramy.

Wiktor był zaskoczony i ucieszony widokiem pani Pontellier i nawet nie zamierzał ukrywać swego zdziwienia i uradowania.

Był to urodziwy dziewiętnastoletni młodzieniec o czarnych brwiach, ogromnie podobny do matki, lecz o usposobieniu dziesięciokroć bardziej impetycznym. Rozkazał Murzynce natychmiast iść i powiadomić madame Lebrun, że pani Pontellier pragnie ją widzieć. Murzynka odburknęła, że nie pójdzie – jeśli nie wolno jej wypełnić wszystkich obowiązków odźwiernej, to wróci do przerwanego pielienia ogrodu. Na to Wiktor złajał ją, obrzucając stekiem przekleństw, które wyrzucił z siebie z taką szybkością i gwałtownością, że Edna nie mogła zrozumieć ani jednego słowa. Niemniej okazały się skuteczne, gdyż kobieta porzuciła swoją motykę i mrużąc coś pod nosem, poszła do domu.

Edna nie miała ochoty wejść do środka. Przyjemnie było na ganku, na którym stały krzesła, pleciony fotel na biegunach i stoliczek. Usiadła, znużona długą wędrówką, i wyglądając fałdy swej jedwabnej parasolki, zaczęła się kołysać. Wiktor przysunął krzesło i usiadł obok niej. Zaraz jej wyjaśnił, że niegrzeczne zachowanie Murzynki było wynikiem niedostatecznego wychowania, którym nie mógł się zająć, bo go nigdy tu nie ma. Przyjechał rankiem i zamierzał nazajutrz powrócić na wyspę. Spędzał tam całą zimę, pilnował domu i dbał o jego przygotowanie na przybycie letnich gości.

Lecz mężczyźnie potrzebne jest czasem jakieś odprężenie, poinformował panią Pontellier, a zatem i on, Wiktor, pod byle jakim pretekstem raz po raz wpadał do miasta. Mój Boże! Ależ sobie wczoraj użył! Cały się rozpromienił, wspominając ten wieczór. Nie chciał, żeby matka o tym wiedziała i zniżył głos do szeptu. Oczywiście nie może opowiedzieć pani Pontellier wszystkiego, jako kobieta nigdy by tego nie zrozumiała. Ale zaczęło się od tego, że gdy przechodził ulicą, jakaś dziewczyna zerknęła na niego z uśmiechem przez szparę w żaluzji. Cóż to była za ślicznotka! Odpowiedział jej uśmiechem, rzecz jasna, wszedł na górę i pogadali ze sobą. Pani Pontellier go nie zna, jeśli sądzi, że on jest z tych, co taką okazję przepuszczają. Zabawny smarkacz – stwierdziła Edna wbrew sobie. Musiała spojrzeniem zdradzić cień zainteresowania albo rozbawienia. Chłopiec nabrał śmiałości i pani Pontellier w krótkim czasie byłaby usłyszała jakąś mocno koloryzowaną historyjkę, gdyby nie zjawiła się w porę madame Lebrun.

Dama ta nadal ubrana była na biało, zgodnie ze swym letnim obyczajem. Oczy jej błyszczały, gdy wylewnie witała gościa. Czy pani Pontellier nie zechce wejść do środka? Czy można ją czymś poczęstować? Czemu nigdy dotąd ich nie odwiedziła? A jak czuje się drogi pan Pontellier i jak się mają najśłodsze dzieciaczki? Co też pani Pontellier powie na tak ciepły listopad?



Wiktor wyciągnął się na stojącej za krzesłem matki trzcinyowej leżance, skąd mógł widzieć twarz Edny, i leżąc, wymachiwał sobie nad głową parasolką, którą wyjął z jej rąk. Madame Lebrun skarżyła się, że tak jej nudno po powrocie do miasta, że tak mało ludzi widuje, że nawet Wiktor, kiedy wpadnie tu na dzień czy dwa, tak jest zajęty i nie ma dla niej chwili czasu; słysząc to, młodzieniec skręcał się ze śmiechu na swej leżance i szelmowsko mrugał do Edny. Czuła się jak współniczka zbrodni i usiłowała przybrać minę surową i pełną dezaprobaty.

Od Roberta były tylko dwa listy, w których niewiele napisał – powiedzieli jej oboje. Wiktor twierdził, że nawet nie warto szukać tych listów, gdy go matka o to poprosiła. Pamiętał treść na pamięć i przyparty do muru wyrecytował obydwie listy bez zająknięcia.

Jeden pisany był z Veracruz, drugi z Mexico City. Robert spotkał Montela, który nie szczędzi mu swego poparcia. Jego własna sytuacja finansowa niewiele się jak dotąd poprawiła w porównaniu z tą, jaką miał w Nowym Orleanie, lecz widoki na przyszłość były – oczywiście – o wiele lepsze. Z Meksyku pisał o tym, jak wygląda stolica, ludzie i obyczaje i jakie tam zastał warunki życia. Przysyłał pozdrowienia dla rodziny. Załączył czek dla matki i miał nadzieję, że zechce przekazać serdeczne pozdrowienia wszystkim znajomym. Taka mniej więcej była treść obydwóch listów. Edna czuła, że gdyby zawierały jakąś wiadomość dla niej, to na pewno zostałyby jej powtórzona. Znów zaczął ją ogarniać nastrój przygnębienia, który wygnał ją z domu, i przypomniała sobie, że pragnęła odszukać mademoiselle Reisz.

Madame Lebrun wiedziała, gdzie mieszka mademoiselle Reisz. Dała jej adres, ubolewając, że Edna nie chce pozostać na resztę popołudnia i odwiedzić mademoiselle Reisz innego dnia. Przecież wieczór już niedaleko.

Wiktor odprowadził panią Pontellier do tramwaju, osłaniając jej głowę parasolem. Błagał, by zechciała pamiętać, że jego wyznania były ściśle poufne. Roześmiała się i droczyła się z nim przez chwilę, póki nie zdała sobie sprawy – zbyt późno – że należało odpowiedzieć z godnością i rezerwą.

– Jak pięknie wyglądała pani Pontellier – powiedziała pani Lebrun do syna.

– Cudownie! – przyznał. – Atmosfera miasta jej służy. Wydaje się w jakiś sposób inną kobietą.

Niektórzy twierdzili, że mademoiselle Reisz zawsze wybiera mieszkanie na poddaszu, ponieważ boi się żebraków, wędrownych handlarzy i domokrażców. Mały pokój od frontu miał kilka okienek o szybach przeważnie brudnych, lecz nie miało to większego znaczenia, ponieważ okna najczęściej były otwarte. Wprawdzie dostawał się w ten sposób do pokoju dym i sadze, ale również dużo światła i powietrza.

Można było przez okno zobaczyć zakręt rzeki, maszty okrętów i wysokie kominy parowców na Missisipi. W pokoju tym królował wspaniały fortepian. W następnym pokoju mademoiselle spała, a w trzecim i ostatnim mieścił się gazowy piecyk, na którym gotowała sobie posiłki, gdy nie miała ochoty zejść do restauracji w sąsiedztwie. Była to również jej jadalnia; trzymała wszystkie swoje rzeczy w antycznym kredensie, brudnym i zniszczonym w stuletniej służbie.

Gdy Edna zapukała do drzwi i weszła, ujrzała mademoiselle Reisz stojącą przy oknie i zajętą naprawianiem czy łataniem starego czarnego kamasza. Na widok Edny drobnym ciałem pianistki wstrząsnął śmiech – dokładnie mówiąc, był to raczej grymas na twarzy i dziwne wykrzywienie całego ciała. W gasnącym świetle popołudnia wydawała się przerażająco brzydka, miała na sobie swe odwieczne zniszczone koronki i pęczek sztucznych fiołków we włosach.

– A więc jednak przypomniła sobie pani moją osobę – powiedziała mademoiselle. – A ja mówiłam już sobie: trudno, nigdy do mnie ta pani nie przyjdzie.

– A chciała pani, żebym przyszła? – spytała Edna z uśmiechem.

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparła mademoiselle. Usiadły obydwie na wygniezionej sofce, stojącej pod ścianą.

– Cieszę się jednak, że pani przyszła. Właśnie zawrzała woda w czajniku i miałam zamiar zrobić kawę. Wypije pani ze mną filiżankę. A jak się miewa *la belle dame*?<sup>31</sup> Zawsze taka śliczna? Zawsze zdrowa? Zawsze zadowolona? – Mocnymi, kościstymi palcami chwyciła dłoń Edny i wystukała na wierzchu i jednocześnie na spodzie jej dłoni coś w rodzaju muzycznego tematu na cztery ręce.

– Tak – ciągnęła dalej – myślałam sobie czasem: ona nigdy nie przyjdzie. Obiecała nieszczerze, jak wszystkie kobiety z towarzystwa. Nigdy nie przyjdzie. Bo ja nie sądzę, droga pani, żeby mnie pani lubiła.

– Doprawdy, nie wiem, czy panią lubię, czy nie – odparła Edna, spoglądając na tę kobietę zagadkowym wzrokiem.

Szczerłość tej odpowiedzi ogromnie ujęła mademoiselle Reisz. W dowód uznania pospieszyła w okolice gazowego piecyka, by nagrodzić gościa obiecaną filiżanką kawy. Edna, która nie chciała nic przyjąć od madame Lebrun, poczuła teraz lekki głód.

Mademoiselle postawiła tacę na podręcznym stolczku i usiadła z powrotem obok Edny.

– Otrzymałam list od pani przyjaciela – powiedziała. Dodała do kawy odrobinę śmietanki i podsunęła filiżankę Ednie.

---

31 *La belle dame* (fr.) – piękna pani.

– Mego przyjaciela?

– Tak, pani przyjaciela Roberta. Napisał do mnie z Mexico City.

– Napisał do pani? – powtórzyła Edna z najwyższym zdumieniem, mieszając kawę łyżeczką.

– Owszem, do mnie. A czemuż by nie? Niech pani przestanie mieszać, bo kawa ostygnie. Proszę ją wypić. Prawdę mówiąc, mógł równie dobrze wysłać ten list do pani; o niczym innym nie pisze od początku do końca, tylko o pani Pontellier.

– Niech mi go pani pokaże – zażądała kobieta tonem błagalnym.

– Nie, list to sprawa wyłącznie pomiędzy jego autorem i osobą, do której został napisany.

– Czyż nie powiedziała pani przed chwilą, że od początku do końca dotyczy mnie?

– Napisany jest o pani, ale nie do pani. „Czy pani widziała panią Pontellier? Jak ona wygląda?” – pyta Robert. „Zdaniem pani Pontellier...” albo „Jak kiedyś powiedziała pani Pontellier...” „Jeśli pani Pontellier panią odwiedzi – niech pani dla niej zagra to moje ulubione *impromptu* Chopina, które słyszałem tutaj przed kilku dniami; pani to gra zupełnie inaczej. Chciałbym wiedzieć, jak ona to przyjmie” – i tak dalej, i tak dalej, jak gdyby przypuszczał, że widzujemy się bez przerwy.

– Proszę pokazać ten list!

- O nie!
- Czy pani już odpisała?
- Nie.
- Proszę mi pokazać ten list!
- Nie i jeszcze raz nie.
- Wobec tego proszę zagrać to *impromptu*.
- Robi się późno. O której godzinie musi pani być w domu?
  - Nie dbam o to. Pytanie wydaje mi się trochę nieuprzejme. Niech pani zagra...
  - Lecz nic mi pani o sobie nie powiedziała. Co pani robi?
  - Maluję! – zaśmiała się Edna. – Zamieniam się w artystkę, proszę sobie wyobrazić!
  - Och, artystka! To niepozbawione pretensji.
  - Dlaczego pretensji? Sądzi pani, że nie mogę zostać artystką?
  - Nie dość wiem, żeby odpowiedzieć. Nie wiem, jaki pani ma talent, jaki temperament. Być artystką znaczy wiele: trzeba mieć zdolności – zdolności wrodzone, których nie sposób wyrobić w sobie największym nawet wysiłkiem. Co więcej, aby zyskać sukces, artystka musi mieć dzielne serce.
    - Co pani rozumie przez „dzielne serce”?
    - Dzielne, *ma foi!* Odważne. Serce, które zniesie wszystkie przeciwności i przed niczym się nie cofnie.



– Proszę mi pokazać list i zagrać dla mnie to *impromptu* Chopina. Widzi pani, że nie brak mi wytrwałości. Czy to się liczy w sztuce?

– Liczy się u mnie – starej zwariowanej kobiety, którą pani całkowicie podbiła – odrzekła mademoiselle i znów całym jej ciałem wstrząsnął śmiech.

List był pod ręką w szufladzie stolika, na który Edna odstawiała swą filiżankę. Mademoiselle otwarła szufladkę i wyciągnęła list – leżał na wierzchu. Wsunęła go Ednie do ręki i bez słowa podeszła do fortepianu.

Cichutko zagrała jakieś interludium – jej własna improwizacja. Siedziała na niskim stołeczku i ciało jej chwiało się i wyginało dziwnie, sprawiając wrażenie zupełnej deformacji. Niepostrzeżenie wstępne interludium przeszło w minorowe akordy szopenowskiego *impromptu*.

Edna nie wiedziała, kiedy zaczął się Chopin, a skończyła improwizacja mademoiselle Reisz. Siedziała wtulona w kąć sofki i w zapadającym zmierzchu czytała list Roberta. Mademoiselle przeszła od Chopina do drżących tonów miłosnej pieśni Isoldy, a potem znów wróciła do *impromptu* z jego dojmującą, drażącą duszę tęsknotą.

Cienie zaległy mały pokoik. Fortepian brzmiał coraz dziwniej, szalał wzburzony, natarczywie się czegoś domagał, skarżył się, wreszcie jakby szeptem o coś błagał. Zmierzch zgęstniał. Muzyka wypełniła cały pokój, wypłynęła za okno, w mrok, ponad dachy domu, poza kolano rzeki, roztopiając się w ciszy górnych sfer.

Edna łkała jak owej nocy na Grand Isle, kiedy to w jej sercu odezwały się dziwne, nieznane głosy. Głęboko poruszona wstała, by pożegnać się z mademoiselle Reisz.

– Czy mogę znów przyjść? – spytała od progu.

– Zawsze, kiedy tylko przyjdzie pani ochota. Proszę uważać, na schodach jest ciemno, niech się pani nie potknie.

Mademoiselle wróciła do pokoju i zapaliła świecę. List Roberta leżał na podłodze. Schyliła się, żeby go podnieść. Papier był zmięty i mokry od łez. Mademoiselle wygładziła kartkę, wsunęła ją do koperty i włożyła z powrotem do szufladki stolika.

Pewnego ranka w drodze do miasta pan Pontellier zaszedł do domu swego starego przyjaciela i lekarza rodziny, doktora Mandelet. Doktor był już na półrencie; spoczywał – jak się to mówi – na laurach. Dobrą reputację zawdzięczał bardziej rozumowi niż umiejętnościom – praktykę pozostawił swoim asystentom i młodszym lekarzom, zadowolając się wysoko cenioną poradą przy konsultacjach. Kilka rodzin związanych z nim przyjaźnią nadal mogło liczyć na niego, gdy pomoc lekarska była niezbędna. Do takich należała rodzina Pontellierów.

Pan Pontellier zastał doktora czytającego przy otwartym oknie gabinetu. Dom starego dżentelmena stał z dala od ulicy, pośrodku rozkosznego ogrodu i za oknem jego gabinetu panowała cisza i spokój. Doktor bardzo dużo czytał. Gdy pan Pontellier wszedł do gabinetu, starzec z pewnym niezadowoleniem spojrzął sponad szkieł na intruza, ośmielającego się burzyć jego spokój o tak wczesnej godzinie.

– Ach, Pontellier, to pan! Nie chory, mam nadzieję. Proszę, proszę siadać. – Doktor był mężczyzną okazałej postaci, z ogromną siwą czupryną i małymi niebieskimi oczkami, którym wiek odebrał wiele blasku, lecz nie przenikliwości.

– O nie, doktorze, nigdy nie choruję. Wie pan, że jestem z materiału odpornego – z tej starej rasy Kreolów, co wysychają na proch i znikają z podmuchem wiatru. Przyszedłem po radę – a raczej, ściśle mówiąc – po prostu porozmawiać o Ednie. Nie mam pojęcia, co jej jest.

– Pani Pontellier nie czuje się dobrze? – zdumiał się doktor.

– Widziałem ją chyba tydzień temu – szła ulicą Canal i była okazem zdrowia, przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

– Owszem, wydaje się zupełnie zdrowa – powiedział pan Pontellier, pochylając się do przodu i kręcąc łaskę w dłoniach – lecz nie zachowuje się normalnie. Jest jakaś dziwna, jakby nie była sobą. Nie potrafię jej rozgryźć i pomyślałem, że może pan by jej pomógł.

– Jak się zachowuje? – zapytał doktor.

– To niełatwo wyjaśnić – odrzekł pan Pontellier i gwałtownie wyprostował się w krześle. – Pozwala na to, że dom schodzi na psy.

– No tak, mój drogi Pontellier, ale nie wszystkie kobiety są jednakowe. Powinniśmy wziąć pod uwagę...

– Wiem o tym. Powiedziałem, że nie znajduję wyjaśnienia. Całe jej zachowanie i wszystko... wszystko się zmieniło. Wie pan, że jestem porywczy, ale nie chcę się kłócić czy też traktować kobiety brutalnie, zwłaszcza mojej żony, jestem jednak do tego zmuszony, a gdy zachowam się jak dureń, czuję się potem diablo nieszczęśliwy. Piekielnie utrudnia mi sytuację – ciągnął dalej. – Wbiła sobie do głowy jakąś bajeczkę o odwiecznych prawach kobiet... i rozumie pan... spotykamy się rankiem przy śniadaniu.

Starzec uniósł krzaczaste brwi, wysunął grubą dolną wargę i zastukał w oparcie fotela opuchłymi czubkami palców.

– Co pan jej zrobił, Pontellier?

– Co ja jej zrobiłem? Parbleu!

– A czy ostatnio – spytał doktor z uśmiechem – nie stykała się z jakimś kółkiem pseudointelektualistek, istot szczególnie uduchowionych i wyższego gatunku. Żona moja opowiadała mi o czymś podobnym...

– Bieda w tym – przerwał mu pan Pontellier – że ona się z nikim nie spotyka. Zanedbała swoje wtorki w domu, zerwała wszystkie znajomości i wałęsa się samotnie, gapi się przez okna w tramwajach, wraca po zapadnięciu ciemności. Mówię panu, że zrobiła się dziwna. Bardzo mi się to nie podoba; ona mnie niepokoi.

Doktor spojrział teraz na sprawę od innej strony.

– Nic dziedzicznego przypadkiem? – zapytał z powagą. – W rodzinie nie było nic szczególnego? Mam na myśli jej przodków?

– Ach nie, skądże! To zdrowy, prezbiteriański szczep z Kentucky. Starszy pan, jej ojciec, jak słyszałem, miał zwyczaj grzechy całego tygodnia okupywać przykładnie pobożną modlitwą w niedzielę. Faktem jest – wiem z całą pewnością – że puszczał na torze wyścigowym konie, jakich w życiu nie widziałem – były najlepsze stajnie Kentucky; Margaret – zna pan Margaret – reprezentuje do dziś esencję prezbiteriańskiej surowości. A najmłodsza z nich to mała czarownica. Przy okazji – za dwa tygodnie od dziś wychodzi za mąż.

– Niech pan wyśle żonę na ten ślub! – wykrzyknął doktor, widząc szczęśliwe rozwiązanie wszystkich kłopotów. – Niech posiedzi przez czas jakiś wśród swoich; to jej dobrze zrobi.

Właśnie próbuję ją do tego namówić. Ale ona nie chce jechać na ślub siostry. Mówi, że ślub to najbardziej pożałowania godne widowisko na świecie. – Na wspomnienie tych słów pan Pontellier uniósł się ponownie w krzesło. – Przyjemnie słuchać mężowi takich rzeczy!

– Pontellier – rzekł doktor po chwili namysłu – niech pan zostawi żonę na czas jakiś w spokoju. Nie należy jej niczym martwić i sam pan też się nie martw. Kobieta, mój drogi przyjacielu, to bardzo szczególny i delikatny organizm; kobieta wrażliwa i skomplikowana – a do takich należy, o ile mi wiadomo, pani Pontellier – to wypadek podwójnie skomplikowany. Trzeba by tu natchnionego psychologa, żeby sobie z tym poradził. Natomiast kiedy dwóch tak przeciętnych jegomościów jak ja i pan spróbuje zająć się ich nadwrażliwością, rezultat może być opłakany. Większość kobiet to stworzenia kapryśne i łatwo ulegające nastrojom. Chodzi zapewne o jakiś przelotny kaprys pańskiej żony z jakiegoś powodu albo z kilku różnych powodów, w które ja i pan nie musimy wnikać. Ale to minie bez śladu, zwłaszcza jeśli pozostawisz ją pan w spokoju. Przyślij ją do mnie.

– Och, nie mogę zrobić czegoś podobnego! W jakim sposobie mógłbym jej to wytłumaczyć? – sprzeciwił się pan Pontellier.

– No to ja wpadnę do was, żeby się jej przyjrzeć. Przyjdę któregoś dnia na kolację *en bon ami*<sup>32</sup>.

– Przyjdź pan koniecznie, doktorze – nalegał pan Pontellier. – Kiedy? Powiedzmy we czwartek. Dobrze? – I wstał żeby się pożegnać.

– Doskonale. Czwartek. Możliwe, że moja żona ma już dla mnie jakieś zajęcie na czwartek, jeśli tak, to zawiadomię. Jeśli nie, proszę się mnie spodziewać.

Pan Pontellier odwrócił się na progu.

– Wybieram się niebawem do Nowego Jorku w sprawach służbowych. Kroi mi się wielki interes i pragnę być na miejscu, by pociągnąć odpowiednie sznurki i zapiąć wszystko na ostatni guzik. Możemy dopuścić pana do spółki, jeśli pan zechce.

– Nie, dziękuję uprzejmie, mój drogi panie – odparł doktor. – Takie pomysły pozostawiam wam, młodszym, w których żyłach krew szybciej krąży.

– Chciałem jeszcze dodać – powiedział pan Pontellier już z ręką na klamce – że moja nieobecność może potrwać czas jakiś. Czy radziłby mi pan zabrać Ednę ze sobą?

---

32 *En bon ami* (fr.) – po przyjacielsku.



– Jak najbardziej, jeśli tylko ma na to ochotę. Jeśli nie, niech ją pan zostawi. Nie trzeba się jej sprzeciwiać. Ten jej nastrój przejdzie, zapewniam. Może potrwać miesiąc, dwa, trzy – może nawet dłużej, ale przejdzie; cierpliwości.

– A zatem żegnam i *à jeudi*<sup>33</sup> – powiedział pan Pontellier i wyszedł nieodprowadzany.

W ciągu tej rozmowy doktor miał ochotę zapytać: „Czy nie chodzi tu o jakiegoś mężczyznę?” – lecz zbyt dobrze znał naturę Kreolów, by popełnić taki błąd.

Nie od razu powrócił do czytanej książki, siedział przez dłuższą chwilę, w zamyśleniu spoglądając na ogród za oknem.

Ojciec Edny bawił w mieście i mieszkał u Pontellierów przez parę dni. Nie była do niego ani czule, ani głęboko przywiązana, lecz na pewno mieli wspólne gusty i stanowili parę dobranych przyjaciół. Przyjazd jego był z gatunku tych wydarzeń, które wnoszą pożądane zamieszanie; nadał przeżyciom Edny nowy kierunek.

Przyjechał, by kupić prezent ślubny dla swej córki Janet, a dla siebie garnitur, w którym godnie prezentowałyby się na jej ślubie. Podarunek ślubny wybrał pan Pontellier, ponieważ każdy, kto się z nim zetknął, chętnie zdawał się na jego smak w takich sprawach. A jego sugestie dotyczące strojów – rzecz tak często urastająca do dużego problemu – teść uważał za nieocenione. Lecz przez ostatnich kilka dni stary dżentelmen zdany był na Ednę, która dzięki temu zaznała zupełnie nowego rodzaju przeżyć. Ojciec jej był pułkownikiem w armii konfederatów i wraz z tytułem nosił nadal wojskowe odznaczenia. Miał siwe, jedwabiste włosy i wąsy, podkreślające ogorzałość twarzy. Był wysoki, szczupły i nosił kurtki i żakiety wutowane na ramionach, by wydać się masywnym i barczystym. Ojciec i córka stanowili razem niezmiernie dystygowaną parę, która w czasie spacerów zwracała uwagę swym wyglądem. Zaraz po przyjeździe Edna zaprowadziła ojca do swej pracowni, gdzie zrobiła mu szkic do portretu. Brał to wszystko bardzo poważnie. Gdyby miała talent nawet dziesięciokrotnie większy, wcale by go to nie zdziwiło, gdyż był głęboko przekonany, że przekazał wszystkim swoim córkom zarodki mistrzowskich uzdolnień i wielkość osiągnięć zależała już tylko od indywidualnych wysiłków każdej z nich.

Siedział przed szkicownikiem Edny wyprostowany i patrzył w dal wzrokiem nieporuszonym, podobnie jak kiedyś w obliczu wrogich działań. Nie lubił, gdy wpadały do pracowni dzieci, które wytrzeszczały oczy na pana, co siedział pośrodku jasnego atelier mamy i zupełnie się nie ruszał. Gdy podchodziły bliżej, odganiał wnuków jedynie wymownym tupnięciem nogi – nie chciał zmieniać raz przybranego wyrazu twarzy ani układu rąk i sztywnych ramion.

Edna w trosce o rozrywki swego gościa zaprosiła mademoiselle Reisz, zapewniając ojca, że jej gra będzie dla niego prawdziwą ucztą duchową, lecz mademoiselle odrzuciła zaproszenie, wobec czego wybrali się oboje na *soirée musicale* u państwa Ratignolle. Monsieur i madame Ratignolle potraktowali go jako honorowego gościa i natychmiast zaprosili na obiad w nadchodzącą niedzielę albo w każdy inny dzień, który mu odpowiadał. Madame flirtowała z nim i używając naiwnych czarów swej kokieterii – spojrzeń, powabnych ruchów, zasypując go komplementami – tak mu zawróciła w głowie, którą dźwigał na swych wywatowanych ramionach, że stary pułkownik poczuł się o trzydzieści lat młodszy. Edna całym sercem podziwiała przyjaciółkę. Sama była niemal zupełnie wyzbyta wszelkiej kokieterii.

Przyglądała się dwu panom w czasie owego *soirée musicale*, lecz nigdy by jej do głowy nie przyszło przyciągnąć ich uwagę, demonstrując wdzięk kociątka, lub zdradzać własne zainteresowanie za pomocą różnych przewrotnych kobiecych sztuczek. Obaj działali na nią w jakiś przyjemny sposób. Wybrała ich sobie w myśli i rada była, gdy w przerwie podeszli, żeby z nią porozmawiać. Często złapane na ulicy spojrzenie czyichś obcych oczu pozostawało w jej pamięci, a nieraz budziło nieokreślony niepokój.

Pan Pontellier unikał owych *soirées musicales*. Uważał je za bardzo *bourgeois*<sup>34</sup>; o wiele więcej rozrywek dostarczał mu klub. Powiedział pani Ratignolle, że muzyka, jaką się u niej słyszy, jest za poważna, za trudna dla człowieka o wrażliwości tak słabo wykształconej jak jego. Wykręt ten ogromnie jej pochlebił. Lecz wcale nie pochwałała klubu pana Pontellier, co z całą szczerością wyznała Ednie.

– To wielka szkoda, że pan Pontellier tak rzadko bywa w domu. Myślę, że czułabyś się – wybaczone, że ci to mówię – bliżej z nim związana, gdyby spędzał wieczory z tobą.

– Nic podobnego – odparła Edna z obojętnym wyrazem oczu – a cóż bym ja z nim robiła w domu? Nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia.

---

34 *Bourgeois* (fr.) – mieszczańskie.

Niewiele też miała do powiedzenia swemu ojcu, jeśli już o to chodzi, lecz przynajmniej jej nie irytował. Budził zainteresowanie, jakkolwiek zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie nie na długo; po raz pierwszy też w życiu czuła się z nim jak z dobrym starym znajomym. Zajął się usługiwaniem ojcu i spełnianiem jego życzeń. Stanowiło to dla niej przyjemną rozrywkę. Nie pozwalała służącej ani dzieciom nic dla niego zrobić, jeśli mogła to zrobić sama. Spostrzegł to jej mąż i uznał za wyraz głębokiego przywiązania, którego nigdy nie byłby podejrzewał.

Pułkownik wypijał w ciągu dnia niezliczoną ilość ponczu, co zresztą nie miało na niego żadnego wpływu. Był wielkim znawcą w przyrządzaniu mocnych koktajli, sam nawet kilka wymyślił i nadał im fantastyczne nazwy; dla ich wykonania domagał się najróżniejszych ingrediencji, sprawiając nieraz Ednie niemały kłopot.

Gdy doktor Mandelet przyszedł na kolację we czwartek, nie mógł odkryć w pani Pontellier śladu owego chorobliwego stanu, o którym donosił mu jej mąż. Była ożywiona, a nawet poniekąd rozpromieniona. Wrócili oboje z ojcem z wyścigów i gdy zasiedli do stołu, myśli ich wciąż były zaprzątnięte wydarzeniami popołudnia. Doktor nie dotrzymywał kroku sprawom dziejącym się na torze wyścigowym. Pamiętał to i owo z dawnych dobrych dni, kiedy to stajnie Lecompte'a były w rozkwicie – jak mówił – i sięgał do tego zapasu wspomnień, by nie pozostać w tyle i nie wydać się człowiekiem, któremu obcy jest duch czasu. Lecz nie udało mu się zaimponować pułkownikowi nawet pozorną znajomością przeszłości. Edna na wyścigach poparła ojca, gdy postawił na swego faworyta w ostatniej gonitwie, z jak najbardziej zadowalającym wynikiem dla obojga. Poza tym spotkali tam kilka niezwykle czarujących osób, takie przynajmniej było wrażenie pułkownika; państwo Mortimerowie Merriman i państwo Jamesowie Highcamp wraz z panem Alcée Arobinem przyłączyli się do nich i swą obecnością do tego stopnia urozmaicili popołudnie, że pułkownik wspominał je z wielkim ożywieniem.

Pana Pontellier wyścigi konne zupełnie nie pociągały i skłonny był nawet potępić tę rozrywkę, zwłaszcza gdy pomyślał o łosie owej farmy w Kentucky i jej wspaniałych zielonych pastwiskach. Spróbował w jakiś ogólny sposób wyrazić swą dezaprobatę, lecz udało mu się jedynie wzbudzić gniew i protest teścia. Wywiązał się spór, w którym Edna zawzięcie broniła ojca; doktor zachował neutralność.

Baczenie przyglądał się pani domu spod krzaczastych brwi i spostrzegł subtelną zmianę, która z kobiety biernej, jaką znał, zrobiła stworzenie – przynajmniej owego wieczoru – kipiące życiem. Mówiła z przekonaniem, z żarem. W jej spojrzeniu i gestach nie było śladu zahamowań. Przypominała mu piękne, smukłe zwierzę, które zbudziło się ze snu i wstaje w promieniach słońca.

Kolacja była wyborna. Czerwone wino miało właściwą temperaturę, szampan był zimny; błogie działanie trunków rozproszyło obawy przykrych odkryć, na które doktor był przygotowany; znikły w oparach wina.

Pan Pontellier ożywił się i zaczął snuć wspomnienia. Opowiedział o kilku zabawnych przeżyciach na plantacji, o starym Iberville i własnej młodości, kiedy to polował na oposy w kompanii zaprzyjaźnionych Murzynów, strząsał z drzewa pekanowe orzechy, strzelał do ptactwa i wałęsał się po polach i lasach w psotnym rozpróżnieniu.



Pułkownik, który niewiele miał poczucia humoru, a jeszcze mniej wycucia chwili, opowiedział ponury epizod z ciemnych i gorzkich dni wojny, epizod, w którym odegrał wybitną rolę jako osoba będąca w centrum wydarzeń. Doktor również nie najfortunniej wybrał za temat wspomnień starą, choć zawsze świeżą i ciekawą historię sprzed lat o pewnej kobiecie, która słabnąc w swej miłości do męża, szukała spełnienia na krętych, bocznych ścieżkach, by po okresie okrutnych rozterek powrócić w końcu na drogę legalnego uczucia. Był to jeden z tych niezliczonych ludzkich dramatów, które poznał w ciągu swej długiej lekarskiej kariery. Opowieść ta nie wywarła większego wrażenia na Ednie, Miała własną wizję dziejów miłości i opowiedziała o kobiecie, która pewnej nocy popłynęła pirogą z kochankiem i nigdy już nie powróciła. Zagubili się gdzieś wśród Wysp Baratariańskich i nikt o nich więcej nic słyszał; nie natrafiono na ich ślad do dziś. Była to historia całkowicie zmyślona. Powiedziała zebranym, że słyszała ją od madame Antoine. To również było kłamstwem. Może jej się ta opowieść przyśniła. Lecz słuchaczom każde jej słowo wydało się szczerą prawdą. Czuli gorący wiew południowej nocy, słyszeli długie uderzenia wiosł na wodzie lśniącej poświatą księżyca, spłoszone bicie ptasich skrzydeł wśród trzciny porastających słone kałuże, widzieli blade twarze kochanków przytulonych do siebie, niepomnych na nic, gdy płynęli w nieznanie.

Szampan był zimny i w jego subtelnym oparach pamięć Edny błędziła owego wieczoru na manowcach.

Za oknem, z dala od żaru ognia i łagodnego światła lampy, panowała zimna i posępna noc. Doktor skrzyżował na piersi poły swego staromodnego płaszcza, spiesząc do domu wśród ciemności. Znał swych bliźnich lepiej niż większość ludzi, wiedział, co to jest życie wewnętrzne, tak rzadko ujawniające się niepowołanym oczom. Żałował, że przyjął zaproszenie Pontelliera. Starzał się i zaczynał odczuwać potrzebę odpoczynku i spokoju ducha. Nie chciał, żeby mu inni narzucali sekrety swego życia.

- Mam nadzieję, że to nie Arobin – mruknął pod nosem.
- Mam w Bogu nadzieję, że nie jest to Alcée Arobin.

Edna nie chciała jechać na ślub siostry, z tego powodu miała gorącą, niemal gwałtowną sprzeczkę z ojcem. Pan Pontellier odmówił pośredniczenia w tym sporze, jak również wpłynięcia swym autorytetem na żonę. Zgodnie z radą doktora Mandelela pozwalał Ednie robić wszystko, co chciała. Pułkownik wyrzucał córce brak uprzejmości i szacunku dla ojca, brak przywiązania do siostry i brak kobiecej solidarności. Argumenty jego były nieprzekonywające Wątpię – mówił – żeby Janet przyjęła jakiegokolwiek wytłumaczenia, zapominając, że Edna o żadnych nawet nie wspomniała. Wątpił, żeby Janet kiedykolwiek odezwała się do siostry, a Margaret z pewnością postąpi tak samo.

Wyjazd ojca ucieszył Ednę Odetchnęłą, gdy w końcu zabrał się ze wszystkim – ze swym weselnym garniturem i prezentami dla narzeczonej, wy watowaną na ramionach kurtką, z Biblią, którą czytał bezustannie, ze swymi „ponczami” i gromkimi przysięgami. Tuż po nim wyjechał pan Pontellier. Zamierzał w drodze do Nowego Jorku wpaść na ślub i wszelkimi możliwymi sposobami – uczuciem i pieniędzmi – okupić niepojęty postępек Edny.

– O wiele za dużo uległości, o wiele za dużo, Léonce – twierdził pułkownik. – Autorytet, dyscyplina – tego tu trzeba. Tupnij mocno nogą; jedyny sposób panowania nad żoną. Daję ci na to słowo honoru.

Pułkownik zapewne nie zdawał sobie sprawy, że metodą musztry wpędził własną żonę do grobu. Pan Pontellier niejasno to podejrzewał, sądził jednak, że wszelkie przypomnienia byłyby tu niecelowe po tak długim upływie czasu.

Myśl o podróży męża nie budziła w Ednie aż tak świadomego zadowolenia jak wyjazd ojca. W miarę jak zbliżał się dzień odjazdu pana Pontellier, rosły w niej czułość dla niego i oddanie pobudzone wspomnieniem tylu dowodów jego wyrozumiałości i tak często powtarzanych zapewnień gorącego przywiązania. Troszczyła się o zdrowie i interesy męża, krzątała po domu, myślała o jego ubraniu, o cieplej bieliźnie, zupełnie tak samo jak w podobnych okolicznościach czyniłaby to madame Ratignolle. Płakała, gdy odjeżdżał, nazywając go swoim najdroższym, najlepszym przyjacielem, i była najzupełniej pewna, że samotność szybko jej dokuczy i że podąży za mężem do Nowego Jorku.

Wbrew temu odczuła błogi spokój, gdy w końcu została sama. Nawet dzieci wyjechały. Starsza pani Pontellier osobiście przybyła, by zabrać je do Iberville razem z niańką. Starszej pani brakowało śmiałości wyznać, iż obawia się, że pod nieobecność Léonce'a dzieci mogą być zaniedbywane przez matkę; ledwie dopuszczała taką myśl. Była spragniona wnuków i nawet trochę zaborcza w swym uczuciu. Nie chciała, by wyrosły na „dzieci ulicy” – argument zawsze dodawany do prośby o powierzenie wnucząt na czas jakiś jej opiece. Pragnęła, by poznały życie wsi z jej strumykiem, polami, lasami i swobodą, dającą młodzieży tyle radości, by zakosztowały coś z tego, czym żył ich ojciec, co znał i kochał, gdy był małym dzieckiem.

Edna została wreszcie sama i odetchnęła westchnieniem szczerzej, głębokiej ulgi. Ogarnęło ją dziwne, lecz wspaniałe uczucie. Przeszła się po całym domu, z pokoju do pokoju, jak ktoś odwiedzający to wnętrze po raz pierwszy w życiu. Siadała na krzesłach i leżankach, jakby nigdy tego nie robiła. Potem wyszła do ogrodu i obchodząc dom, sprawdziła, czy wszystkie okna i okiennice dobrze się zamykają, czy zamki są w porządku. Kwiaty w ogrodzie wydawały się jej zupełnie nieznanymi, lecz podchodziła do nich z dawną swobodą, czuła się tu jak w domu. Ogrodowe ścieżki tonęły w kałużach; Edna kazała pokojówce przynieść sandały na gumie i zajęła się okopywaniem i przycinaniem krzewów, zbieraniem opadłych zeschniętych liści. Przyłączył się do niej ukochany piesek dzieci, przeszkadzał i plątał się pod nogami. Łajała go, śmiała się i bawiła z psem. Jak pięknie pachniał ogród, jak pięknie wyglądał w popołudniowym słońcu! Edna zerwała wszystko, co jeszcze kwitło, z naręczem kwiatów i w towarzystwie psa weszła do domu.

Nawet kuchnia objawiła nagle nieznaną dotąd Ednie, interesujący charakter. Weszła tam, by polecić kucharce, aby zamawiała u rzeźnika teraz o wiele mniej mięsa, wystarczy także tylko połowa zwykłej ilości chleba, mleka i jarzyn. Powiedziała, że będzie bardzo zajęta w czasie nieobecności pana Pontellier i prosiła kucharkę o przejęcie całkowitej troski i odpowiedzialności za spiżarnię.

Wieczorem zjadła samotną kolację. Kilka zaledwie świec w świeczniku na środku stołu dawało wystarczającą ilość światła. Poza jego kręgiem wielka jadalnia pogrążona była w uroczystym mroku. Kucharka uniesiona ambicją podała wyborny posiłek – soczystą polędwicę upieczoną *à point*<sup>35</sup>. Wino miało dobry smak; na deser – *marrons glacés*<sup>36</sup>, dokładnie to, na co właśnie Edna miała ochotę. Przyjemnie też było jeść w wygodnym peniuarze.

Wspominała z pewnym rozrzewnieniem Léonce'a i dzieci i zastanawiała się, co robią o tej porze. Rzucając smakowite kąski psu, rozmawiała z nim poufale o Etienne i o Raoulu. Pies nie posiadał się ze zdumienia i radości i kwitował towarzyski awans urywanym poszczekiwaniami i merdaniem ogonka.

Po kolacji Edna siedziała w bibliotece, czytając Emersona, póki nie ogarnęła ją senność. Zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia zaniedbywała czytanie książek; mając teraz czas wyłącznie dla siebie i mogąc robić, co zechce, postanowiła zająć się systematycznym uzupełnianiem swego wykształcenia.

---

35 *A point* (fr.) – w sam raz.

36 *Marrons glacés* (fr.) – kasztany w lukrze.

Położyła się do łóżka po orzeźwiającej kąpieli, a gdy otuliła się przytulną pierzynką. całe jej ciało przeniknęło kojące uczucie spokoju, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.



W ciemne, pochmurne dni Edna nie mogła nic robić. Potrzebowała słońca, by mógł w niej dojrzeć nastrój do pracy i zdolność do czynu. Znajdowała się w takim stanie ducha, że będąc bez humoru, traciła spokój i pewność siebie. Pozbawiona ambicji, nie zakładająca sobie żadnych szczytnych celów, czerpała satysfakcję z pracy jako takiej.

W melancholijne deszczowe dni Edna szukała towarzystwa przyjaciół z Grand Isle. Jeśli nie wychodziła z domu, to pogrążała się w nastroju zbyt dobrze jej znanym, by mógł zapewnić dobry humor i równowagę ducha. Nie była to rozpacz; po prostu dojmujące uczucie przemijania, świadomość, że życie ucieka, nie dotrzymując i nie spełniając swych obietnic. Bywały też dni, gdy dawała się zwodzić i oszukiwać świeżym obietnicom, których jej własna młodość nie szczędziła.

Jeździła często na wyścigi. Pewnego popołudnia zajechał po nią swym czterokonnym koczem Alcée Arobin wraz z panią Highcamp – kobietą inteligentną i światową, a przy tym pełną naturalności. Była to wysoka, szczupła blondynka lat około czterdziestu, o dość niedbałym sposobie bycia i niebieskich, lekko wytrzeszczonych oczach. Dorastająca córka służyła jej za pretekst do podtrzymywania kontaktów z gronem młodych, wytwornych mężczyzn. Jednym z nich był Alcée Arobin – bywalec torów wyścigowych, opery i modnych klubów. Miał wiecznie roześmiane oczy; kto spojrzał w te oczy i usłyszał pogodny głos Arobina, zawsze odpowiadał podobnie wesołym spojrzeniem. Alcée Arobin był opanowany, niekiedy odrobinę bezczelny, miał zgrabną sylwetkę i twarz, która mogła się podobać, a której wyrazu nie mąciła żadna głębsza myśl czy uczucie; ubierał się z szykiem, według ostatnich nakazów mody. Od chwili gdy spotkał Ednę z ojcem na wyścigach, adorował ją w sposób demonstracyjny. Widział ją wcześniej już przy kilku okazjach i robiła na nim wrażenie – aż do owego dnia – kobiety nieprzystępnej. To za jego podszeptem pani Highcamp odwiedziła Ednę i zaprosiła ją do Jockey Clubu, gdzie w sezonie wyścigów przyglądano się najciekawszym wydarzeniom na zielonym torze.

Z pewnością było tam kilku panów, którzy znali się na wyścigach konnych równie dobrze jak Edna, ale nikogo, kto by się na tym znał lepiej. Siedząc pomiędzy panią Highcamp i panem Arobinem, była dla nich wyrocznią. Śmiała się z pozującego na znawcę Arobina i ubolewała nad ignorancją pani Highcamp. Koń wyścigowy był najbliższym przyjacielem i towarzyszem jej dzieciństwa. Zapach stajni, nastrój padoku porośniętego rajgrasem odżyły w jej pamięci, podrażniły zmysły. Nie zdawała sobie sprawy, że robi uwagi zupełnie takie same jak jej ojciec, gdy przed lożami przeprowadzano rasowe konie. Bardzo wysoko obstawiała konie i los jej sprzyjał. Gorączka hazardu rozogniła jej twarz i oczy, niczym trucizna sączyła się do krwi i mózgu. Ludzie odwracali głowy, by przyjrzeć się Ednie, a niejeden czujnie nastawił ucha, by dosłyszeć jej opinię w nadziei, że zapewni sobie ułudną, a tak upragnioną „główną wygraną”. Podniecenie Edny udzielało się Arobinowi – przyciągało go do tej kobiety jak magnes. Pani Highcamp siedziała jak zwykle nieporuszona, unosząc obojętnie brwi.

Edna uległa namowom i pozostała na kolacji u pani Highcamp; Arobin pozostał również i odesłał swój powóz.

Kolacja przeszła spokojnie i nieciekawie, jeśli nie brać pod uwagę wysiłków zawsze pogodnego Arobina, który próbował ożywić atmosferę. Pani Highcamp ubolewała nad nieobecnością córki na wyścigach i próbowała jej dowieść, jak wiele straciła, przedkładając ponad wyścigi wykład o Dantem. Dziewczyna wachała liść geranium i milczała z miną dość pewną siebie. Pan Highcamp – brzydki, łysy pan, również milczał, odzywał się jedynie wtedy, gdy był do tego zmuszony. Pani Highcamp pełna była uprzejmości i subtelnych względów dla męża. Większość swoich uwag przy stole adresowała do niego. Po kolacji siedzieli we trójkę w bibliotece i pod spuszczoną nisko lampą czytali popołudniową prasę; młodzi gawędzili w przyległym salonie. Panna Highcamp odegrała kilka utworów Griega na pianinie. Zdawała się pojmować cały chłód tego kompozytora i nic z jego poezji. Edna słuchała tej gry ze zdumieniem: czy to możliwe, żeby przestała lubić muzykę?

Gdy przyszła pora powrotu do domu, pan Highcamp bez zapału zgłosił gotowość eskortowania Edny, zerkając niezbyt taktownie na swe domowe pantofle. Odprowadził ją Arobin.

Jechali długo i gdy znaleźli się na ulicy Esplanade przed domem Edny. było późno. Arobin poprosił, by pozwoliła mu wejść na chwilę i zapalić papierosa – nie miał przy sobie zapalek. Napełnił pudełko zapalnikami, lecz papierosa zapalił dopiero po wyjściu, a wyszedł nie wcześniej, aż wyraziła zgodę, że pojedzie z nim na wyścigi jeszcze raz.

Edna nie była ani zmęczona, ani śpiąca. Poczowała głód – obiad u Highcampów, choć wyborny, był dość skąpy. Przetrzęsąwszy spiżarnię znalazła kawałek *gruyère* i kilka krakersów, a w skrzynce z lodem butelkę piwa, którą otworzyła. Czuła się dziwnie niespokojna i podniecona. Bezmyślnie nucąc jakąś bliżej nieokreśloną melodię, żuła ser i trącała pogrzebaczem zwęglone główne na kominku.

Chciała, żeby coś się stało – cokolwiek, nie wiedziała co. Żałowała, że nie zatrzymała Arobina jeszcze na pół godziny, aby pogadać o koniach. Przeliczyła wygrane pieniądze. Nic innego nie miała już do roboty; położyła się do łóżka i długo przewracała się z boku na bok dręczona uporczywym niepokojem.

W środku nocy przypomniała sobie, że nie napisała codziennego listu do męża; postanowiła nazajutrz opowiedzieć mu o popołudniu spędzonym w Jockey Clubie i leżąc z otwartymi oczami, układała w myśli list, zupełnie niepodobny do tego, który wysłała następnego dnia. Pokojówka zbudziła ją rano w momencie, gdy Ednie śniło się, że pan Highcamp grał na pianinie u wejścia do sklepu muzycznego na Canal Street, podczas gdy jego żona wsiadając z Alcée Arobinem do tramwaju, mówiła: „Jaka szkoda, że taki talent się marnuje! Ale muszę już iść”.

Gdy w kilka dni później Alcée Arobin zajechał po Ednę swym powozem, nie było w nim pani Highcamp. Powiedział, że zabiorą ją po drodze. Lecz skoro nie uprzedził tej pani o swym zamiarze, nic dziwnego, że nie zastali jej w domu. Pani Highcamp wychodziła właśnie na zebranie Towarzystwa Folklorystycznego i wyraziła żal, że nie może im towarzyszyć. Arobin robił wrażenie zakłopotanego i spytał Ednę, czy miałaby ochotę zaprosić kogoś ze swych przyjaciół.

Odszukanie kogokolwiek z wytwornego towarzystwa, od którego sama się odsunęła, nie wydało się Ednie warte trudu. Pomyślała o madame Ratignolle, wiedząc jednocześnie, że ta wychodzi jedynie na powolną przechadzkę dookoła domu w towarzystwie męża i po zapadnięciu ciemności. Panna Reisz głośnym śmiechem skwitowałaby zaproszenie. Madame Lebrun mogłaby się ucieszyć perspektywą rozrywki, lecz właśnie tej osoby Edna z jakiegoś powodu nie chciała. Pojechali więc we dwoje, ona i Arobin.

Popołudnie okazało się w najwyższym stopniu interesujące. Ednę znów ogarnęło podniecenie, niby nawrót gorączki. Oswoiła się ze swym towarzyszem, rozmawiała z nim jak ze starym, dobrym znajomym. Nietrudne to było w wypadku Arobina, którego sposób bycia zachęcał do poufałości. Gdy w grę wchodziła ładna i ponętna kobieta, Arobin próbował zwykle pominąć wstępny okres znajomości.

Pozostał u Edny na kolacji. Po kolacji został, żeby posiedzieć z nią przy kominku. Śmiali się i rozmawiali; zanim nadeszła pora pożegnania, oświadczył, że jego życie byłoby zupełnie inne, gdyby poznał był Ednę kilka lat wcześniej. Z absolutnie naturalną otwartością opowiedział, że był bardzo złym, nieposłusznym chłopcem i odruchowo podsunął mankiety, aby jej pokazać bliznę od cięcia szablą w pojedynku pod Paryżem, kiedy miał dziewiętnaście lat. Dotknęła jego ręki i wyczuła pod palcami czerwoną bliznę rysującą się na przegubie. Pod wpływem jakiegoś nagłego niepohamowanego skurczu palce jej zacisnęły się mocno jak kajdany. Poczuł, że ostre paznokcie wpiły się w jego ciało.

Wstała szybko i podeszła do kominka.

– Widok rany czy blizny zawsze mną wstrząsa i napełnia odrazą – powiedziała. – Nie powinnam była na to patrzeć.

– Proszę mi wybaczyć – podniósł się z miejsca. – Nie przyszło mi do głowy, że widok ten może być odrażający.

Stał blisko niej i zuchwałość jego spojrzenia, odpychająca dla jej dawnego „ja”, które jeszcze nie znikło, jednocześnie pociągała budzącą się w niej zmysłowość. Odczytał na twarzy Edny dostatecznie wiele, by ująć jej dłoń i nie puszczając jej, zwlekać z pożegnaniem.

– Czy wybierze się pani znów na wyścigi? – spytał.

– Nie – odparła. – Mam dość wyścigów. Nie chcę stracić wszystkich pieniędzy, które wygrałam, a poza tym muszę pracować, kiedy jest ładna pogoda, zamiast...



– Tak, pracować, oczywiście. Obiecała mi pani pokazać swoje dzieła. Kiedy mam przyjść do atelier? Jutro rano?

– Nie.

– Pojutrze?

– Nie, nie.

– Och, proszę mi nie odmawiać! Znam się trochę na tych rzeczach. Mógłbym pomóc jakimś pomysłem albo radą.

– Nie. Dobranoc. Dlaczego pan nie odchodzi? Już pan powiedział dobranoc. Nie lubię pana – ciągnęła uniesionym, podnieconym głosem, usiłując wyrwać rękę z jego uścisku. Czują, że słowom jej brak godności i szczerości, i wiedziała, że on też to czuje.

– Przykro mi, że mnie pani nie lubi. Proszę wybaczyć, jeśli czymkolwiek panią obraziłem. Ale doprawdy nie wiem czym? Co złego zrobiłem? Czy może mi pani wybaczyć? – Pochylił się i przylgnął do jej dłoni wargami tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał ich oderwać.

– Panie Arobin – tłumaczyła się żałośnie – popołudnie tak pełne napięcia ogromnie mnie zmęczyło. Nie jestem w pełni sobą. Moje zachowanie musiało wprowadzić pana w błąd. Chcę, żeby pan mnie zostawił. – Powiedziała to głosem bezbarwnym, pozbawionym wyrazu. Wziął ze stołu kapelusz i przeniósł wzrok na dogasające płomienie ognia na kominku. Przez chwilę milczał wymownie.

– Pani zachowanie wcale nie wprowadziło mnie w błąd, droga pani – rzekł wreszcie. – To sprawa moich własnych uczuć. Nic na to nie poradzę. Kiedy jestem blisko pani, nie mogę nad nimi zapanować. Ale proszę sobie tym nic zaprzętać głowy, błagam, doprawdy nie ma czym. Widzi pani – odchodzę, gdy tylko pani rozkaże. Jeśli żąda pani, żebym nie wracał, nie wrócę. Jeśli pozwoli mi pani przyjść – och... pozwoli pani, prawda?

Posłał jej błagalne spojrzenie, na które nie odpowiedziała. Alcée Arobin potrafił być tak szczery, że nawet jego samego ta szczerość często zwodziła.

Edna ani zastanawiała się nad jego szczerością, ani o nią dbała. Gdy została sama, spojrzała odruchowo na wierzch dłoni, którą tak gorąco całował. Potem oparła czoło o gzyms kominka. Czuła się w jakiś sposób jak kobieta, która w porywie namiętności nakłoniona do zdrady zdaje sobie sprawę ze znaczenia swego postępuku, jakkolwiek nie otrząsnęła się jeszcze z uroku chwili. Przez głowę przemknęło jej pytanie: co on pomyśli?

Nie o męża jej chodziło: myślała o Robercie Lebrun. Mąż wydał się jej teraz człowiekiem, którego poślubiła, nawet nie udając miłości.

Zapaliła świecę i poszła do swego pokoju. Alcée Arobin był dla niej niczym. A jednak jego obecność, sposób bycia, gorące spojrzenia i – ponad wszystko – dotknięcie tych warg na jej ręce podziałało na nią jak narkotyk.

Spała snem ciężkim, pełnym męczących, urywanych wizji.

Alcée Arobin napisał do Edny, przepaszając ją w niezwykle wyszukanej formie; z listu jego biła szczerść. Edna poczuła się zażenowana; w chwili opanowania i spokoju wydało jej się rzeczą absurdalną, że traktowała jego postępowanie tak poważnie, z takim przejęciem.

Była najzupełniej przekonana, że drobny incydent nabral znaczenia tylko wskutek jej własnej nieśmiałości. Jeśli zignoruje liścik Arobina, nada błahej sprawie przesadne znaczenie. Jeśli odpowie w tonie poważnym, pozostawi w umyśle Arobina przekonanie, że w pewnym momencie zdołał nad nią zapanować. Ostatecznie – niewielka to rzecz, gdy mężczyzna pocałuje kobietę w rękę. Podziały na nią jego przeprosiny. Odpisała mu tonem tak lekkim i żartobliwym, na jaki – jej zdaniem – rzecz zasługiwała, dodając, że chętnie go ujrzy w swym atelier, kiedy tylko będzie miał ochotę zobaczyć ją przy pracy, a sprawy jego na to mu pozwolą.

W odpowiedzi zjawił się u niej natychmiast z całą swoją rozbijającą naiwnością. A potem nie było prawie dnia, by go nie widziała lub nie przypomniał o swym istnieniu. Pretekstów nigdy mu nie brakowało. Przybrał postawę pogodnej usłużności i niemego uwielbienia. Gotów był o każdej porze poddać się jej nastrojom, które równie często były łaskawe co chłodne. Przywykła do niego. Ich przyjaźń i zażyłość rosła najpierw niepostrzeżenie, później wielkimi skokami. Potrafił mówić niekiedy w sposób, który zrazu zdumiewał ją i napędzał rumieniec do twarzy i który w końcu polubiła – przemawiał do zwierzęcych porywów jej natury.

Nic tak nie koło wzburzonych zmysłów Edny jak wizyta u mademoiselle Reisz. Dopiero tam – u osoby tak przecież odpychającej – dzięki działaniu boskiej sztuki Edna czuła, jak muzyka wyzwala jej spętaną duszę.

Było mgliste, wilgotne popołudnie, gdy Edna w ubraniu nasiąkniętym wilgocią wspinała się po schodach do mieszkania pianistki na poddaszu. Drżąc z zimna, weszła do pokoju. Mademoiselle krzątała się przy zardzewiałym piecyku, który dymił i dawał mało ciepła. Próbowwała podgrzać na piecu czekoladę w garnuszku. Pokój wydał się Ednie przygnębiający i brudny, gipsowy Beethoven w czapce z kurzu ponuro spojrział na nią sponad kominka.

– Otóż i jest nasze słońeczko! – wykrzyknęła mademoiselle, unosząc się z kolan. – Teraz będzie znów ciepło i jasno; mogę nie dbać o ten ogień.

Zamknęła z trzaskiem drzwiczki piecyka, podeszła do Edny i pomogła jej zdjąć ociekający deszczem makintosh.

– Zziębnięta, mizerna i nieszczęśliwa! Zaraz będzie gorąca czekolada. A może woli pani trochę brandy? Prawie nie tknęłam tej butelki, co mi ją pani przyniosła na przeziębienie. – Mademoiselle miała gardło owinięte kawałkiem czerwonej flaneli; zeszywniały kark zmuszał ją do przekrzywiania głowy na bok.

– Napiję się trochę brandy – powiedziała Edna; drżała, zdejmując rękawiczki i kalosze. Wypiła trunek ze szklanki jak mężczyzna. Potem rzuciła się na niewygodną sofkę. – Wie pani co? – powiedziała. – Postanowiłam wynieść się z mego domu na Esplanadzie.

– No, no! – Pianistka nie wydawała się ani zaskoczona, ani nawet żywiej zainteresowana. Nigdy się niczemu nie dziwiła. Zajęta była swymi sztucznymi fiołkami, które oderwały się od spinki we włosach. Edna przyciągnęła staruszkę na sofę i szpilką wyjętą z własnego koka umocowała we włosach panny Reisz zniszczony pęczek sztucznych kwiatów.

– Nie dziwi panią mój pomysł?

– W miarę. Dokąd się pani wybiera? Do Nowego Jorku? Do Iberville? Do ojca w Missisipi? Dokąd?

– Tylko o dwa kroki dalej – roześmiała się Edna. – Na sąsiednią ulicę. Do małego domku, który ma cztery pokoje i wygląda tak przytulnie, tak ponętnie, ile razy spojrzę, przechodząc; i jest do wynajęcia. Męczy mnie prowadzenie naszego dużego domu, zresztą – nigdy mi się nie wydawał własnym domem. Brak mu domowej atmosfery. I tyle kłopotów! Tyle służby! Jestem tym wszystkim zmęczona.

– A jednak wcale nie o to chodzi, *ma belle*. Po co kłamać? Nie wiem, jaki jest prawdziwy powód, wiem tylko, że nie mówi pani prawdy. – Edna nie próbowała przeczyć ani się usprawiedliwiać.

– Dom i pieniądze, które idą na ten dom, nie należą do mnie. Czy to nie wystarczy?

– Należą do pani męża – odparła mademoiselle z przekąsem i wzruszyła ramionami.

– Och, widzę, że nie da się pani oszukać. A więc powiem wszystko: to kaprys. Mam trochę własnych pieniędzy, odziedziczonych po matce, które ojciec splaca mi drobnymi kwotami. Dużo wygrałam tej zimy na wyścigach, poza tym zaczynam sprzedawać moje szkice. Laidpore chwali je coraz bardziej, mówi, że nabierają wyrazu i indywidualności. Nie mogę tego sama osądzić, lecz czuję, że przybyło mi spokoju i zaufania we własne siły. W każdym razie – jak już powiedziałam – dużo sprzedaję, przez Laidpore’a. Z jedną służącą mogę żyć w tym małym domku prawie za darmo. Stara Celestyna, która mi czasem pomaga, powiedziała, że może u mnie zamieszkać i prowadzić gospodarstwo. Wiem, że mi się to spodoba, tak samo jak uczucie wolności i niezależności.

– A co na to mówi pani mąż?

– Jeszcze o niczym nie wie. Wymyśliłam to wszystko dziś rano. Och, niewątpliwie będzie uważał, że jestem pomyłona. Pani też tak myśli.

Mademoiselle powoli potrząsnęła głową.

– Pani powody nadal są dla mnie niejasne – powiedziała.



Nie były one również jasne dla samej Edny; lecz wyjaśniły się, gdy posiedziała chwilę w skupieniu. To instynkt popchnął ją do odrzucenia mężowskiej zamożności, gdy postanowiła zrzucić z siebie jarzmo małżeńskiej uległości. Nie miała pojęcia, co będzie, gdy Léonce powróci. Powinno nastąpić jakieś porozumienie, wyjaśnienie. Wszystko się jakoś ułoży – czuła to; lecz cokolwiek będzie, postanowiła już nigdy do nikogo nie należeć, jedynie do samej siebie.

– Zanim opuszczę mój stary dom – oznajmiła – wydam wielki obiad. Musi pani przyjść. Podam to wszystko, co pani lubi. Będziemy śpiewać i śmiać się, nareszcie się zabawimy. – I odetchnęła pełną piersią.

Jeśli zdarzyło się, że nadszedł nowy list od Roberta, mademoiselle wręczała jej list bez słowa. Sama zaś siadała do fortepianu i grała, co jej serce dyktowało, podczas gdy młoda kobieta czytała list.

Ogień szumiał w piecyku rozgrzanym do czerwoności, w garnuszku z sykiem wrzała czekolada. Edna wstała, podeszła do pieca i otworzyła drzwiczki. Mademoiselle uniosła się na swym okrągłym stołku przy fortepianie, wyciągnęła spod popiersia Beethovena list i wręczyła go Ednie.

– Jeszcze jeden! Tak prędko! – W oczach Edny zabłysło szczęście. – Proszę mi powiedzieć, czy on wie, że czytam jego listy?

– Nigdy w świecie! Gdyby coś takiego podejrzewał, rozszłościłby się i więcej już nie napisał. Czy pisze do pani? Ani jednego słowa. Czy przysłał jakąś wiadomość? Nigdy. A dlaczego? Ponieważ cię kocha, biedny dureń, i usiłuje zapomnieć, skoro nie jest pani wolna i nie może go wysłuchać ani do niego należeć.

– Czemuż zatem pokazuje mi pani jego listy?

– A kto mnie o to błaga? Czy mogę pani czegokolwiek odmówić? O, nie oszukasz mnie, moja pani! – Mademoiselle podeszła do swego ukochanego instrumentu i zaczęła grać. Edna zwlekała z czytaniem. Siedziała, trzymając list w ręce, podczas gdy muzyka przenikała całą jej istotę jakby blaskiem ogrzewającym i rozjaśniającym ciemne kąty duszy. By w końcu przynieść radość i uniesienie.

– Och! – krzyknęła. List zsunął się na podłogę. – Czemu mi pani nie powiedziała? – Podeszła, oderwała dłonie mademoiselle od klawiszy i zamknęła je w mocnym uścisku. – Och, niedobra! Niegodziwa! Dlaczego mi pani nic nie powiedziała?

– Że wraca? Cóż w tym takiego, *ma foi!* Dziwię się, że dawno już nie wrócił.

– Ale kiedy, kiedy?! – krzyknęła Edna niecierpliwie. – Nie pisze kiedy.

– Pisze, że niebawem. Wie pani tyle, co i ja; wszystko to jest napisane w liście.

– Ale dlaczego? Dlaczego wraca? Och, gdybym wiedziała... – Podniosła z podłogi list i przewracając kartki, szukała wyjaśnienia, którego tam nie było.

– Gdybym była młoda i zakochana – rzekła mademoiselle obróciwszy się wraz ze stołkiem w stronę Edny – to mój ukochany – i wsunęła swe żyłaste dłonie między kolana, patrząc z góry na Ednę, która siedziała przed nią na podłodze – to mój ukochany musiałby posiadać *grand esprit*<sup>37</sup>, wzniosłe cele i możliwości ich osiągnięcia; musiałby to być ktoś górujący nad innymi i zwracający na siebie uwagę. Gdybym była młoda i zakochana, to uważałabym, że człowiek pospolitego kalibru niegodny jest mego uwielbienia.

– Tym razem to pani kłamie i usiłuje mnie zwodzić; chyba że nigdy nie była pani zakochana i nic pani o tym nie wie. Czy naprawdę – ciągnęła Edna. unosząc się na kolana i zaglądając w szpetną twarz mademoiselle – sądzi pani, że kobieta wie, dlaczego kocha? Czy wybiera? Czy mówi sobie: „Teraz! Oto wybitny mąż stanu, może nawet zostać prezydentem; spróbuję się w nim zakochać”. Albo: „Ulokuję moje uczucia w tym muzyku, jego imię jest na ustach wszystkich”. Albo: „Może ten bankier? Kontroluje rynki całego świata!”

---

<sup>37</sup> *Grand esprit* (fr.) – wielki umysł.

– Rozmyślnie udajesz, że mnie nie rozumiesz, *ma reine*<sup>38</sup>. Czy ty kochasz Roberta?

– Tak – odparła Edna. Po raz pierwszy to wyznała i cała spłonęła, twarz jej pokryły czerwone cętki.

– Dlaczego? – spytała jej towarzyszka. – Dlaczego go kochasz. skoro nie powinnaś?

Edna przysunęła się bliżej na kolanach i mademoiselle ujęła jej rozpaloną twarz obiema rękami.

– Dlaczego? A z tego powodu, że jego włosy są brązowe i czoło wysokie, że otwiera i zamyka oczy i nos ma z garbkiem; że ma takie usta, jakie ma, i szeroką brodę i nie może wyprostować piątego palca, bo kiedy był chłopcem, za mocno uderzył piłkę, grając w baseball. Dlatego że...

– Dlatego że – krótko mówiąc – kochasz go i koniec! – zaśmiała się mademoiselle. – Co zrobisz, kiedy wróci? – spytała.

– Co zrobię? Nic. Będę zadowolona i szczęśliwa, że żyję.

Już teraz na samą myśl o jego powrocie była zadowolona i szczęśliwa, że żyje. Chmurne, niskie niebo, które przed kilku godzinami tak ją przygnębiało, zdawało się dodawać jej sił i wigoru, gdy wracała do domu, rozpryskując kałuże.

---

<sup>38</sup> *Ma reine* (fr.) – moja królowo.

Wstąpiła do cukiernika i kazała wysłać dzieciom do Iberville ogromne pudło cukierków. Wsunęła do pudła kartkę, na której skreśliła kilka czułych słów, załączając mnóstwo pocałunków.

Wieczorem przed kolacją Edna napisała przemiły list do męża; zwierzyła mu zamiar wynajęcia na jakiś czas domku na sąsiedniej ulicy i wydania dużego przyjęcia przed przeprowadzką; ubolewała ogromnie, że mąż nie weźmie udziału w przyjęciu, że jej nie pomoże przy układaniu menu i bawieniu gości. Był to list błyskotliwie napisany i pełen pogody.

– Co się z panią dzieje? – spytał Arobin owego wieczoru. – Nigdy jeszcze nie widziałem pani tak szczęśliwej. – Edna, znużona, odpoczywała, wyciągnąwszy się na sofie przed kominkiem.

– A nie słyszał pan przepowiedni pogody? Już wkrótce ujrzymy słońce.

– Tak, istotnie powinienem uznać to za wystarczający powód – zgodził się. – Innego mi pani nie zdradzi, nawet gdybym tu siedział i błagał o to przez całą noc. – Mówiąc te słowa, przysiadł obok niej na niskim taborecie i musnął palcami pasmo włosów, które opadło na czoło Edny. Dotyk jego palców sprawił jej przyjemność, przymknęła tkliwie powieki.

– Któregoś dnia – oświadczyła – zmuszę się do chwili skupienia i spróbuję określić, jakiego rodzaju jestem kobietą; szczerze mówiąc – sama nie wiem. Według wszystkich znanych mi kodeksów jestem piekielnie zepsutą przedstawicielką mojej płci. Ale nie całkiem w to wierzę. Muszę się nad tym głębiej zastanowić.

– Proszę tego nie robić. Po co ma pani myśleć, gdy ja tu jestem i potrafię określić, jaki rodzaj kobiety pani reprezentuje. – Palce jego mimowiednie przesunęły się po jej ciepłych, gładkich policzkach, jakby od niechcenia pogładziły brodę o energicznym zarysie i zaokrąglony podbródek.

– O tak! Powie mi pan, że jestem czarująca; powie mi pan wszystko, co może mnie podbić. Proszę sobie zaoszczędzić trudu.

– Nie, nic podobnego nie powiem. Jakkolwiek wcale nie skłamałbym, gdybym powiedział.

– Czy zna pan mademoiselle Reisz? – spytała nagle bez żadnego związku.

– Tę pianistkę? Znam ją z widzenia. Słyszałem jej grę.

– Czasem w formie żartu mówi dziwne rzeczy, na które nie zwracam uwagi, dopiero później stwierdzam, że warto się zastanowić nad jej słowami.

– Na przykład?

– No więc na przykład dzisiaj objęła mnie na pożegnanie i poklepała po plecach, mówiąc, że chce sprawdzić, czy mam mocne skrzydła. „Ptak, który pragnie wzbić się ponad niziny tradycji i przesądów, musi mieć mocne skrzydła. Żaloszny to widok, gdy okaleczone i wyczerpane piskłę wraca na ziemię”.

– A gdzie zamierza pani szybować?

– Nie myślę o wielkich wzlotach. Tylko częściowo pojęłam słowa mademoiselle Reisz.

– Słyszałem, że to osoba na wpół pomyłona – rzekł Arobin.

– Mnie osobiście wydaje się cudownie zdrowa na umyśle – odparła Edna.

– Mówiono mi, że jest niezwykle brzydka i niemiła. Dlaczego została wprowadzona do naszej rozmowy w momencie, kiedy pragnąłem mówić tylko o pani?

– Och, może pan mówić o mnie, jeśli pan chce! – krzyknęła Edna, zakładając ręce nad głowę. – Lecz proszę pozwolić, że będę przez ten czas myślała o czymś innym.

– Jestem dziś zazdrosny o pani myśli. To z ich powodu jest pani nieco łaskawsza niż zwykle; lecz dziwnie jakoś czuję, że pani myśli wędrują daleko, że nie ma ich tutaj, przy mnie.



Spojrzała na niego bez słowa i uśmiechnęła się. Oczy jego były bardzo blisko. Pochylił się niżej, jedną ręką wsparł się o poręcz sofy, druga wciąż spoczywała na jej włosach. Milcząc, patrzyli sobie w oczy. Gdy pochylił się jeszcze niżej i pocałował ją, objęła go za głowę i mocno przywarła wargami do jego ust.

Był to pierwszy w jej życiu pocałunek, który do samej głębi poruszył całą jej istotę. Był płonąca pochodnią, która rozpałała w niej pożądanie.



Edna płakała trochę owej nocy po odejściu Arobina. Płacz był tylko jedną z jej reakcji na mnogość uczuć, których stała się ofiarą. Była wśród nich obezwładniająca świadomość braku panowania nad sobą. Był wstrząs spowodowany zaskoczeniem i nowością przeżycia. Czuła też, jak ze wszystkich dokoła przedmiotów biją w nią wyrzuty męża, który tyle skarbów zgromadził dla ozdobienia jej egzystencji materialnej. Wyrzuty sumienia wobec Roberta dawały znać o sobie naglejszym, gwałtowniejszym, bardziej dojmującym wezbraniem miłości dla niego. Ponad wszystkim jednak górowała świadomość, że z oczu jej opadła mgła przesłaniająca dotąd widzenie i rozumienie życia – owej bestii pięknej i brutalnej. Wśród różnorodnych uczuć, jakie nią szarpały, nie było tylko wstydu i skruchy. Jedyne głuchy żal, że to nie pocałunek miłości rozniecił w niej ogień; to bowiem, co podsunęło jej do ust kielich rozkoszy, nie było miłością.

Nie czekając nawet na list od męża wyrażający jego poglądy czy życzenia, Edna przyspieszyła przygotowania w związku z przenosinami do małego domku na sąsiedniej uliczce. Wszystkim jej czynnościom towarzyszył gorączkowy niepokój, a między myślą i jej spełnieniem nie było momentu zastanowienia, chwili oddechu. Po owych godzinach spędzonych z Arobinem krzątała się od samego rana nad zapewnieniem sobie nowego pomieszczenia i przyspieszeniem przygotowań do jego zajęcia.

Czuła się w murach własnego domu jak bluźnierca w świątyni, gdzie tysiące głosów szeptem domaga się, by opuściła zakazane dla niej progi. Wszystko, co w tym domu należało do niej, co nie było hojnym darem męża, kazała przenieść do tego drugiego domu, uzupełniając nieliczne i nieznaczące braki wyposażenia z własnej sakiewki.

Arobin zastał ją w zakasanych po łokcie rękawach krzątającą się wraz z pokojówką, gdy wpadł tam na chwilę w ciągu popołudnia. Była wspaniała; tryskała energią i chyba jeszcze nigdy nie wyglądała tak urodziwie jak w starej niebieskiej sukni i czerwonej jedwabnej chustce, którą niedbale zawiązała na włosach, by osłonić je od kurzu. Stojąc na wysokiej drabinie, zdejmowała ze ściany obraz w momencie, gdy wszedł. Drzwi wejściowe zastał otwarte, więc zadzwoniwszy, nie czekał na nikogo i bezceremonialnie wkroczył do salonu.

– Proszę mi natychmiast zejść stamtąd! – zawołał. – Czy chce się pani zabić? – Nie przerywając swego zajęcia, powitała go z udaną beztroską.

Jeżeli spodziewał się zastać ją rozmarzoną czy trapiącą wyrzutami sumienia, czy też pogrążoną w sentymentalnych łzach, to musiał się srodze rozczarować.

Był jednak na pewno przygotowany na wszystko, na każdy z wymienionych nastrojów, gdyż bez trudu i z całą naturalnością przystosował się do zastanej sytuacji.

– Błagam, niech pani zejdzie – nalegał, przytrzymując oburącz drabinę i spoglądając w górę.

– Nie – odparła. – Ktoś to musi zrobić. Ellen boi się wejść na drabinę. Joe zajęty jest w „gołębniku” – tak nazywa Ellen mój nowy dom, ponieważ jest mały i podobny do gołębnika.

Arobin zdjął płaszcz i zgłosił chęć narażenia życia dla Edny. Ellen przyniosła mu jeden ze swych czepeczków i nie mogła pohamować konwulsyjnego śmiechu na widok pana, który tak śmiesznie wkładał przed lustrem dziewczęcy czepeczek. Edna też nie mogła powstrzymać uśmiechu, zawiązując Arobinowi pod brodą – na jego prośbę – tasiemki czepka. Arobin wszedł na drabinę, by pod kierunkiem Edny pozdejmować obrazy, story z okien i różne ozdoby ze ścian. Wykonawszy zadanie, poszedł umyć ręce.

Gdy wrócił, Edna siedziała na taborecie pogrążona w myślach; czubkiem pierzastej miotłki wodziła po dywanie.

– Czy pragnie pani, żebym jeszcze coś zrobił? – spytał.

– Nie. To wszystko – odpowiedziała. – Ellen da sobie radę z resztą. – Kazała pokojówce zająć się czymś w przyległym salonie, by nie pozostać sam na sam z Arobinem.

– A co z kolacją? – spytał. – Z tym wielkim wydarzeniem? Z prawdziwym *coup d'état*?<sup>39</sup>

– Pojutrze. Dlaczego nazywa pan to *coup d'état*? Och, wydam wspaniałą kolację; wszystko, co mam najlepszego – kryształ, srebro, złoto, sewrska porcelana, kwiaty, muzyka i szampan – będziemy się kąpać w szampanie. Léonce za to zapłaci. Ciekawa jestem, co powie, kiedy zobaczy rachunki.

– I pani pyta, dlaczego mówię, że to *coup d'état!* – Arobin włożył płaszcz i spytał Ednę, czy dobrze dobrał krawat. Odpowiedziała, że tak, nie podnosząc wzroku wyżej niż końce jego kołnierzyka.

– Kiedy przynosi się pani do swego „gołębnika”? Pytam z całym należnym uznaniem dla Ellen.

– Pojutrze, po kolacji. Będę już tam spała...

– Ellen, bądź tak dobra i przynieś mi szklanek wody – poprosił Arobin. – Kurz na storach – proszę wybaczyć, że o takiej rzeczy wspominam – wysuszył mi gardło na pergamin.

– Zanim Ellen przyniesie wodę – rzekła Edna, wstając – pożegnaj pana. Muszę się doprowadzić do ładu, poza tym czeka mnie tysiąc różnych drobiazgów, o których trzeba pomyśleć i które trzeba załatwić.

– Kiedy panią zobaczę? – spytał Arobin, próbując ją zatrzymać, gdy tylko zostali sami.

– Na kolacji oczywiście. Jest pan zaproszony.

– Nie wcześniej? Nie dziś wieczorem albo jutro rano? Jutro w południe albo wieczorem? Albo pojutrze rankiem czy w południe? Czy nie widzi pani? Czy trzeba aż mego wyznania, że czekać to dla mnie wieczność?

Szedł za nią do hallu i przystanął u stóp schodów, odprowadzając wzrokiem postać z twarzą na w pół do niego odwróconą.

Ani jednej chwili wcześniej – odparła. Lecz zaśmiała się i posłała mu spojrzenie, które natychmiast natchnęło go odwagą czekania i jednocześnie zamieniło czekanie w torturę.

Jakkolwiek Edna zapowiadała wydanie wielkiej kolacji, przyjęcie odbyło się w raczej skromnym, choć ekskluzywnym gronie, gości bowiem zaproszonych było niewielu i wybranych z rozmysłem. Edna liczyła na to, że zbierze przy swym okrągłym mahoniowym stole okrągły tuzin, zapomniawszy, że madame Ratignolle była nad miarę *souffrante*<sup>40</sup> i ze względu na swój stan przestała bywać; madame Lebrun zaś nieprzewidzianie wymówiła się w ostatniej chwili, stokrotnie przepraszając. Było więc tylko dziesięć osób, co zresztą stanowiło bardzo przyjemną, okrągłą liczbę.

---

40 *Souffrante* (fr.) – cierpiąca.



Byli państwo Merriman – ładna, ruchliwa kobietka po trzydziestce, i jej mąż, jowialnie uśmiechnięty bałwan, który śmiał się głośno z cudzych dowcipów, co mu zresztą zyskało ogólną sympatię. Towarzyszyła tej parze pani Highcamp. Był oczywiście Alcée Arobin, zgodziła się również przyjść mademoiselle Reisz. Edna posłała jej nowy pęk sztucznych fiołków i czarną koronkę na włosy. Przybył we własnej osobie monsieur Ratignolle, przynosząc od nieobecnej żony wyrazy głębokiego ubolewania. Wiktor Lebrun, który był w mieście i z zapalem oddawał się rozrywkom, przyjął zaproszenie. Była też niejaka panna Mayblunt, od dawna nie będąca już podlotkiem, która patrzyła na świat przez *lorgnettes*<sup>41</sup> z nigdy nie słabnącym zainteresowaniem. Uchodziła powszechnie za intelektualistkę; podejrzewano nawet, że publikuje swe utwory pod jakimś *nom de guerre*<sup>42</sup>. Przybyła w towarzystwie pewnego dżentelmena nazwiskiem Gouvernail, związanego z jedną z gazet codziennych, o którym trudno było powiedzieć coś szczególnego poza tym, że był na pewno dobrze wychowany i robił wrażenie człowieka spokojnego i nieszkodliwego. Edna była dziesiątą osobą i o pół do dziewiątej poprosiła gości do stołu –

---

41 *Lorgnettes* (fr.) – lornetka.

42 *Nom de guerre* (fr.) – pseudonim.

posadziła obok siebie Arobina z jednej strony, z drugiej – pana Ratignolle.

Pani Highcamp siedziała pomiędzy Arobinem i Wiktorem Lebrun. Następnie pani Merriman, pan Gouvernail, panna Mayblunt, pan Merriman i mademoiselle Reisz obok monsieur Ratignolle.

Stół przedstawiał widok niezwykle okazały – efekt przepięknego obrusu z kremowej satyny ozdobionej wstawkami z koronek. W ciężkich mosiężnych świecznikach paliły się równym płomieniem woskowe świece pod kapturkami z żółtego jedwabiu; i wszędzie mnóstwo wonnych, rozkwitłych herbacianych i pąsowych róż. Była srebrna i złota zastawa, zgodnie z zapowiedzią Edny, i kryształ, które lśniły nie mniej od klejnotów pań.

Zwykłe, twarde krzesła zastąpiono na ten wieczór ściągniętymi z całego domu najwygodniejszymi i najozdobniejszymi fotelami. Mademoiselle Reisz, osoba wyjątkowo niskiego wzrostu, zasiadła na stosie poduszek, które podłożono jej, jak dzieciom czasem podkłada się przy stole najgrubsze tomy z domowej biblioteki.

– To coś nowego, Edno? – krzykliwie spytała panna Mayblunt, kierując lornetkę na wspaniałą diamentową zapinkę, która iskrzyła się we włosach Edny tuż nad czołem, rozsiewając ognisty blask.

– Owszem, nowość, pierwszy raz to dziś włożyłam – prezent od męża. Dostałam ranną pocztą z Nowego Jorku. Muszę wam też wyznać, że dziś są moje urodziny, kończę dwadzieścia dziewięć lat. Ufam, że w odpowiedniej chwili zechcecie wszyscy wypić moje zdrowie. Tymczasem proponuję zacząć od koktajlu skomponowanego – można się tak wyrazić o koktajlu? – z tym pytaniem zwróciła się do panny Mayblunt – przez mego ojca z okazji ślubu mojej siostry Janet.

– Przed każdym nakryciem stał mały kieliszek, który lśnił i mienił się jak klejnot z granatów.

– A zatem, biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności – przemówił Arobin – nie od rzeczy będzie wypić zdrowie pułkownika koktajlem jego autorstwa w dzień urodzin jego córki, najczarowniejszej z kobiet, której również jest autorem.

Pan Merriman odpowiedział na ten żarcik wybuchem śmiechu tak szczerego i zaraźliwego, że obiad rozpoczął się w niezwykle przyjemnym nastroju, który ani na chwilę nie uległ zmianie.

Panna Mayblunt poprosiła, by wolno jej było nie pić koktajlu – pragnęła nacieszyć oczy widokiem pełnego kieliszka. Jakiż cudny kolor! Ponad wszelkie porównania! A blask granatu w takim szkle to niewymownie rzadkie zjawisko. Orzekła, że pułkownik jest prawdziwym artystą i że nigdy tego przekonania nie zmieni.

Monsieur Ratignolle postanowił odnosić się do wszystkiego z niezmaconą powagą: do wszystkich *mets*, *entre-mets*<sup>43</sup>, zastawy, dekoracji, nawet ludzi. Spojrzał z wysoka na Arobina i zapytał, czy przypadkiem nie jest spokrewniony z dżentelmenem o tym samym nazwisku, figurującym w nazwie spółki adwokackiej Laitner i Arobin. Młody człowiek odparł, że Laitner to jeden z jego najbliższych przyjaciół, który zgodził się, aby nazwisko Arobina figurowało w nagłówku firmowych listów i szyldzie, zaszczytnie zdobiącym ulicę Perdido.

– Tyle jest wścibskich ludzi i instytucji – dodał Arobin – że w dzisiejszej dobie człowiek dla własnej wygody dosłownie zmuszony jest stworzyć sobie pozory jakiegoś zajęcia, jeśli nie ma żadnego.

---

43 *Mets, entre-mets* (fr.) – dania, przystawki.

Monsieur Ratignolle nieznacznie unióśł brwi i po krótkiej chwili zwrócił się do mademoiselle Reisz z zapytaniem, co sądzi o koncertach symfonicznych: czy nadal są na poziomie z zeszłej zimy. Mademoiselle Reisz odpowiedziała mu po francusku; Ednie wydało się to – zważywszy na okoliczności – niezbyt grzeczne, lecz bardzo dla owej pani typowe. Mademoiselle o koncertach symfonicznych mogła wyrazić się tylko jak najgorzej, nie żałowała również obraźliwych uwag pod adresem muzyków Nowego Orleanu, każdego z osobna i wszystkich razem. Sprawiała wrażenie, iż całą jej uwagę pochłaniały stojące przed nią na stole smakołyki.

Pan Merriman oznajmił, że wzmianka pana Arobina o osobach wścibskich przypomniła mu pewnego pana z Waco, spotkanego niedawno w hotelu St. Charles – lecz że opowieści pana Merrimana zawsze kulały i brak im było pointy, żona nieczęsto pozwalała mu je kończyć. I tym razem przerwała mężowi, pytając, czy pamięta nazwisko autora książki, którą kupiła przed tygodniem, by posłać swej przyjaciółce w Genewie. Mówiła z panem Gouvernail o książkach i usiłowała nakłonić go do zdradzenia swych poglądów na bieżące wydarzenia literackie. O człowieku z Waco pan Merriman opowiedział na boku pannie Mayblunt, która wysłuchiwała całej historyjki z udaną ciekawością i orzekła, że jest niezwykle zabawna.

Pani Highcamp okazywała szczere, choć dość ospałe zainteresowanie swemu sąsiadowi z lewej strony – był nim pełen życia i swady Wiktor Lebrun. Zainteresowanie to nie słabło ani na moment od chwili, gdy zasiedli do stołu; a kiedy Wiktor odwracał się do pani Merriman, która była ładniejsza i miała więcej temperamentu, pani Highcamp z niewzruszonym spokojem czekała na najbliższą sposobność przyciągnięcia na nowo uwagi Wiktora. Raz po raz docierał z dala odgłos muzyki – dostatecznie odległe tony mandoliny w miły sposób towarzysząc, nie przeszkadzały rozmowom. Słysząc też było monotony plusk fontanny w ogrodzie; wraz z nim wnikał do pokoju przez otwarte okna ciężki zapach jaśminu.

Satynowa suknia Edny opadała na boki w sutych fałdach, otulając całą postać złocistym lśnieniem. Ramiona jej okrywała delikatna koronkowa mantylka barwy ciała, matowa i drgająca miliardem drobnych oczek niby żywa tkanka skóry. Było coś w postawie Edny, gdy oparła głowę o wysoką poręcz krzesła i złożyła ręce na stole, co nadawało jej wygląd królewski, zdradzało naturę władczą, wyniosłą, niezależną.

Lecz siedząc jak w gronie swych gości, Edna doznała dobrze jej znanego uczucia nudy, beznadziejności, która nią owładnęła tak często i obsesyjnie, niejako z zewnątrz, niezależnie od jej woli – coś, co dawało o sobie znać niby mroźny oddech zięjący z jakiejś głębokiej jaskini, gdzie kłębią się sprzeczne uczucia. Poczowała dojmującą tęsknotę, a w ślad za nią – jak zawsze – zjawił się obraz ukochanego i wprost fizyczne złudzenie jego obecności; poraziło ją to poczucie czegoś nieosiągalnego.

W miarę jak czas upływał wśród śmiechu i żartów, jakiś niemal mistyczny nastrój zbratania związał ze sobą niby sznurem krąg ludzi siedzących przy stole. Przerwał ten czar monsieur Ratignolle. Pożegnał się o godzinie dziesiątej. Czekala na niego w domu madame Ratignolle. Była doprawdy *bien souffrante*<sup>44</sup> i pełna nieokreślonego lęku, który jedynie obecność małżonka mogła rozproszyć.

---

<sup>44</sup> *Bien souffrante* (fr.) – bardzo cierpiąca.

Mademoiselle Reisz wstała równocześnie z panem Ratignolle; zaofiarował się odprowadzić ją do tramwaju. Zjadła do syta, skosztowała znakomitych, ciężkich win i zapewne czuła zawrót głowy, bo niezwykle miło ukłoniła się wszystkim, wstając od stołu. Pocałowała Ednę w ramię i szepnęła jej na ucho: – *Bonne nuit, ma reine; soyez sage*<sup>45</sup>. – Poczowała się trochę niepewnie na nogach, gdy wstała, a raczej się zsunęła ze swych poduszek i monsieur Ratignolle szarmanckim gestem podał jej ramię i wyprowadził ją z pokoju.

Pani Highcamp zajęła się wiciem girlandy z róż, herbacianych i pąsowych. Gdy skończyła, delikatnie złożyła wieniec na czarnych lokach Wiktora, który siedział rozparty we wspaniałym fotelu, unosząc ku światłu kielich z szampanem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wieniec z róż nadał temu chłopcu cechy wielkiej, wschodniej urody. Policzki jego miały odcień zgniecionych winogron, a mroczny wzrok płonął zniewalającym żarem.

– *Sapristi!* – krzyknął Arobin.

---

<sup>45</sup> *Bonne nuit, ma reine; soyez sage* (fr.) – dobranoc, moja królowo, i bądź rozsądna.



Lecz pani Highcamp jeszcze jednym dotknięciem swych rąk uzupełniła ten obraz. Zdjęła wiszący na poręczy krzesła biały jedwabny szal, który wczesnym wieczorem okrywał jej ramiona, i drapując go we wdzięczne fałdy, przykryła czarny, konwencjonalny garnitur Wiktora. Chłopiec nie protestował przeciw tej dekoracji, tylko odsłaniając w uśmiechu lśniące białe zęby i mrużąc oczy, patrzył nadal na światło świec poprzez kielich z szampanem.

– Och, malować to, malować pędzlem, farbami, zamiast słowami! – wykrzyknęła panna Mayblunt, którą widok Wiktora wprowadził w jakieś rapsodyczne, wzniosłe zachwycenie.

*Oto odwieczny obraz Pożądania,  
krwią malowany na złotym tle*

– wyszeptał Gouvernail.

Wino miało ten wpływ na Wiktora, że zamieniało jego gadatliwość i swadę w milczenie. Zdawał się całkowicie oddany marzeniom i jakimś rozkosznym wizjom jawiącym się w bursztynowej kuli.

– Zaśpiewaj! – poprosiła pani Highcamp. – Proszę nam coś zaśpiewać.

– Zostawmy go w spokoju – powiedział Arobin.

– On pozuje – orzekł pan Merriman. – Musi się skupić.

– Wygląda jak tknięty paralizem – roześmiała się pani Merriman. I schyliwszy się nad fotelem Wiktora, wyjęła z jego ręki kielich i podsunęła mu go do ust. Pił szampana małymi łykami, a gdy wychylił kielich do dna, odstawiła go na stół i otarła chłopcu wargi małą, przezroczystą chusteczką.

– Dobrze, zaśpiewam – powiedział, zwracając się do pani Highcamp. Założył ręce za głowę i patrząc w sufit, najpierw nucił przez moment – próbował głosu jak muzyk strojący swój instrument, a potem rzucił spojrzenie na Ednę i zaczął:

*Ach, si tu savais...*

– Przestań! – krzyknęła – nie śpiewaj tego. Nie chcę, żebyś to śpiewał – i nie panując nad sobą, tak nieuważnie odstawiła swój kielich, że rozbiła go o karafkę. Wino polało się na spodnie Arobina, kilka kropel padło na czarną muślinową szatę pani Highcamp. Wiktor niepomny na obowiązek grzeczności albo też nie biorący próśby gospodyni poważnie roześmiał się tylko i śpiewał dalej:

*Ach, si tu savais,*

*Ce que tes yeux me disent*<sup>46</sup>...

---

<sup>46</sup> *Ach, si tu savais...* (fr.) – Ach, gdybyś wiedziała, co mówią mi twoje oczy...

– Och, przestań! Przestań! – krzyczała Edna; odsunawszy gwałtownie fotel, wstała, podeszła do chłopca od tyłu i ręką zamknęła mu usta. Ucałował delikatnie dłoń, która przyłgnęła do jego warg.

– Już nie będę! Nie sądziłem, że mówi pani serio – powiedział i spojrzał na nią pieszczotliwie. Dotknięcie jego warg odczuła na swej dłoni jak przyjemne ukłucie. Zdjęła chłopcu różany wianek z głowy i cisnęła go w kąt pokoju.

– Chodź, Wiktorze, już dość tego pozowania. Oddaj pani Highcamp szal.

Pani Highcamp własnymi rękami zebrała fałdy draperii, którą był przystrojony. Panna Mayblunt wraz z panem Gouvernail nabrali nagle przekonania, że pora już powiedzieć dobranoc. A państwo Merriman byli zaskoczeni, że zrobiło się aż tak późno.

Żegnając się z Wiktorem, pani Highcamp poprosiła go, by zechciał odwiedzić jej córkę, którą na pewno oczaruje, będą mogli porozmawiać po francusku, śpiewać razem francuskie piosenki. Wiktor wyraził chęć i zamiar odwiedzenia panny Highcamp przy najbliższej sposobności. Zapytał Arobina, czy idzie w jego stronę. Arobin powiedział, że nie.

Grajkowie z mandolinami dawno już odeszli. Głęboka cisza zapadła na szerokiej, pięknej ulicy. Głosy rozchodzących się gości zmąciły zgrzytliwym dysonansem spokój i harmonię nocy.

## 31

– A więc? – spytał Arobin, gdy wszyscy już wyszli.

– No cóż... – odparła; wstała i przeciągnęła się – czuła potrzebę rozluźnienia mięśni po tak długim siedzeniu.

– Co dalej? – spytał.

– Służba już poszła. Razem z grajkami. Odprawiłam wszystkich. Należy teraz pozamykać drzwi i okna, a potem pójdę do mojego gołębnika. Przyślę tu rano Celestynę, żeby posprzątała.

Arobin rozejrzał się i zaczął gasić światła.

– A jak jest na piętrze? – zapytał.

– Myślę, że wszystko pozamykane, ale może zostało jakieś okno otwarte, lepiej zobaczyć. Proszę wziąć świecę i sprawdzić. I niech mi pan przyniesie, jeśli łaska, moją pelerynę i kapelusz – są na łóżku w środkowym pokoju.

Poszedł na górę z zapaloną świecą, Edna zaczęła zamykać drzwi i okna. Pomyślała z przykrością, że pozostanie tu dym i opary wina. Arobin odnalazł jej rzeczy, zniósł je na dół i pomógł otulić się peleryną.

Gdy wszystko zostało pozamykane i wszystkie światła pogaszone, wyszli na ganek. Arobin zamknął drzwi wejściowe na klucz, który oddał Ednie. Pomógł jej zejść ze stopni.

– Gałązkę jaśminu? – spytał. Mijając rozkwitły krzew, uszczknął parę kwiatków.

– Nie. Nie chcę niczego.

Zdawała się przygnębiona i nieskłonna do rozmowy. Ujęła jego ramię, które jej zaofiarował, drugą ręką zgarnęła tren satynowej sukni. Szła ze wzrokiem spuszczonej i w pewnej chwili zdała sobie sprawę, jak blisko niej i jak równo – krok w krok – porusza się jego noga – czarna kreska spodni na tle jej złociście lśniącej szaty. Gdzieś daleko zagwizdał pociąg i odezwały się dzwony bijące północ. Nikogo nie spotkali w czasie tej krótkiej przechadzki.

„Gołębnik” oddzielała od ulicy brama, która była zamknięta, zaraz za nią był dość zaniedbany klomb. Domek miał z przodu wąską werandę, długie okno i drzwi, z których wchodziło się od razu do saloniku: bocznego wejścia nie było. Od strony podwórza mieścił się pokoik dla służby, który zajęła Celestyna.

Edna zostawiła przed wejściem lampę na stole, palącą się przyćmionym płomieniem. Wnętrze pokoju przedstawiało się wygodnie i przytulnie. Na stole parę książek, opodal – sofa. Podłoga wyłożona świeżą matą, na niej jeden czy dwa niewielkie dywany, na ścianach – parę obrazów, dobranych z wielkim smakiem. Pokój był pełen kwiatów – zaskakująca dla Edny niespodzianka. Kwiaty przysłał Arobin pod nieobecność Edny i kazał Celestynie ustawić w wazonach. Do saloniku przylegała sypialnia, dalej – oddzielony wąskim korytarzykiem – pokój jadalny i kuchnia.

Edna usiadła, nic kryjąc złego samopoczucia.

– Zmęczona? – spytał Arobin.

– Tak. Jest mi zimno, jestem zmęczona i w ogóle bardzo nieszczęśliwa. Mam takie wrażenie, jakby nakręcono we mnie jakąś sprężynę bardzo mocno, za mocno – i pękła. – Położyła nagie ramiona na stole i oparła na nich głowę.

– Potrzebny jest pani odpoczynek – powiedział Arobin – i spokój. Pójdę. Zostawię panią, proszę odpocząć.

– Tak – odpowiedziała.

Podszedł bliżej i swoją miękką, magiczną dłonią pogładził ją po włosach. Dotyk tej dłoni odczuła jak fizyczną ulgę. Mogłaby zasnąć spokojnie od razu przy stole, gdyby ją tak dalej gładził. Pogłaskał jej kark.

– Mam nadzieję, że rano wstanie pani wypoczęta i szczęśliwa – powiedział. – Za dużo chciała pani zrobić w ostatnich dniach. Obiad był tą ostatnią kroplą – mogła go pani sobie darować.

– Słusznie – zgodziła się. – To był głupi pomysł.

– Nic podobnego, pomysł był uroczy, lecz wyczerpał panią do reszty. – Dłoń jego przesunęła się na jej piękne ramiona, odczuł, że ciało Edny zareagowało na jego dotyk. Usiadł i pocałował ją lekko w ramię.

– Myślałam, że pan już idzie – powiedziała niepewnym głosem.

– Tak, idę już, ale przedtem powiem pani dobranoc.

– Dobranoc – wyszeptała.

Milczał, nie przerywając pieszczoty i nie wcześniej powiedział „dobranoc”, aż uległa jego subtelnym, uwodzicielskim namowom.





Kiedy pan Pontellier dowiedział się, że żona jego zamierza opuścić dom i wynająć osobną rezydencję, natychmiast napisał do niej list zawierający niezwykle ostry sprzeciw i naganę. Powodów, które mu podała, nie chciał przyjąć do wiadomości, uważał je za niewystarczające. Wyraził nadzieję, że nie podda się w swym działaniu nagłym impulsom, i gorąco ją prosił, by najpierw i przede wszystkim brała pod uwagę, co ludzie powiedzą. Nie myślał o skandalu, pisząc to ostrzeżenie – czegoś takiego jak skandal nawet w myśli nigdy nie wiązał z imieniem swej żony czy własnym. Myślał po prostu o swej pozycji zawodowej. Mogłoby się roznieść po mieście, że państwo Pontellier znaleźli się w kłopotach i zostali zmuszeni do prowadzenia swego *ménage*<sup>47</sup> na skromniejszej niż dotąd stopie. Mogłoby to wyrządzić niepowetowane szkody jego interesom.

Mając jednakże w pamięci kapryśne ostatnio usposobienie żony i przewidując, że w swym niepowstrzymanym zdecydowaniu gotowa jest podjąć pewne kroki, podszedł do sytuacji z właściwą sobie przytomnością umysłu i potraktował wszystko ze znanym w jego kołach zawodowych taktem i rozsądkiem.

---

47 *Ménage* (fr.) – gospodarstwo.

Tą samą pocztą, która Ednie przyniosła jego list pełen nagany, wysłał do znanego w mieście architekta najszczegółowsze instrukcje dotyczące przebudowy domu; od dawna już myślał o pewnych zmianach i pragnął, by zostały przeprowadzone w czasie jego nieobecności.

Gromada doświadczonych i godnych zaufania robotników została wynajęta do wyniesienia i umieszczenia mebli, dywanów, obrazów – całego wyposażenia domu – w odpowiednich magazynach. W niewiarygodnie krótkim czasie dom państwa Pontellier został opanowany przez rzemieślników. Przewidziane było dodanie małej przybudówki, fresków, drewnianej posadzki w pokojach, które były dotąd pozbawione tego luksusu.

Następnie w jednej z codziennych gazet ukazała się krótka wzmianka o tym, że państwo Pontellier zamierzają spędzić letnie wakacje za granicą i że ich piękna rezydencja na Esplanadzie została poddana wielostronnym zmianom i remontom, które potrwać aż do powrotu właścicieli. Udało się zachować pozory!

Edna była pełna podziwu dla zręczności tego wybiegu i w żaden sposób nie zamierzała krzyżować intencji męża. Sytuacja, którą stworzył pan Pontellier, została zaakceptowana jako jedyne rozsądne wyjście, i Edna była bardzo zadowolona, że tak się stało.

Dobrze jej było w „gołębniku”. Przybrał niemal natychmiast charakter zacisznego domu, który nappełniła własnym wdziękiem, promieniującym z całej jej osoby niby ciepły żar. Edna miała uczucie, że tracąc na pozycji towarzyskiej, zyskała ogromnie wiele w dziedzinie życia duchowego. Każdy krok, który uwalniał ją od towarzyskich obowiązków, zdawał się dodawać jej siły i rozwijać jej osobowość. Zaczęła patrzeć na wszystko własnymi oczami: dostrzegać i pojmować głębszy sens życia. Nie musiała zadowalać się „panującą opinią”, gdyż nauczyła się iść za głosem własnych upodobań.

Po krótkim czasie – faktycznie po upływie kilku dni – Edna pojechała do Iberville do dzieci. Były to rozkoszne dni lutego, w powietrzu czuło się już zapowiedź lata.

Cóż to była za przyjemność zobaczyć dzieci! Edna rozpląkała się z radości, gdy poczuła uścisk małych rączek na szyi, dotknięcie jędrnych, rumianych policzków na swej rozplómonionej twarzy. Badała ich twarzyczki zgłodniałym wzrokiem, którego nie mogła nasycić. A co też chłopcy mieli do opowiedzenia swojej matce! O świnkach, o krowach, o mułach! O tym, jak pojechali do młyna aż za Gluglu; jak łowili ryby w stawie z wujkiem Jasperem; zbierali pękano we orzechy z dziećmi Liddie, małymi Murzyniátkami, i wozili swoją kolejką prawdziwe drzewo. Tysiąc razy przyjemniej jest wozić dla starej, kulawej Suse drzazgi na podpałkę do prawdziwego pieca niż malowane klocki po chodniku Esplanady!

Poszła z nimi odwiedzić świnki i krowy i zobaczyć Murzynów ścinających trzcinę cukrową, i strząsać z drzewa pekanowe orzechy, i łowić ryby w stawie. Spędziła z dziećmi długi tydzień, oddając się im bez reszty i biorąc w zamian z młodych istnień radość, chłonąc ją całą duszą. Słuchały z zapartym tchem, gdy mówiła im o domu na Esplanadzie i gromadzie robotników, którzy biją młotkami, wbijają gwoździe, piłują deski i napełniają to miejsce ogłuszającym zgiełkiem. Chciały wiedzieć, gdzie przeniesiono ich łóżeczka i co się stało z koniem na biegunach; i gdzie sypia Joe i dokąd poszła Ellen z kucharką? Lecz przede wszystkim pragnęły zobaczyć mały domek za rogiem ulicy. Czy jest tam miejsce do zabawy? Czy w sąsiedztwie są jacyś chłopcy? Raoul – pesymista – był przekonany, że są na pewno tylko dziewczynki. Gdzie będą obaj spać i gdzie będzie spał papa? Powiedziała, że wszystko najlepiej załatwią wróżki.

Starsza pani Pontellier była zachwycona przyjazdem Edny i na wszelkie sposoby okazywała jej swą uwagę. Ucieszyła ją ogromnie wiadomość, że dom na Esplanadzie znajduje się w stanie zupełnego rozpadu. Oznaczało to, że dzieci pozostaną u babci na czas bliżej nieokreślony.

Edna pożegnała dzieci z bólem, ze ściśniętym sercem. Zabrała ze sobą dźwięk ich głosów i ślad pocałunków. Przez całą drogę do Nowego Orleanu obecność ich towarzyszyła jej niby brzmiąca w pamięci melodia cudnej pieśni. Lecz zanim dojechała do miasta, echo tej pieśni zanikło w jej duszy. Była znów sama.

Zdarzało się czasem, że gdy Edna szła odwiedzić mademoiselle Reisz, nie zastawała jej w domu; mademoiselle była na lekcji, których udzielała wiele, albo robiła niezbędne zakupy. Klucz zostawiała zawsze w znanym Ednie schowku u wejścia. Edna wchodziła zazwyczaj do mieszkania pod nieobecność gospodyni i czekała na jej powrót.

Gdy pewnego popołudnia zapukała do mademoiselle, nikt nie odpowiedział; otworzyła więc jak zwykle drzwi, weszła i zgodnie z przewidywaniem zastała mieszkanie puste. Po dniu pełnym zajęć postanowiła schronić się u swej przyjaciółki, u której mogła znaleźć chwilę wytchnienia i pomówić o Robercie.

Cały ranek pracowała nad nowym płótnem w stylu włoskim, kończąc obraz bez modelu; wielokrotnie pracę tę przerywały to drobne wydarzenia w jej skromnym gospodarstwie, to znów inne, natury towarzyskiej.

Z trudem przy dreptała madame Ratignolle, omijając, jak powiedziała, zbyt uczęszczane szlaki. Zrobiła Ednie wyrzut, że ta ostatnio całkowicie ją zaniedbuje. Poza tym umierała z ciekawości, jaki jest nowy domek i chciała zobaczyć, jak został urządzony. Pragnęła też wiedzieć wszystko o wielkim przyjęciu; pan Ratignolle tak wczesnie je opuścił. Co się działo po jego wyjściu? Szampan i winogrona przysłane przez Ednę były przewyborne. Orzeźwiły ją, tak cierpiącą na zupełny brak apetytu, i pobudziły żołądek. Gdzie też Edna znajdzie miejsce dla pana Pontellier w tym domeczku? A chłopcy? Wymusiła obietnicę, że gdy nadejdzie dla niej godzina próby, przyjaciółka jej nie opuści.

– Przyjdę o każdej porze, każdej porze dnia i nocy, kochanie – zapewniła ją Edna.

Przed odejściem madame Ratignolle powiedziała:

– Pod pewnymi względami, Edno, wydajesz mi się dzieckiem. Postępujesz niemal zupełnie bez zastanowienia, które w naszym życiu tak jest konieczne. Z tego właśnie powodu pragnę cię prosić, abyś nie miała mi za złe, że dam ci pewną radę: bądź ostrożna, skoro mieszkasz tu zupełnie sama. Może postarałabyś się o kogoś do towarzystwa na jakiś czas? Na przykład – mademoiselle Reisz?



– O nie! Nie miałyby najmniejszej ochoty zamieszkać ze mną, a ja też nie pragnę mieć jej stale przy sobie.

– Chodzi o to... wiesz, jacy ludzie są niegodziwi... Ktoś rozpowiada, że odwiedza cię tu Alcée Arobin. Oczywiście nie byłoby w tym nic zdroźnego, gdyby pan Arobin nie miał tak okropnej reputacji. Właśnie mówił mi monsieur Ratignolle, że wystarczy, aby ten pan zaczął okazywać kobiecie swoje względy, a już będzie miała zrujnowaną opinię.

– Czy może chwali się swymi sukcesami? – spytała obojętnie Edna, zerkając kątem oka na swój obraz.

– Nie, nie sędzę. Mam nadzieję, że pod tym względem zachowuje się przyzwoicie. Ale mężczyźni wiedzą dobrze, jaki on jest. Myślę, że nie będę już mogła cię odwiedzić; przychodząc tutaj dziś, postąpiłam bardzo nierozsądnie.

– Uważaj na stopień! – krzyknęła Edna.

– Nie zaniedbuj mnie – błagała madame Ratignolle – i nie przejmuj się tym, co powiedziałam o Arobinie i o kimś do towarzystwa.

– Ależ nigdy w życiu! – roześmiała się Edna. – Mnie zawsze możesz wszystko powiedzieć. – Ucałowały się na pożegnanie. Madame Ratignolle mieszkała bardzo blisko i Edna, nie ruszając się z ganku, odprowadziła wzrokiem postać przyjaciółki aż do rogu ulicy.

Po południu złożyły Ednie wizytę pani Merriman i pani Highcamp. Edna pomyślała w duchu, że śmiało mogły sobie darować tę formalność. Lecz przyszły również i po to, by zaprosić ją na partyjkę *vingt-et-un*<sup>48</sup> któregoś z najbliższych wieczorów: może zechce przybyć wcześniej, na kolację, a po kartach odprowadzi ją do domu pan Merriman albo pan Arobin. Edna przyjęła zaproszenie bez większej radości. Towarzystwo tych dam ogromnie ją niekiedy męczyło.

Późnym popołudniem szukała schronienia u mademoiselle Reisz; czekając w samotności na jej powrót, czuła, jak atmosfera ubogiego, bezpretensjonalnego pokoiku napełnia ją spokojem.

Siedziała przy oknie, z którego widać było szczyty dachów i rzekę. Na parapecie okna stały doniczki z kwiatami i Edna siedząc, bawiła się obrywaniem zeschniętych liści geranium. Dzień był ciepły, od strony rzeki docierał przyjemny powiew wiatru. Edna zdjęła kapelusz i położyła go na pianinie. A potem dalej obrywała listeczki, które uschły, i szpilką od kapelusza kruszyła grudki ziemi w doniczce. Raz wydało jej się, że słyszy kroki powracającej panny Reisz. Lecz okazało się, że to tylko młoda Murzynka przyniosła paczkę z praniem – złożyła ją w przyległym pokoju i odeszła.

---

48 *Vingt-et-un* (fr.) – dwadzieścia jeden.

Edna usiadła przy fortepianie i czytając rozłożone nuty, jednym palcem nieśmiało wygrywała melodię, Minęło pół godziny. Z dołu raz po raz dobiegał odgłos kroków – ktoś wchodził, ktoś wychodził z domu. Całkowicie pochłonięta odczytywaniem nut usłyszała w pewnej chwili pukanie do drzwi. Zastanowiła się przez moment, co też zrobią osoby odwiedzające mademoiselle, gdy zastaną jej mieszkanie zamknięte.

– Proszę wejść – zawołała, odwracając twarz ku drzwiom. Tym razem do pokoju wszedł Robert Lebrun we własnej osobie. Próbowwała wstać, nie mogła jednak tego zrobić, nie zdradzając głębokiego wzruszenia, które ogarnęło ją na widok Roberta. Więc nie ruszając się z miejsca, wykrzyknęła:

– Ależ to Robert!

Podszedł zaraz i uścisnął jej rękę – widać było, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi i co mówi.

– Pani Pontellier! W jaki sposób... och, jak ślicznie pani wygląda! Czy nie ma panny Reisz? Nie myślałem, że panią tu spotkam.

– Kiedy pan powrócił? – spytała Edna niepewnym głosem i otarła twarz chusteczką. Pomyślał, że jest jej niewygodnie na okrągłym stołku przy pianinie i poprosił, by usiadła na krześle pod oknem. Zrobiła to odruchowo, podczas gdy Robert zajął jej miejsce.

– Wróciłem przedwczoraj – odpowiedział i oparł łokieć na klawiszach, dobywając z nich nagły, pełen dysonansów akord.

– Przedwczoraj! – powtórzyła głośno i myśl jej zatrzymała się na tym „przedwczoraj” jak na czymś niepojętym. Wyobrażała sobie zawsze, że Robert będzie jej szukał natychmiast, w pierwszej godzinie po powrocie; okazuje się, że żył pod tyra samym niebem od przedwczoraj i tylko przypadkiem się spotkali. Mademoiselle musiała kłamać, gdy mówiła: „Biedny chłopiec, on panią kocha”.

– Przedwczoraj – powtórzyła jeszcze raz i odłamała gałązkę geranium – a więc gdyby pan dziś nie spotkał mnie tutaj, to... to znaczy, że... Czy nie zamierzał pan mnie odwiedzić?

– Ależ oczywiście, zrobiłbym to na pewno. Tylko że... tyle było spraw... – nerwowo kartkował nuty mademoiselle. – Wczoraj nie zwlekając, stawiłem się w mojej starej firmie. Ostatecznie tyleż mam szans tutaj, co i tam – to znaczy... pewnego dnia może mi się wszystko ułożyć korzystnie. Meksykanie to ludzie, z którymi nie najlepiej się zgadzałem.

A więc powrócił, ponieważ Meksykanie to ludzie, z którymi nie najlepiej się zgadzał, a w interesach miał takie same szanse jak tutaj; wrócił z wielu różnych powodów tylko nie dlatego, że pragnął być blisko niej. Wspominała dzień, gdy siedząc na podłodze, obracała w palcach kartki jego listu, szukała przyczyny, która została na tych kartkach zatajona.

Nie zwróciła uwagi na jego wygląd – czuła jedynie jego obecność; teraz z rozmysłem obróciła się i przyjrzała Robertowi dokładnie. Ostatecznie nie było go tylko parę miesięcy i wcale się nie zmienił. Włosy tej samej barwy co jej włosy wiły się na skroniach jak dawniej. Skórę miał nie więcej opaloną niż na Grand Isle. Dostrzegła w jego wzroku, gdy rzucił na nią milczące spojrzenie, tę samą czułą pieśczętę, ale i żar, i błaganie, którego przedtem nie było – i ten sam błysk oka, którym kiedyś przeniknął do uśpionych zakątków jej duszy i pobudził ją do życia.

Edna po sto razy wyobrażała sobie powrót Roberta i pierwsze spotkanie. Najczęściej – u niej w domu, dokąd przybiegał od razu w pierwszej minucie. Wyobrażała sobie jego wyznanie – słowami lub w jakiś inny sposób zdradzające miłość. A rzeczywistość była taka, że oto siedzieli w odległości dziesięciu stóp od siebie, ona przy oknie, wachając roztartą w palcach gałązkę geranium, gdy on obracał się na okrągłym stołku przy fortepianie, mówiąc:

– Ogromnie zaskoczony byłem wiadomością o wyjeździe pana Pontellier; dziwne, doprawdy, że mademoiselle Reisz nic mi o tym nie pisała; ani o pani przewodniczce, o której dowiedziałem się wczoraj od matki. Prędzej byłbym przypuszczał, że jest pani z mężem w Nowym Jorku albo z dziećmi w Iberville, zamiast się tutaj zadrećcać domowymi kłopotami. Słyszałem również, że wyjeżdża pani za granicę. Nie będziemy mieli pani w lecie na Grand Isle... to już nie będzie... Często widuje się pani z mademoiselle Reisz? Ona mi wiele pisała o pani w tych kilku listach, które dostałem.

– Czy pamięta pan, że wyjeżdżając, obiecał pan napisać?  
– Żywy rumieniec oblał całą jego twarz.

– Trudno mi było wierzyć, że moje listy będą dla pani interesujące.

– To wykret. Mówi pan nieprawdę. – Edna sięgnęła po kapelusz leżący na fortepianie. Włożyła go na głowę i przypięła długą szpilką powoli, z namysłem wsuwając szpilkę w swój ciężki kok.

– Czy nie zaczeka pani na powrót mademoiselle? – spytał Robert.

– Nie. Przekonałam się, że kiedy tak długo jej nie ma, to zwykle wraca bardzo późno. – Naciągnęła rękawiczki, Robert podniósł swój kapelusz.

– A pan na nią nie zaczeka? – zapytała Edna.

– Skoro pani przypuszcza, że wróci tak późno... – uświadomił sobie nagle nieuprzejmość tej odpowiedzi i dodał natychmiast: – Ominęłaby mnie również przyjemność odprowadzenia pani do domu. – Edna zamknęła drzwi i schowała klucz w umówionym miejscu.

Poszli razem, omijając kałuże na błotnistych uliczkach i kramy z tanim towarem tarasujące chodniki. Część drogi przebyli tramwajem, a później idąc pieszo, minęli dom Pontellierów – wyglądał nieomal jak splądrowana ruina. Robert, który nie znał rezydencji Pontellierów, spojrzał z zainteresowaniem.

– Nigdy nie widziałem pani w jej własnym domu – zauważył.

– Jestem z tego rada.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Skręcili za rogiem i mogło się zdawać, że jej marzenia mimo wszystko się spełnią, gdy wchodził za nią do jej „gołębnika”.

– Musi pan zostać na kolacji, Robercie. Jestem zupełnie sama, jak pan widzi, i tak długo się nie widzieliśmy... Chcę pana zapytać o wiele różnych rzeczy.

Zdjęła kapelusz i rękawiczki. Stał niezdecydowany, tłumacząc, że oczekuje go matka; wybąkał nawet, że jest z kimś umówiony. Zapaliła lampę na stole; ściemniało się już. Gdy ujrzał w świetle lampy jej twarz jakby ściągniętą bólem, pod którym zniknęła cała miękkość rysów, odrzucił na bok kapelusz i usiadł.

– Och, pani wie, że zostanę z ochotą, jeśli pani pozwala – wykrzyknął. Twarz jej natychmiast złagodniała. Edna roześmiała się, podeszła i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dopiero w tej chwili wygląda pan jak mój dawny Robert. Pójdę, powiem Celestynie. – Pobiegła powiedzieć Celestynie o dodaniu jednego nakrycia. Posłała ją nawet na poszukiwanie jakichś dodatkowych smakołyków, o których dla siebie jednej nie myślała. I nakazała wielką dbałość w parzeniu kawy i przyrządzaniu omletu.

Gdy wróciła do pokoju, Robert przeglądał leżące na stoliku pisma i rysunki. Wyłowił z tego stosu fotografię, na której widok krzyknął zdumiony:

– Alcée Arobin! Cóż, na Boga, robi tutaj to zdjęcie?

– Próbowałam naszkicować jego głowę pewnego dnia – odparła Edna – i dał to, sądząc, że mi pomoże. To było jeszcze w starym domu. Myślałam, że tam zostało. Ale widocznie zapakowałam razem z całym moim warsztatem malarskim.

– Może należałoby zwrócić mu te fotografię, jeśli już niepotrzebna.



– Och, mam dużo podobnych zdjęć. I nigdy nie myślę o ich zwracaniu. Zresztą – nic nie znaczą. – Robert nie odrywał oczu od twarzy Arobina.

– Mam wrażenie, że... czy istotnie sądzi pani, że warto taką głowę rysować? Czy to przyjaciel pana Pontellier? Nigdy mi pani nie mówiła, że go pani zna.

– To nie jest przyjaciel pana Pontellier, to jest mój przyjaciel. Zawsze się znaliśmy – ale ostatnio poznałam go trochę bliżej. Wolałabym jednak mówić o panu i dowiedzieć się, co pan widział, co robił, jak się pan czuł w tym Meksyku?

Robert odłożył na bok fotografię.

– Widziałem morskie fale – powiedział – i białą plażę Grand Isle; widziałem zarośniętą uliczkę w Chênière; stary fort na Grande Terre. Pracowałem jak maszyna i czułem się jak zagubiona dusza. Nie było tam nic ciekawego.

Schyliła głowę i dłonią osłoniła oczy przed światłem.

– A co pani robiła, co widziała i co czuła przez ten czas?  
– zapytał Robert.

– Widziałam fale morskie i białą plażę Grand Isle; cichą, zarośniętą uliczkę w Chênière Caminada; stary słoneczny fort na Grande Terre. Pracowałam – może niezupełnie jak maszyna, ale czułam się jak zagubiona dusza. Nie było tu nic ciekawego.

– Pani jest okrutna – odrzekł z uczuciem, przymknął oczy i odchylił głowę, by oprzeć ją o wysoką poręcz fotela. Siedzieli w milczeniu, póki Celestyna nie przyszła i nie powiedziała, że kolacja podana.

Jadalnia była bardzo mała. Okrągły mahoniowy stół Edny wypełniał niemal cały pokój. W tych warunkach krok lub dwa było do kuchenki, kominka, do małego bufetu i bocznych drzwi wiodących na wąskie, ceglami wybrukowane podwóreczko.

Z chwilą gdy Celestyna oznajmiła podanie kolacji, zapanował nastrój niemal oficjalny. Nie wrócili już do spraw osobistych. Robert opowiadał o swych przygodach w Meksyku, Edna o tym, co wydarzyło się w czasie jego nieobecności. Kolacja miała charakter codziennego posiłku, jeśli nie liczyć kilku zakąsek, po które Edna posłała w ostatniej chwili do sklepu. Stara Celestyna z głową obwiązaną żółtym turbanem kuśtykała z pokoju do kuchni i z powrotem ciekawa wszystkiego; raz po raz przystawała, by pogawędzić w rodzinnym *patois*<sup>49</sup> z Robertem, którego znała, gdy był jeszcze małym chłopcem.

Wyszedł do pobliskiej trafiki po bibułkę do papierosów i po powrocie zastał w salonie podaną przez Celestynę kawę.

– Może niesłusznie wróciłem – powiedział. – Kiedy zmęczone panią, proszę mnie odprawić.

– Nigdy mnie pan nie męczy. Musiał pan zapomnieć o tych niezliczonych godzinach na Grand Isle, które przywykliśmy spędzać razem.

– Nie zapomniałem niczego, co było na Grand Isle – odrzekł i nie patrząc na nią, zajął się skręcaniem papierosa. Woreczek z tytoniem odłożył na stół – była to rzecz zupełnie niezwykła – z jedwabiu, cała pokryta haftem, najwyraźniej dzieło kobiecych rąk.

---

49 *Patois* (fr.) – dialekt.

– Nosił pan zwykle tytoń w gumowym woreczku – zauważyła Edna, biorąc do ręki jedwabne cacko i przyglądając się haftom.

– Tak. Ale go zgubiłem.

– A gdzie pan to kupił? W Meksyku?

– Dostałem w Veracruz od jednej dziewczyny: wszystkie one są tam bardzo hojne – odpowiedział, zapalił zapałkę i przytknął ją do papierosa.

– Przypuszczam, że są także bardzo ładne... wszystkie te Meksykanki... bardzo malownicze, czarnookie... w koronkowych szalach.

– Niektóre są ładne, inne bardzo brzydkie. Jak kobiety na całym świecie.

– A jaka była ona? Ta, która haftowała ten woreczek? Musiał pan ją dobrze znać.

– Była bardzo pospolita. Znajomość pozbawiona znaczenia. Owszem, znałem ją dobrze.

– Czy odwiedzał pan ją w domu? Czy to było interesujące? Niech mi pan opowie o ludziach, których pan tam poznał, jakie robili na panu wrażenie?

– Bywają ludzie, z którymi znajomość zostawia ślad nie większy niż ślad wiosła na wodzie.

– Czy ona do takich należała?

– Niepięknie bym się spisał, gdybym się w podobny sposób wyraził właśnie o niej jednej. – Wcisnął woreczek z tytoniem do kieszeni, jakby razem z przedmiotem chciał usunąć temat z nim związany.

Arobin wpadł z wiadomością od pani Merriman – musiała przełożyć partię kart z powodu choroby jednego z jej dzieci.

– Jak się masz, Arobin – powiedział Robert, wynurzając się z półmroku.

– O, Lebrun! Nie do wiary! Słyszałem wczoraj o twoim powrocie. No i jak cię tam potraktowano w Meksyku?

– Całkiem przyzwoicie.

– Nie dość jednak, żebyś tam pozostał. Swoją drogą Meksyk ma oszałamiające dziewczyny. Myślałem, że nigdy nie wyjadę z Veracruz, kiedy pojechałem tam przed paru laty.

– Czy haftowały dla pana pantofle i woreczki na tytoń, i wstążki do kapelusza, i różne inne rzeczy? – spytała Edna.

– Cóż za pomysł! Nigdy! Nie zasługiwałem aż na takie względy. Obawiam się, że robiły na mnie większe wrażenie niż ja na nich.

– A zatem miał pan mniej szczęścia od Roberta.

– Zawsze tak jest. Zawsze mam mniej szczęścia od niego. Czy dzielił się z panią czułymi zwierzeniami?

– Narzucałem pani swe towarzystwo dostatecznie długo  
– powiedział Robert, wstając z krzesła. – Ucisnął dłoń Edny i dodał: – Proszę przekazać moje uszanowanie panu Pontellier, gdy będzie pani do niego pisać.

Podał rękę Arobinowi i odszedł.

– Świetny chłopiec z tego Lebruna – zauważył Arobin po jego wyjściu. – Nigdy mi pani o nim nie mówiła.

– Poznaliśmy się w lecie na Grand Isle – odparła. – Tu jest pańska fotografia. Nie jest panu potrzebna?

– A po co? Niech ją pani wyrzuci.

Odłożyła zdjęcie na stół.

– Nie pójdę w ogóle do pani Merriman – powiedziała. – Niech pan jej to powtórzy, gdy ją pan zobaczy. Zresztą... może lepiej będzie, jeśli do niej napiszę. Zrobię to zaraz. Napiszę, że współczuję jej z powodu choroby dziecka i poproszę, żeby na mnie nie liczyła.

– Bardzo dobry pomysł – zgodził się Arobin. – Nie mam pani tego za złe. To banda głupców!

Edna otworzyła teczkę z przyborami do pisania, wyjęła papier i pióro i zaczęła pisać. Arobin zapalił cygaro i czytał popołudniową gazetę, którą przyniósł w kieszeni.

– Jaką mamy dziś datę? – spytała Edna. Powiedział jej. – Czy mógłby pan wrzucić ten liścik do skrzynki, idąc do domu?

– Oczywiście. – Przeczytał jej kilka drobnych wiadomości z gazety, podczas gdy robiła porządek na stole.

– Co pani teraz zamierza? – spytał, odkładając gazetę. – Czy ma pani ochotę na spacer? Na przejażdżkę? Na coś w tym rodzaju? Świetnie by się jechało w taką noc jak dziś.

– Nie. Nie chcę nic robić. Pragnę spokoju. Pójdzie pan sam poszukać rozrywki. Niech pan tu nie zostaje.

Wstał i życzył jej dobrej nocy.

– Czy to jedna z tych rzeczy, które pan zawsze mówi kobietom?

– Mówiłem nieraz, ale myślę, że chyba nigdy jeszcze nie rozumiałem tego tak dosłownie – odparł z uśmiechem. Jednakże nie napotkał w jej oczach ciepłych iskierek, spojrzenie miała roztargnione i jakby senne.

– Dobranoc. Uwielbiam panią. Proszę spać dobrze – powiedział, ucałował jej dłoń i odszedł.

Pozostała sama i jakby otępiona. Przeżywała ponownie – sekunda po sekundzie – czas spędzony z Robertem od chwili, gdy wszedł do pokoju mademoiselle Reisz. Przypominała sobie, co mówił, jak wyglądał. Ale jakżeż tego było mało dla jej wygłodniałego serca! Nagle wyrosła przed nią wizja Meksykanki o niespotykane uwodzicielskim uroku. Ciałem Edny targnął bolesny spazm zazdrości. „Kiedy on znów przyjdzie?” – pomyślała. Nie powiedział, że wróci. Była z nim, słyszała jego głos i dotykała jego ręki. Lecz bliższy jej się wydawał, nie wiadomo dlaczego, kiedy był w Meksyku.





Ranek był pełen słońca i nadziei. Edna po przebudzeniu leżała w łóżku – oczy miała błyszczące i pełne skupienia. Nie widziała przed sobą żadnych przeszkód – jedynie obietnicę najwyższej radości. „On cię kocha, biedny chłopiec”. Gdybyż tylko mogła utwierdzić się w tym przekonaniu! Reszta była nieważna. Czuła, że poprzedniego wieczoru postąpiła dziecinnie i niemądrze, poddając się przygnębieniu. Podsumowała w myśli wszystkie motywy, które wyjaśniały – ponad wszelką wątpliwość! – pełne rezerwy zachowanie Roberta. Nie były nie do pokonania; znikną, jeżeli rzeczywiście ją kocha; nie oprą się jej namiętności, z której Robert prędzej czy później musiał zdać sobie sprawę. Widziała go oczami duszy, jak idzie do pracy. Widziała nawet, jak jest ubrany, jak idzie ulicą, skręca na rogu, widziała, jak siada przy biurku, rozmawia z klientami, wychodzi na lunch, może nawet szuka jej wzrokiem wśród przechodniów. Przyjdzie po południu lub wieczorem, usiądzie i skręci sobie papierosa; pogada i pójdzie, jak wczoraj. Ale cóż za rozkosz mieć go tutaj! Siedzieć we dwoje! Nie będzie mu czynić żadnych wyrzutów, zgłębiać powodów jego rezerwy, jeśli nadal ją zachowa.

W czasie śniadania, które zjadła w negliżu, dziewczyna przyniosła rozkoszną kartkę od Raoula; z wyrazami miłości dla matki, z prośbą o przysłanie cukierków i wiadomością, że tegoż ranka znaleźli dziesięć małych białych prosiątek – leżały rzędem przy boku dużej białej maciory należącej do Liddie.

Przyszedł również list od pana Pontellier; małżonek komunikował Ednie, iż spodziewa się powrócić w marcu, a wówczas będą mogli oboje podjąć przygotowania do zagranicznej podróży, tak dawno już przyobiecanej żonie, a którą obecnie czuł się w możności sfinansować; dzięki ostatnim udanym spekulacjom na Wall Street stać ich będzie na wojażowanie w warunkach należnych ludziom ich pokroju.

Zaskoczona była liścikiem od Arobina, pisany o północy w jego klubie. Pragnął powiedzieć jej „dzień dobry”, wyrażał nadzieję, że dobrze spała, i zapewniał o swym oddaniu, ufając, że będzie odwzajemnione choćby w małym stopniu.

Wszystkie te listy sprawiły jej ogromną przyjemność. W radosnym nastroju odpowiedziała dzieciom, obiecała cukierki i gratulowała znalezienia prosiątek.

Do męża napisała w tonie przyjaznym, lecz wymijającym – nie by powzięła zamiar zwodzenia go, lecz dlatego, że utraciła wszelkie poczucie rzeczywistości; poddała się całkowicie sile Przeznaczenia i czekała na skutki z obojętnością.

Liścik Arobina zostawiła bez odpowiedzi. Rzuciła go pod pokrywę piecyka u Celestyny.

Pracowała przez parę godzin z wielkim zapałem. W ciągu całego dnia widziała jedynie handlarza obrazów, który spytał ją, czy to prawda, że zamierza wyjechać na studia do Paryża. Odpowiedziała, że to jest bardzo prawdopodobne, na co handlarz wdał się w negocjacje dotyczące jej przyszłych prac paryskich – ważne, by je otrzymał w porę, nim rozpocznie świąteczną sprzedaż w grudniu.

Robert nie przyszedł tego dnia. Poczuli się głęboko zawiedziona. Nie przyszedł również nazajutrz ani dnia następnego. Każdego ranka budziła się pełna nadziei i każdego wieczoru była ofiarą zwątpienia. Gotowa była iść i szukać Roberta. Lecz panując nad tą pokusą, unikała każdej sposobności, która mogłaby doprowadzić do spotkania. Nie poszła do mademoiselle Reisz, nie odwiedziła madame Lebrun – jedno i drugie zrobiłaby na pewno, gdyby Robert był nadal w Meksyku.

Gdy pewnego wieczoru Arobin nalegał na wspólną przejażdżkę, zgodziła się i pojechali nad jezioro przy Shell Road. Konie były porywiste, Arobin z trudem trzymał je w cuglach. Ednie odpowiadał pęd galopu i przenikliwy, szybki stukot końskich kopyt na twardej nawierzchni drogi. Nigdzie się nie zatrzymali, by coś zjeść czy wypić. Arobin nie ryzykował bez potrzeby. Jedli i pili, gdy znaleźli się z powrotem w małej jadalni u Edny – dość wczesnym wieczorem.

Było późno, gdy od niej wyszedł. Potrzeba widzenia Edny, obcowania z nią stała się dla Arobina czymś więcej niż przelotnym kaprysem. Oto odkrył w tej kobiecie naturę o utajonej, nierozbudzonej zmysłowości, która napotkawszy w nim subtelne zrozumienie swych potrzeb, rozwijała się niczym senny, odrętwiały, delikatny kwiat.

Nie było w Ednie przygnębienia, gdy zasnęła owej nocy; nie było też nadziei, gdy obudziła się rankiem następnego dnia.

Był na przedmieściu ogród – mały, liściasty zakątek, a w nim kilka zielonych stolików pod drzewami pomarańczy. I stary kot śpiący całymi dniami na kamiennych schodkach w słońcu, i stara *mulatresse*<sup>50</sup> leniwie drzemiąca godzinami w swym krześle przy otwartym oknie, póki ktoś nie zapukał w jeden z zielonych stolików. Sprzedawała mleko i śmietankowy ser, chleb i masło. Nikt też nie umiał przyrządzać tak znakomitej kawy jak ona. Ani upiec kurczęcia na kolor złociście brunatny.

---

50 *Mulatresse* (fr.) – Mulatka.

Było to miejsce zbyt skromne, by mogło przyciągnąć wytworne towarzystwo, i tak ciche, że umykało uwagi tych, co szukali rozrywki i swawoli. Edna odkryła ten ogródek pewnego dnia zupełnie przypadkiem, gdy wysoka drewniana brama była szeroko otwarta. Ujrzała wówczas pod drzewem zielony stoliczek, upstrzony plamami słońca, które sączyło się poprzez drżące liście. W ogródku znalazła senną *mulatresse*, śpiącego kota i dostała szklankę mleka, które przypominało jej mleko, jakie piła w Iberville.

Zatrzymywała się tutaj często w swych wędrówkach; niekiedy zabierała ze sobą książkę i jeśli ogród był pusty, siedziała godzinę lub dwie pod drzewami. Parę razy zjadła tu samotną kolację, nakazawszy przedtem Celestynie, by niczego nie gotowała dla niej w domu. Było to ostatnie miejsce w mieście, gdzie mogłaby się spodziewać spotkania znajomych osób.

Nie była jednak zdziwiona, gdy jedząc późny obiad któregoś popołudnia, czytając jednocześnie książkę i głaszcząc kota, z którym się zaprzyjaźniła, zobaczyła Roberta, wchodzącego przez furtkę obok wysokiej bramy.

– Taki już mój los, że widuję pana jedynie dzięki przypadkom – powiedziała, spędzając kota z sąsiedniego krzesła. Robert był zaskoczony, zmieszany, nieomal zakłopotany tym niespodziewanym spotkaniem.

– Czy pani tu często przychodzi? – zapytał.

– Prawie tu mieszkam – odrzekła.

– Dawniej wpadałem do tego ogródka bardzo często, żeby wypić filiżankę znakomitej kawy u Catiche. Ale od czasu powrotu jestem tu pierwszy raz.

– Catiche przyniesie jeszcze jedno nakrycie i podzielimy się obiadem. Wystarczy tego na dwie, nawet na trzy osoby.

– Edna postanowiła okazać mu taką samą obojętność i rezerwę, z jaką on ją przywitał po przyjeździe; powzięła była taką decyzję wśród głębokich rozmyślań towarzyszących któremuś z kolejnych napadów przygnębienia. Lecz twarda decyzja stopniała na widok Roberta; oto siedział w tym ogródku obok niej, jak gdyby ręka Opatrzności sama przywiodła go jej śladem.

– Dlaczego mnie unikasz, Robercie? – spytała, zamykając leżącą przed nią na stole książkę.

– Po cóż aż tak osobiste pytanie, pani Pontellier? Po co zmusza mnie pani do idiotycznych kłamstw i wykrętów?! – wykrzyknął z nieoczekiwanym żarem. – Bezskuteczne byłoby pani tłumaczyć – tak sędzę – że jestem bardzo zajęty albo że byłem chory, albo że odwiedziłem panią, lecz nie zastałem jej w domu. Błagam, proszę mnie zwolnić od podobnych wyjaśnień.



– Jest pan wcieleniem egoizmu – odparła. – Ukrywa pan coś przede mną, nie wiem co, lecz jest w tym motyw egoistyczny, bo żeby siebie oszczędzić, nie zastanawia się pan ani przez chwilę nad tym, co ja myślę albo czy nie dotyka mnie podobne zaniedbanie i obojętność. Pewnie się to panu wyda niekobiece, lecz przywykłam mówić, co myślę. Trudno, może pan mnie uważać za istotę zupełnie pozbawioną kobiecości, jeśli pan chce.

– Nie. Myślę tylko, że jest pani okrutna, jak już to kiedyś powiedziałem. Być może, okrutna nieświadomie, bez intencji, ale próbuje pani wymusić wyznania, które do niczego nie doprowadzą: wymusić jak gdyby odsłonięcie rany tylko po to, by z przyjemnością przyjrzeć się tej ranie bez zamiaru czy możliwości uleczenia.

– Psuję panu obiad, Robercie, proszę zapomnieć o tym, co powiedziałam. Nie przełknął pan jeszcze ani kęsa.

– Wpadłem tylko na filiżankę kawy. – Jego wrażliwa twarz cała się odmieniła wskutek podniecenia.

– Czy nie jest tu uroczo? – spytała Edna. – Cieszę się, że nikt tego miejsca dotąd nie odkrył. Tyle tu spokoju, tyle słodyczy. Czy zauważył pan, jaka cisza? Ten ogród leży na uboczu i daleko od tramwaju. Ale lubię chodzić. Zawsze ogromnie współczuję kobietom, które nie lubią chodzić; tyle rzeczy tracą – tyle drobnych, ale cennych przejawów życia: a my kobiety tak mało w sumie dowiadujemy się o życiu... Kawa u Catiche jest zawsze gorąca. Nie wiem doprawdy, jak się to jej udaje na otwartym powietrzu! Celestyna niesie kawę z kuchni do salonu i zawsze przynosi ją zimną. Trzy kawałki cukru! Jak pan może pić taką słodką? Proszę wziąć trochę rzeżuchy do mięsa – jest pikantna i krucha. To miejsce ma również tę zaletę, że pijąc kawę, można jednocześnie palić. Podczas gdy w mieście... nie pali pan?

– Za chwilę – powiedział, odkładając na bok cygaro.

– Kto panu dał to cygaro? – spytała ze śmiechem.

– Kupiłem. Obawiam się, że wpadłem w rozrzutność; kupiłem całe pudło. – Postanowiła nie wracać do tematów osobistych, by nie wprawić go w ponowne zakłopotanie.

Kot zaprzyjaźnił się z gościem i zwinął w kłębek na jego kolanach; Robert palił cygaro, głaszcząc jedwabiste futerko kota, któremu poświęcił parę słów. Zerknął na książkę – okazało się, że już ją czytał, więc opowiedział jej zakończenie, aby – jak się wyraził – zaoszczędzić Ednie trudu przedzierania się przez całość.

I znów odprowadził Ednę do domu; dotarli do jej „gołębnika” z zapadnięciem zmierzchu. Nie zaprosiła go do środka – był jej za to wdzięczny; mógł zostać bez uciekania się do kłopotliwych i zbędnych tłumaczeń. Pomógł zapalić lampę, po czym Edna udała się do swego pokoju, by zdjąć kapelusz i obmyć twarz i ręce.

Gdy wróciła, Robert nie zajmował się jak poprzednim razem przeglądaniem jej rysunków i pism; siedział z dala od światła z głową opartą o poręcz fotela, jakby zatopiony w marzeniach. Edna zatrzymała się na chwilę przy stole, ułożyła na nim książki. Potem przeszła przez pokój, pochyliła się nad fotelem, w którym siedział Robert, i głośno wymówiła jego imię.

– Robercie – powiedziała – czy śpisz?

– Nie – odparł, podnosząc na nią wzrok.

Schyliła się i pocałowała go – miękki, chłodny, delikatny pocałunek, którego zmysłowe żądło przeniknęło całą jego istotę – i natychmiast się odsunęła. Wstał, postąpił ku niej, wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Przyciągnęła jego twarz i przylgnęła do niej policzkiem. Ruchy jej były pełne miłości i czułości. Poszukał znów jej warg. Potem pociągnął ją na sofę, posadził obok siebie i ujął jej dłoń w obie swoje dłonie.

– Teraz wiesz – powiedział – wiesz teraz, z czym walczyłem od zeszłego lata na Grand Isle; co mnie stąd wyгнаło i przyгнаło z powrotem.

– Dlaczego walczyłeś? – spytała. Twarz jej promieniała delikatnym blaskiem.

– Dlaczego? Ponieważ nie jesteś wolna; jesteś żoną Léonce’a Pontellier. Nie mogłem zdusić mojej miłości, nawet gdybyś była dziesięciokrotnie jego żoną, ale gdy wyjechałem i byłem daleko, mogłem przynajmniej milczeć.

Położyła wolną dłoń na jego ramieniu, a potem powoli, delikatnie pogładziła jego policzek. Znow ją pocałował. Twarz jego płonęła, objęta żarem.

– Wiesz, w Meksyku bez przerwy myślałem o tobie i tęskniłem.

– Ale nie napisałeś ani słowa – przerwała.

– Nie wiem dlaczego. Wbiłem sobie do głowy, że ci na mnie zależy; to mi do reszty odebrało rozum. Zapomniałem o wszystkim. Marzyłem, że w jakiś sposób zostaniesz moją żoną.

– Twoją żoną!

– Tak. Gdybyś tylko zechciała, poświęciłbym wszystko – przykazania wiary, lojalności, wszystko.

– Musiałeś naprawdę zapomnieć, że jestem żoną Léonce’a Pontelliera.

– Och, byłem szalony! Marzyły mi się dzikie, nieprawdopodobne rzeczy, myślałem o tym, że mąż zwraca żonie wolność – słyszeliśmy o takich wypadkach.

– Owszem, słyszeliśmy o takich wypadkach.

– Wróciłem z Meksyku pełen niejasnych i zupełnie szalonych zamiarów. A kiedy tu przyjechałem...

– To nawet do mnie nie przyszedłeś! – Wciąż głąskała go po policzku.

– Zdałem sobie sprawę, jaki ze mnie łajdak, że o czymś podobnym marzę, nawet gdybyś ty się zgodziła.

Ujęła jego twarz w obie ręce i zatopiła spojrzenie w jego oczach. Całowała jego czoło, powieki, policzki i wargi.

– Niemądry z ciebie chłopiec! Tracisz czas na marzenie o rzeczach niemożliwych, myśląc, że pan Pontellier mógłby zwrócić mi wolność! Nie jestem już jego własnością, z której może zrezygnować albo nie. Oddaję się temu, kogo sama wybiorę. Gdyby on ci powiedział: „Robercie, bierz ją sobie i bądź szczęśliwy, jest twoja” – to wyśmiałabym was obydwóch.

Zbladł i zapytał:

– Co masz na myśli?

Rozległo się pukanie do drzwi – weszła stara Celestyna i powiedziała:

– Pani Ratignolle przysłała służącą z wiadomością, że źle się poczuła i prosi panią Pontellier, żeby do niej przysła natychmiast.

– Tak, tak – odrzekła Edna, wstając – obiecałam. Powiedz jej, żeby zaczekała na mnie, pójdziemy razem.

– Pozwól, że cię odprowadzę – zaofiarował się Robert.

– Nie – odrzekła. – Pójdę z tą dziewczyną. – Przeszła do swego pokoju po kapelusz i wróciwszy, znów usiadła obok niego na sofie. Nie drgnął. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Do widzenia, mój słodki Robercie. Powiedz mi do widzenia. – Ucałował ją z tym odcieniem namiętności, jakiego dotąd nie było w jego pieścizotach i przytulił do siebie.

– Kocham cię – szepnęła – tylko ciebie; nikogo prócz ciebie. To ty zbudziłeś mnie zeszłego lata z moich głupich, nie kończących się snów. Och, jaka byłam nieszczęśliwa z powodu twojej obojętności! Och, jak cierpiałam, jak ja cierpiałam! Ale jesteś nareszcie i będziemy się kochać nawzajem, mój Robercie. Będziemy dla siebie wszystkim. Reszta jest nieważna. Muszę iść do mojej przyjaciółki, ale zostaniesz i poczekaasz na mnie, dobrze? Nawet jeśli wrócę bardzo późno, będziesz czekał, prawda, Robercie?

– Nie odchodź! Nie odchodź! Och, Edno, zostań ze raną – błagał. – Dlaczego musisz iść? Zostań, zostań ze mną.

– Wrócę, jak tylko będę mogła. I znajdę cię tutaj. – Ukryła twarz na jego ramieniu i jeszcze raz powiedziała: „Do widzenia”. Jej uwodzicielski głos i miłość, jaką czuł dla tej kobiety, odurzyły jego zmysły, stłumiły w nim wszelkie odruchy prócz pragnienia, by zatrzymać ukochaną w ramionach na zawsze.

Edna zajrzała do apteki. Monsieur Ratignolle przyrządziwszy osobiście jakąś miksturę, wlewał z ogromną ostrożnością czerwony płyn do małej szklaneczki. Wdzięczny był Ednie za przybycie: towarzystwo jej będzie wielką pociechą dla jego żony. Siostra madame Ratignolle, zawsze obecna przy niej w chwilach próby, nie mogła tym razem opuścić plantacji i Adela była niepoczyszona, dopóki pani Pontellier łaskawie nie przyrzekła, że przyjdzie. Pielęgniarka od tygodnia zostawała na noc, ponieważ mieszkała bardzo daleko. A doktor Mandelet wpadał kilkakrotnie w czasie popołudnia. I teraz też się go spodziewają lada moment.

Edna pobiegła na górę prywatnymi schodami, które na tyłach apteki wiodły do apartamentów na piętrze. Dzieci spały wszystkie w dalej położonym pokoju. Madame Ratignolle była w salonie, dokąd zawędrowała nękana bólami i niecierpliwością. Siedziała na kanapie w obszernym białym peniuarze, nerwowo ściskając w rękach chusteczkę. Twarz miała mizerną, ściągniętą cierpieniem, wejrzenie błękitnych oczu, zawsze tak pełnych słodyczy, jakby błędne i nienaturalne. Wszystkie swoje wspaniałe włosy szesała z czoła i zaplotła w warkocz, który leżał zwinięty na poduszce jak złoty wąż. Pielęgniarka – ciemna Mulatka o pokrzepiającym wyglądzie, w białym czepku i fartuchu – nalegała na madame, by zechciała wrócić do sypialni.

– Nie ma sensu, nie ma sensu – powiedziała pani Ratignolle do wchodzącej Edny. – Mandeleta trzeba się pozbyć; jest za stary, niedbały, nie dość ostrożny. Obiecał być tutaj o pół do ósmej, a na pewno jest już ósma. Zobacz, która godzina, Josephine.



Obdarzona pogodnym usposobieniem Josephine, żadnej sytuacji nie brała zbyt poważnie, cóż dopiero sytuacji, do których tak bardzo przywykła. Nawoływała madame do odwagi i cierpliwości. Lecz madame zagryzła tylko zębami dolną wargę i Edna dostrzegła na jej białym czole kropelki potu. Po chwili madame Ratignolle głęboko odetchnęła i otarła twarz chusteczką zgniecioną w kulkę. Robiła wrażenie wyczerpanej. Pielęgniarka podała jej świeżą chusteczkę spryskaną wodą kolońską.

– Tego już za wiele! – krzyknęła pani Ratignolle. – Mandeleta trzeba zabić! Gdzie jest Alphonse? Czy możliwe, żeby mnie wszyscy w takiej chwili opuścili, zlekceważyli, zaniedbali?

– Zaniedbali! Też coś! – wykrzyknęła Josephine. A czyż jej tu nie ma? A pani Pontellier? Która na pewno zrezygnowała z przyjemnego wieczoru w domu, żeby się poświęcić przyjaciółce! A pan Ratignolle? Który właśnie nadchodzi, jest już w hallu. Josephine była również przekonana, że słyszy zajeżdżający powóz doktora Mandelet. Tak, stanął przed domem.

Adela zgodziła się powrócić do swego pokoju. Usiadła na brzegu małej, niskiej sofki stojącej przy łóżku.

Doktor Mandelet nie zwracał najmniejszej uwagi na wyrzuty czynione mu przez madame Ratignolle. Przywykł do takich rzeczy w podobnych okolicznościach i zbyt pewien był lojalności swej klientki, by w nią teraz wątpić.

Ucieszył go widok Edny, której zaraz zaproponował, by przeszli razem do przyległego salonu, gdzie mogłaby go bawić rozmową. Lecz madame Ratignolle za nic nie chciała puścić Edny od siebie nawet na chwilę. Chciała trochę porozmawiać pomiędzy napadami bólów, twierdziła, że odwodzi to jej uwagę od cierpień.

Edna poczuła się nieswojo. Ogarnęło ją uczucie niejasnego lęku. Jej własne, podobne przeżycia wydały się bardzo odległe, nierealne, prawie zapomniane. Jak przez mgłę pamiętała spazm bólu, ciężki odór chloroformu, otępienie łagodzące wstrząs, moment przebudzenia i znaną przy boku nową, maleńką żywą istotę, której dała życie i która wkroczyła w krąg owej niezliczonej mnogości dusz, co przychodzą i odchodzą.

Żałowała, że tu jest; obecność jej nie była niezbędna. Mogła się była wytłumaczyć byle jakim pretekstem, mogła nawet teraz jeszcze wymyślić jakiś powód do odejścia. Lecz została. Głęboko przejęta, pełna otwartego, płomiennego buntu przeciwko prawom natury towarzyszyła scenie tortur.

Była jeszcze oszołomiona przeżyciem i głosu z siebie nie mogła wydobyć, gdy nieco później pochylała się nad przyjaciółką, by ją ucałować.

Do widzenia – rzekła cicho Adela, przytulając do niej policzek i z trudem wyszeptwała. – Pomyśl o dzieciach, Edno. Pamiętaj o dzieciach! Na Boga, pamiętaj o nich!

Oszołomienie nie przeszło, nawet gdy Edna znalazła się na powietrzu. Powóz doktora powrócił po niego i czekał przed *porte cochère*<sup>51</sup>. Edna nie chciała wsiąść do powozu i powiedziała, że pójdzie piechotą: nie boi się iść sama. Doktor kazał woźnicy czekać przed domem pani Pontellier, którą postanowił odprowadzić.

W górze – bardzo daleko, ponad wąską uliczką między wysokimi domami świeciły gwiazdy. Powietrze było łagodne jak pieszczota, lecz czuło się w nim chłodny oddech nocy i wiosny. Szli powoli – doktor założywszy ręce do tyłu, posuwał się ciężkim, miarowym krokiem; Edna przeciwnie – szła jak pewnej nocy na Grand Isle – z roztargnieniem, jakby usiłując dogonić własne myśli, które wybiegły daleko naprzód.

– Nie trzeba było przychodzić – odezwał się doktor. – To nie miejsce dla pani Adela w takich chwilach staje się bardzo kapryśna. Mogła prosić tuzin innych kobiet – mniej wrażliwych. Czuję, że to okrutne, okrutne. Nie powinna była pani przychodzić.

– Głupstwo – odparła zupełnie obojętnie. – Nie wiem, czy to naprawdę takie ważne. Trzeba pomyśleć o dzieciach, prędzej czy później; im prędzej, tym lepiej.

– Kiedy wraca Léonce?

---

51 *Porte cochère* (fr.) – brama.

– Niedługo. W marcu.

– Pojedziecie za granicę?

– Możliwe... ale raczej nie. Ja nie pojedę. Nie dam się do niczego przymusić. Nie chcę jechać za granicę. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Nikt nie ma prawa – z wyjątkiem dzieci, być może – lecz nawet wtedy wydaje mi się... lub raczej mi się wydawało... – Czują, że w tym, co mówi, odbija się bezład jej myśli i przerwała w pół zdania.

– Cała bieda w tym – westchnął doktor Mandelet, domyślając się, o co jej chodziło – że młodość tak łatwo oddaje się złudzeniom. Chodzi o to, że Natura szuka zabezpieczenia i zastawia sidła na matki, bo potrzebne są ludzkiej rasie. Niestety Natura wcale nie bierze pod uwagę moralnych konsekwencji ani tego, że my, ludzie, arbitralnie stwarzamy cały szereg warunków, domagając się ich przestrzegania za wszelką cenę.

– Tak – powiedziała Edna. – Lata, które przeżyłam, wydają mi się snem – jeżeli można spać i śnić bez przerwy. Ale obudzić się i znaleźć... Och! No cóż, może lepiej – mimo wszystko – przebudzić się, nawet do cierpienia, niż pozostać na całe życie ofiarą głupich złudzeń.

– Wydaje mi się, moje drogie dziecko – rzekł doktor ujmując jej dłoń na pożegnanie – wydaje mi się, że jest pani w kłopotach. Nie domagam się żadnych wyznań. Chcę tylko powiedzieć, że gdyby pani poczuła się kiedykolwiek skłonna do zwierzeń, to zawsze służę pomocą. Wiem, że potrafię wszystko zrozumieć, a proszę mi wierzyć, że niewielu jest takich, moja droga, naprawdę niewielu.

– Dziwnie jakoś nie mam skłonności do mówienia o rzeczach, które mnie trapią. Proszę tylko nie posądzać mnie o niewdzięczność albo niedocenianie pańskiego współczucia. Nachodzą mnie takie chwile, że ulegam wielkiemu przygnębieniu i cierpię. Ale chcę tylko jednego – chcę żyć po swojemu. To niemało, oczywiście, zwłaszcza gdy trzeba podeptać cudze życie, czyjeś serce, ludzkie przesady – dla mnie to nieważne, chociaż nie chciałabym zniszczyć życia moim dzieciom. Och, sama nie wiem, co mówię, doktorze. Dobranoc. Niech pan mnie nie potępia.

– Przeciwnie, potępię panią, jeśli pani do mnie nie przyjdzie, i to w najbliższym czasie. Pomówimy o rzeczach, o których się pani nawet nie śniło, że mogą być tematem rozmowy. Dobrze nam to zrobi obojgu. Nie chcę, żeby pani sama sobie robiła wyrzuty, cokolwiek by się miało stać. Dobranoc, moje dziecko.

Otworzyła bramę, lecz zamiast wejść do domu, przysiadła na stopniach ganku. Noc była cicha i kojąca. Gwałtowne przeżycia ostatnich kilku godzin zdawały się opadać z niej niczym jakieś ciemne i niewygodne okrycie, które wystarczyło rozpiąć, by samo spadło z ramion. Powróciła myślą do owej godziny poprzedzającej wiadomość od Adeli; na wspomnienie Roberta, jego słów, jego objęć, dotyku jego ust zmysły rozgorzały w niej na nowo. Nie potrafiłaby w owym momencie wyobrazić sobie większej błogości, większego szczęścia na ziemi jak posiadanie ukochanego. Gdy Robert wyznał jej miłość, już przez to samo po części do niej należał. Na myśl, że jest tak blisko, że na nią czeka, niecierpliwe, odbierające przytomność pragnienie dławilo ją w gardle. Było bardzo późno: może już śpi. Zbudzi go pocałunkiem. Pragnęła, żeby spał, żeby mogła zbudzić go pieszczotą.

A jednak wciąż miała w uszach ten szept Adeli: „Pomyśl o dzieciach, pomyśl o nich!”

Owszem, zamierzała myśleć o swych dzieciach, i postanowienie to zadało jej sercu śmiertelną ranę – lecz nie będzie myśleć tej nocy. Jutro pomyśli o wszystkim, dość będzie na to czasu.

Roberta nie było w małym saloniku. Nie było go nigdzie. Dom był pusty. Na skrawku papieru leżącym w kręgu światła napisał:

„Kocham cię. Żegnaj – ponieważ cię kocham”.

Poczuła się słabo, przeczytawszy te słowa. Zrobiła kilka kroków i usiadła na sofie. Potem wyciągnęła się na niej całym ciałem, w martwej ciszy. Nie spała. Nie położyła się do łóżka. Lampa ćmiła i zgasła. Gdy nadszedł ranek i Celestyna otworzyła kluczem drzwi, weszła do kuchni i zaczęła rozpalać ogień, Edna wciąż nie spała.

Wiktor za pomocą młotka i gwoździ naprawiał balustradę jednej z galeryjek. Mariequita siedziała w pobliżu, machając nogami przyglądała się jego pracy i podawała gwoździe ze skrzynki z narzędziami. Słońce prażyło niemiłosiernie. Dziewczyna nakryła głowę fartuchem złożonym we czworo. Rozmawiali już godzinę, jeśli nie dłużej. Opowieści Wiktora o przyjęciu u pani Pontellier mogła słuchać w nieskończoność. Wiktor w każdym szczególe przesadzał, malując słowami prawdziwą ucztę Lukullusa. Kwiaty stały w wiadrach, mówił. Do ogromnych pucharów ze złota szampan lał się strumieniem. Pani Pontellier siedziała na naczelnym miejscu przy stole i wyglądała uwodzicielsko jak Wenus wynurzająca się z piany, taki bił od niej blask urody i klejnotów; inne panie, jedna w drugą – młode hurysy o niezliczonych, nieporównanych powabach.

Mariequita wbiła sobie do głowy, że Wiktor kocha się w pani Pontellier; celowo dawał wymijające odpowiedzi, by utwierdzić ją w tym przekonaniu. Nadała się, nawet trochę popłakała i zagroziła, że go rzuci i zostawi na łup owych pięknych dam. Mało to chłopów szalało za nią w Chênrière? A jeżeli jest w modzie kochać się z kimś żonatym – proszę bardzo, w każdej chwili może uciec do Nowego Orleanu z mężem Celiny.

Mąż Celiny to tchórz, dureń i skończona Świnia, o czym się Mariequita sama przekona, kiedy mu Wiktor przy najbliższej okazji rozbije łeb młotkiem. Tego rodzaju zapewnienie ogromnie ją pocieszyło. Otarła oczy, szczerze rozbawiona perspektywą bijatyki.

– Jeszcze mówili o przyjęciu i o ponętach życia miejskiego, gdy z za węgła domu wynurzyła się pani Pontellier. Młodzi oniemieli ze zdumienia na widok osoby, którą w pierwszej chwili wzięli za zjawę. Lecz była to rzeczywiście pani Pontellier we własnej osobie i widać było na niej znużenie i trudy podróży.

– Przyszłam od przystani na piechotę – powiedziała. – Słyszałam na drodze stuk młotka. Domyśliłam się, że pewnie naprawiasz ganek. To dobrze. Przez całe lato potykałam się na tych nierównych deskach. Jak tu pusto i smutno!



Dopiero po dłuższej chwili Wiktor zrozumiał, że przybyła lugrem Beaufleta, zupełnie sama i tylko po to, by odpocząć.

– Nic jeszcze niegotowe, jak pani widzi. Odstąpię pani mój pokój; to jedyne możliwe miejsce.

– Och, wystarczy mi byle jaki kąt – zapewniła go.

– Gotuje nam Philomela, nie wiem, czy panią to zadowoli – ciągnął Wiktor – ale na ten czas, co pani tu pobędzie, spróbuję ściągnąć jej matkę. Jak myślisz – zwrócił się do Mariequity – zgodziłaby się przyjść?

Zdaniem Mariequity, matka Philomeli mogłaby przyjść na parę dni i – oczywiście – za dobrych parę groszy.

W pierwszej chwili przybycie pani Pontellier obudziło w dziewczynie podejrzenie, że to umówiona schadzka kochanków. Lecz zdumienie Wiktora było tak szczere, a obojętność pani Pontellier tak oczywista, że niepokojące podejrzenia niedługo zabawiły w umyśle Mariequity. Z najwyższą ciekawością przyglądała się kobiecie, która wydaje w domu przyjęcia głośnie w całej Ameryce i wszystkich mężczyzn Nowego Orleanu ma u swych stóp.

– O której godzinie jecie obiad? – spytała Edna. – Tylko proszę nie robić dla mnie nic nadzwyczajnego.

– Każę podać za chwilę, nawet zaraz – powiedział Wiktor, pakując pospiesznie swoje narzędzia stolarskie. – Może pani ogarnąć się i przyczesać włosy w moim pokoju, Mariequita panią zaprowadzi.

– Dziękuję – odrzekła Edna. – Ale wiecie co... mam wielką ochotę pójść przed obiadem nad morze, wymyć się i nawet trochę popływać.

– Woda jest za zimna! – wykrzyknęli oboje. – Niech pani nawet nie myśli o czymś podobnym.

– Pójdę na plażę i spróbuję – umoczę stopy. Słońce praży tak mocno, że mogło nagrzać ocean do samego dna. Czy mogłabym dostać ze dwa ręczniki? Pójdę zaraz, żeby wrócić w porę. Po południu zrobi się już chłodniej.

Manequita pobiegła do pokoju Wiktora i wróciwszy, podała Ednie ręczniki.

– Mam nadzieję, że na obiad macie rybę – rzekła Edna, odchodząc – ale jeśli nie, to specjalnie dla mnie proszę nic nadzwyczajnego nie robić.

– Leć i przyprowadź tu matkę Philomeli – rozkazał Wiktor dziewczynie. – Pójdę do kuchni i zobaczę, co się da zrobić. Tam do licha! Kobiety nie mają sumienia! Przecież mogła mnie wcześniej uprzedzić.

Edna odruchowo skierowała kroki na plażę; szła, nie dostrzegając niczego; miała tylko świadomość, że słońce mocno przygrzewa. Nie myślała też o niczym określonym. Wszystko, co było do przemyślenia, przemyślała po odejściu Roberta, gdy leżąc na sofie, nie spała do rana.

Powtarzała wówczas przez całą noc: „Dzisiaj jest Arobin, jutro będzie ktoś inny. Wszystko mi jedno; nie dbam o Léonce’a Pontellier. Ale Raoul i Etienne!” Rozumiała teraz w całej pełni słowa wypowiedziane kiedyś do Adeli Ratignolle – poświęci wszystko dla dzieci prócz siebie samej.

Od owej bezsennej nocy uczucie przygnębienia i rezygnacji już jej nie opuściło. Nie chciała niczego – niczego w świecie. Nie chciała mieć przy sobie nikogo – prócz Roberta; zdała sobie nawet sprawę, że przyjdzie taki dzień, kiedy również i on, i myśl o nim zniknie z jej życia, pozostawiając pustkę i samotność. Dzieci jawiły się jej jako istoty wrogie i napastliwe, którym uległa pokonana, które usiłowały zapanować na zawsze nad jej duszą. Wiedziała, w jaki sposób może im się wymknąć. Ale nie myślała o tym wszystkim, kiedy szła w kierunku morza.

Wody zatoki rozpostarły się przed nią szeroko, lśniąć odbiciem milionów słonecznych iskier. Głos morza uwodzi, nigdy nie milknie, szumi, skarży się, szepcze, nęci duszę do wędrówki w bezmiar samotności. Na białych piaskach, ciągnących się długim pasmem, nie było żywej duszy. Jakiś ptak ze złamanym skrzydłem bezradnie usiłował wzbić się w górę, lecz trzepocząc i krążąc w powietrzu, opadał coraz niżej i niżej nad wodę.

Edna znalazła w kabinie swój stary spłowieły kostium kąpielowy – wisiał jak zawsze na drewnianym kołku.

Przebrała się, suknię i bieliznę zostawiła w kabinie. Lecz gdy stanęła w obliczu morza – zupełnie sama – zrzuciła z siebie niemile, szorstkie okrycie i po raz pierwszy w życiu stanęła naga, wydana na łaskę słońca i wiatru, który smagał jej ciało, i fal, które wabiły w swe objęcia.

Wydało jej się rzeczą straszną tak stać nago pod otwartym niebem! Straszną i wspaniałą! Poczuała się jak nowo narodzone stworzenie, które otwiera oczy na świat zupełnie dotąd nieznanym.

Pieniste, drobne fale podpływały do jej białych stóp i oplatały kostki niczym węże. Weszła do wody, bardzo zimnej, lecz szła dalej. Zaczęła się głębia; wtedy Edna uderzeniem ramion wyniosła swe białe ciało na powierzchnię. Odczuła zmysłowe dotknięcie morza; objęło ją miękkim, ciasnym uściskiem.

Płynęła naprzód. Zjawilo się przypomnienie owej nocy, kiedy to po raz pierwszy wypłynęła daleko w morze, i powróciło dawne uczucie przerażenia, że nie zdoła powrócić do brzegu. Teraz nie oglądała się już za siebie, tylko płynęła dalej, coraz dalej i myślała o łące porośniętej wysoką trawą, przez którą szła w dzieciństwie, wierząc, że ta łąka nie ma początku i końca.

Ręce i nogi zaczęły odczuwać zmęczenie.

Pomyślała o mężu i dzieciach. Stanowili część jej życia. Nie powinni jednak uważać, że może im się oddać bez reszty, ciałem i duszą. Jakżeż śmiałaby się z niej w tej chwili mademoiselle Reisz, gdyby ją widziała! Pewnie by z niej szydziła: „I pani nazywa siebie artystką! Cóż za pretensje, moja droga!

Artysta musi mieć odważną duszę, która nie boi się żadnego wyzwania”.

Czuła, że ogarnia ją coraz większe wyczerpanie.

„Żegnaj – ponieważ cię kocham”. Nic nie wiedział, nic nie rozumiał. Nigdy by nie zrozumiał. Może rozumiałby ją doktor Mandelet, gdyby do niego poszła – ale na to było za późno; brzeg był daleko, a siły ją opuszczały.

Zmierzyła wzrokiem odległość – dawne, znane uczucie przerażenia podniosło się w niej jak płomień – i zniknęło. Edna słyszała głos ojca i głos swej siostry Margarety. Słyszała szczekanie starego psa przywiązanego łańcuchem do płatanu. Ostrogi kawalerzysty dzwoniły, gdy wchodził na ganek. W powietrzu zabrzmiało brzęczenie pszczoł i mocno zapachniały różowe goździki.

